





110

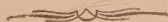


1894



WYBÓR PISM<sup>5</sup>

JANA ZACHARYASIEWICZA.



XI.

J A R E M A.

*f. 321 ischul Bresl. l.  
o. 714.*

---

*Wydanie nowe.*

---

WARSZAWA.  
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—  
1888.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 31 Августа 1888 года.

# I.

## Przed dwudziestu laty.

**N**a prostym wozie, wysłanym sianem, jechał w pewnym zakątku Galicyi, młody mężczyzna w czapeczce urzędnika. Naprzeciw niego siedział drugi, starszy, o czerwonych, szerokich policzkach. Z rubasznych jego ruchów można było wnosić, że to jakiś służący urzędowy. Na worku sieczki przykucnął chłop, zachęcając konie batem i lejcamy do przedszego biegu.

Młody mężczyzna palił fajkę piankową i patrzył w prawo i lewo na rozległe pola. Amtsdiner \*) kłął po niemiecku i węgiersku i łokciem szturchał chłopca, aby przędzej jechał, a chłop smagał biczem biedne konięta i obiecywał im w najbliższej karczmie sieczki i wody.

Dzień był lipcowy, gorący, okolica dosyć równa, przecięta szeroką rzeką na dwie połowy. A droga, którą

---

\*) Woźny.



jechali nasi podróżni, była prawdziwie polska, kręta i wązka, tak, jak ją sam Pan Bóg stworzył. Młody urzędnik miał więc co kilkaset kroków rozmaite niespodzianki. Tu dziura w moście, tam znowu przeprawa bez mostu, tu jakaś jama, a tam grobla wpoprzek drogi... a co chwila to nowy skręt, nowe widoki, a co wieś to inne, gorsze psy, które podróżnych na wszystkie strony oszczekiwały — słowem, wszystko to było dla niego jakimś dziwnym pełnym różnorodności album, które go z razu bawiło, a w końcu niemiłosiernie męczyło.

— Armes Land!—\*) westchnął młody urzędnik i palił dalej fajkę. A amtsdiner kłął i szturchał chłopca pod żebra.

Nagle zaskoczyła im drogę nowa niespodzianka. Nie była to ani dziura w moście, ani kałuża, które dla polskiego chłopca żadnej nie stanowiłyby w drodze przeszkody, bo je zręcznie omijać umiał, ale była to góra niepospolita, która jakoś tak nagle przed nosem im wyrosła, że sobie tego na żaden sposób wytłumaczyć nie mogli. Urzędnik wyjął fajkę z ust, Amtsdiner przestał chłopca szturchać i obaj wpatrzyli się w górę, która jakoś na skraj drogi, z pomiędzy drzew ogrodu nagle wystrzeliła. Chłop tylko nie okazał zdziwienia. Złaził z worka sieczki i zaczął iść piechotą koło koni, dodając im ducha do mozolnej pracy.

Wyrosła wśród równiny góra, otoczona była ogrodami, jakby wieńcem zielonym.

---

\*) Biedny kraj!

— Co to za wieś?—zapytał chłopą młody urzędnik.

— Ta wieś nazywa się „Nowawieś“—odparł tenże—a tam hen jest dwór, a ta góra „Nowagóra.“

— Nowagóra?—powtórzył zeicha urzędnik, zdziwiony tą szczególną myślą, że mogą być nowe i stare góry. A że to był człowiek uczony, zaczął więc amtsdinerowi opowiadać o wulkaniczném tworzeniu się gór i zacytował kilka przykładów z Oceanu Spokojnego, gdzie co noc kilka nowych gór i wysp wyrasta, a kilka w toń morza zapada. Chłop machał biczem i szedł koło koni. Urzędnik wyczerpał swój temat o wulkanicznych wybuchach; ciekawy był jednak, jak chłopski rozum podobne zjawiska natury pojmuje?

— A wiesz ty dlaczego ta góra nazywa się Nowagóra?—zapytał chłopą, mrugnawszy dowcipnie na amtsdinerą.

— A dlaczegożbym nie wiedział?—odparł zagadnięty—wszyscy ludzie wiedzą o tém.

Młody urzędnik uśmiechnął się i odgarnął włosy od ucha.

— A toć to tak było, panie komisarzu — (chłop każdego pisarza cyrkulowego nazywa komisarzem) zaczął woźnica—historya to niedługa. Sołtys Jędrzej ze Starejwsi miał się żenić z Małgorzatą Kubową. Już były wyszły zapowiedzi, kiedy Jędrzej poznał Katarzynę, która hen w tym dworze u pana służyła. I dworka tak mu głowę zawróciła, a nawet, jak mówią ludzie, jakiegoś zielska dała mu się napić, że Jędrzej bez niej ani rusz! I w dzień ślubu, gdy już wszyscy się poschodzili, Jędrzej zaprzągnął dwa derezowate konie, aby uciec do Kasi. Małgorzata Ku-

bowa w płacz i nuż włosy sobie rwać. Ale stare kumoszki poradziły jój, aby się udała do św. Antoniego, który w takiej potrzebie jest najlepszym patronem. I zaczęła prosić i prosić św. Antoniego, aby Jędrzejowi rzucił co w drogę, rzekę szeroką, las gęsty, albo górę wysoką. A św. Antoni rzekł do siebie: „Rzeki nie rzucę, bobym dużo chłopskich gruntów zatopił; lasem także popsułbym łąki; ale niewielka góra nikomu nie zaszkodzi. I bez tego jest tutaj mokrzyca, nie się nie rodzi, tylko szuwar i sitowie; a tak będzie ściek wody i gromada na tém dobrze wyjdzie.“ I uprosił Pana Boga św. Antoni, aby mu pozwolił między Starąwsią a Nowąwsią podnieść górę niewielką. Pan Bóg przystał na to, a nagle przed wozem Jędrzeja wyrosła góra. Jędrzej zaciął konie i chciał górę przebyć, ale koło mu się złamało, a jak zaczął naprawiać i sobie rozmyślać, to namyślił się wrócić do Małgorzaty. Wziął z nią ślub i miał troje dzieci, a dworska Kaśka poszła za żołnierzami.

Młody urzędnik zamyślił się, a po chwili rzekł do amtsdiner:

— Volkspoesiel Schöne Volkssagen! \*)

— I odtąd—mówił dalej chłop—kto w niedobréj myśli przez tę górę jedzie, którą nazwano Nowągóram, lub mając żonkę, kochanki szuka, ten tutaj może kark skrećić, albo przynajmniej zebra połamać.

Amts diner przestraszył się czegoś i z trwogą spojrział na urzędnika; ten zaś uśmiechnął się i zapaliwszy fajkę, chciał właśnie zacząć rozprawiać o po-

---

\*) Poezya ludowa! Piękne ludowe podania!



daniach ludowych, gdy nagle coś pod nimi zatrzeszczało, i w téjże saméj chwili, jakby jakaś niewidzialną siłą podrzuceni, uderzyli się wzajem czołami i w ukośnej linji z wozu do rowu wylecieli.

Amts-diner obmacał czémprędzój kark swój i żebra, potém kark i żebra swego towarzysza, a nie namacawszy żadnego szwanku, podziękował Najwyższemu za darowaną tym razem karę, jaka słusznie za niektóre domowe sprawy spotkaćby go mogła. Nie chcąc jednak przyznać się do winy, popatrzył z ukosa na młodego urzędnika, którego w wielkiém miał podejrzeniu. Widząc wszakże, iż ten z największą flegmą otrzepał sobie pluderki i nad rowem usiadł, zwałił całą winę na chłopą, ponieważ to do niego należało koło, które św. Antoni tak misternie połamał. Chłop zaś kłął na wszystkie strony, nie wyrażając jednak komu.

W końcu uspokojono się, a chłop rzucił kapelusz i wziął się do naprawy. Podróżni usiedli nad brzegiem rowu, oczekując końca przygody, a tymczasem, każdy po swojemu, skracali sobie czas tytuniem i kontemplacją.

Przecudny naokoło roztaczał się widok. Góra miała kilka zagieć, w których rozsiadły się chałupy wieśniacze i ogrody. Najwyżéj sięgały lipy i topole dworskiego ogrodu, który, jak stary opiekun, wyglądał z poza czarnych strzech wieśniaczych. Między lipami bielily się ściany dworu. Widok tych ścian różne na ubu podróżnych czynił wrażenie, Amtsdiner marzył o smacznych polskich zrazach i doskonałej kminkówce, a młody urzędnik, widząc przed oczyma jakieś białe, przezroczyste postacie, jakby rusalki lub

najady, wychylające się ku niemu z poza gęstych, starych lip—mruknął:—„Wär' ich Kreishauptmann!“—\*) i poprawił kołnierzyków. A schodząc potem ręką na kołnierz, namacał na nim tylko jeden mizerny poprzeczny pasek, najniższą oznakę godności urzędniczej... Spuścił głowę i zasmucił się.

Śmiech szczery i rozgłośny, śmiech zdrowych wiejskich dzieci, wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał przed siebie i ujrzał na zieloném pastwisku grupę pastuszków i pastuszek, którzy spędziwszy razem bydło, zabawiali się między sobą figlami.

Głównym przedmiotem wszystkich figlów i całej zabawy była młoda piętnastoletnia dziewczynka, o jasnych, lśniących włosach. Wzrost miała słuszny, ruchy wdzięczne i głos nadzwyczaj ujmujący. Widać było po całym ugrupowaniu, że wszyscy chłopcy starali się jęj przypodobać. Jedni dawali jęj kwiatki, drudzy płatali jęj psoty, a każdy swoim sposobem chciał jęj uwagę na siebie zwrócić.

Mędzy chłopakami, którzy ją otaczali, odznaczał się jeden krępy, o czarnych kędzierzawych włosach pastuszek, mający lat około siedmiastu. Mały kapelusik nosił na bakier założony; czarne jego oczy biegały nieustannie, twarz jednak miał znacznie nad wiek swój starszą. Była pomarszczona i pomięta i w całym swoim układzie bardzo nieregularna. Czoło występowało naprzód i znamionowało człowieka upartego. Usta były zacięte, jakby go coś wewnątrz bolało. Zgoła nieprzyjemny był chłopak, i widać było

---

\*) Gdybym ja był starostą!

po nim, że wiedział o swoim zewnętrznym upośledzeniu. Tém ognisćiej jednak strzelało jego oko na ładną dziewczynę, tém zawistniej spoglądał na szczególniejszych swoich rywali.

Ale złotowłosa dziewczyna wykręcała się, jak wrzeczono na pięcie, śmiała się do rozpuku i wyrывała się zgrabnie, gdy ją który z figlów za kaftan pochwycił.

Wreszcie stanęła pośrodku, podniosła drobne rączka do góry i zaczęła przecudnie chłopcom improwizować. Mówiła im, że tego z nich pokocha, kto jęj w przetaku przyniesie wody z rzeki, kto bryłę śniegu za piecem ususzy w dzień św. Mikołaja, kto konie bez szlęj do woza zaprzęgnie, kapelusz bez słomy uplecie, chlepek upieczek bez maki i masło zrobi bez śmietany...

A potęm wykręciła się na jednęj nodze i prawiła znowu, że ten jęj mężem będzie, kto jęj na dłoni przyniesie złotego ptaszka, o złotych piórach, któryby za każdęm podniesieniem skrzydełka gubił po jednęm piórku...

Chłopcyc zaczęli klaskać w ręce. Ale chłopiec o czarnych kędzierzawych włosach nie klaskał; stał ponury i zamyślony. Wnet porwał się z miejsca, jakby go coś nagle pchnęło, i co tchu zaczął biegać w kierunku, gdzie było widać białe dworskie ściany z poza starych lip.

Młodego urzędnika zajęła ta szczególna scena; z coraz większym interesem przypatrywał się grupie pastuchów i pastuszek. Zwłaszcza uciekający od nich chłopak, o czarnych kędzierzawych włosach, zwrócił na siebie uwagę.

Ciekawęm okiem patrzył za nim. Chłopak zaś



małał coraz bardziej, wreszcie, jak mały czarny punkt zniknął w alei topolami wysadzonėj.

Urzędnik patrzył ciągle w tę ciemną drogę, ale chłopca długo, bardzo długo nie było widać.

Wreszcie ukazał się znowu czarny punkt w alei i stawał się coraz większym, większym, póki wyraźnie nie zrobił się z niego chłopak o czarnych, kędzierzawych włosach.

Ciekawość młodego urzędnika, który w téj chwili innego nie miał zajęcia, rosła coraz bardziej; chłopiec bowiem niósł coś w ręce i skakał z radości.

Zbliżywszy się do grupy, wykręcił się dziesięć razy w koło, na znak radości, a zatrzymawszy się nagle przed żółtowłosą dziewczyną, wyciągnął ku niéj rękę.

I o dziwo! Na jego dłoni siedział mały, złoty ptaszek!

Dziewczyna krzyknęła z zadziwienia, cała grupa stojących poruszyła się, a złoty ptaszek rozwinął tymczasem skrzydełka i słabym lotem podniósł się z ręki chłopca, aby na poblizkiej brzoźce wygodniéj sobie usiąść.

Wszyscy krzyknęli i podnieśli ręce do góry, ale już było zapóźno. A żółtowłosa westchnęła, bo i dla niéj było już zapóźno!...

— Patrz, patrz Huber!—zawołał młody urzędnik do amtsdinera—chłopiec ukradł zapewne we dworze kanarka, aby się téj tam dziewczynie podobać. *Ergötzliche Scene* \*).

---

\*) Zabawna scena.

Amts-diner odchrząknął i wytrzeszczył głupie wołowe oczy, ale złotego ptaszka i złotowłosej dziewczynki wcale nie widział. Chciał nawet wstać i z kijem iść do bawiących się dzieci, bo tak sobie tłumaczył wykrzyknik urzędnika; ale ten uspokoił go i upewnił, że scena ta bardzo przyjemną jest dla niego dystrakcją. Powiedział mu nawet, że wieczorem zapisze ją sobie do dzienniczka, przyczem starał się amts-dinerowi dać jakieś takie pojęcie o pisaniu dzienników, czyli pamiętników, i zachęcał go, aby toż samo czynił, zbierając w urzędowej podróży przygody i wrażenia.

Amts-diner uśmiechnął się i przyrzekł, że dzisiaj zrobi początek i spróbuje, jak to pójdzie.

Tymczasem w ciemnej alei dworskiej powstał jakiś ruch niezwykły. Naprzód ukazał się młody pokojowiec z białym galonkiem u czapki, a dużym kijem w rękę. Za nim biegł jeszcze jakiś drugi chłopak, a za tym w powiewnej szacie ukazała się młoda dziewczynka, załamując ręce. Za nimi postępował niskiego wzrostu jegomość, robiąc rękoma rozmaite uspakaające gesta.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa była to pogoń za złotym ptaszkiem.

Młody urzędnik powstał, to samo uczynił i amts-diner. Oba j obejrzeli starannie swoje kaputroki, \*), byli pewni, że to dziedzic Nowejwsi zbliża się do nich.

I tak było w istocie. Za kilka chwil przybył

---

\*) Surduty.

pokojowiec, za nim dziewczynka, a niebawem przyłączył się do nich i sam jegomość.

Siedzący na drzewie kanarek popsuł wszystkim szyki; zdawało się bowiem, że zamiarem przybyszów było wziąć się niezwłocznie do egzekucyi. co tém łatwiej stać się mogło, że kędzierzawy przestępca wcale nie uciekał, tylko spokojnie stał przy wylęklój złotowłosej dziewczynie. Ale ekzekucya mogłaby spłoszyć kanarka z drzewa; potrzeba więc było najpierw myśleć o ocaleniu złotego ptaszka.

Młody urzędnik uważał teraz za rzecz przyzwoitą zbliżyć się do prawdopodobnego dziedzica Nowejwsi. Amtsdiner sądził tak samo, i podniósł już nogę, która sposobem wprost mechanicznym zaprowadzić go miała do pełnej miski zrazów polskich.

Dziedzic szczerze przywitał gościa na swojej ziemi, bo tak Bóg i obyczaj nakazywali, a dowiedziawszy się, że nie jedzie do niego na sekwestracją, zaprosił go uprzejmie na półmisek zrazów polskich, do których w duchu trzy razy oblizał się amtsdiner Huber. Przyrzekł także postarać się o naprawę koła, za co otrzymał od młodego urzędnika dziesięć uchyień urzędowej czapeczki i dwa razy tyle: „Padam do nóg.“

Nim się ta sprawa załatwiła, siedział już kanarek na dłoni młodej dziewczynki, która przywabiła go z brzózki znanym pieszczonym głosikiem.

— Wär' ich Kreishauptmann! — pomyślał sobie w duchu urzędnik, i zerknął z ukosa za miłą blondyneczką.

— Gdyby to zaraz zrazy polskie dali! — marzył amtsdiner Huber, pozując, jak mógł najwspaniałej.

— Ile wielmożny pan każe dać Jaremie? — pytał głośno pokojowiec, machając kijem.



Jegomość spojrzał na urzędnika. Samowolna egzekucya w obec władzy wydała mu się niestosowną. Urzędnik zrozumiał to spojrzenie, a chcąc się dziedzicowi przypodobać, układał właśnie gotowy już wyrok w głowie, kiedy sobie przypomniał, że ten wyrok ubliżałby formalnościom przepisany.

Zawoławszy więc chłopca, zapytał go naprzód „ad generalia:“

— Jak się nazywasz?

— Jarema — odpowiedział chłopiec, nie tracąc odwagi.

— A twój ojciec?

— Ojca nie mam.

— Nazywał się Magdziak — uzupełnił dziedzic.

— Czy byłeś kiedy indagowany? — pytał dalej urzędnik — czy siedziałeś w areszcie, lub czy cię bito? — dodał po chwili, widząc, że go chłopczyzna nie rozumie.

— O, bito mnie nieraz — odparł — bił mnie opiekun i macocha.

I tak dalej ciągnął się protokół z delikwentem, aż przyszło w końcu do „species facti.“

— Więc kanarka, jak mówi pan dziedzic, ukradłeś z klatki? W jakim celu to zrobiłeś?

— Bo Nastka powiedziała, że za mnie pójdzie, gdy ję złote go ptaszka przyniosę.

— A drzewiczki od klatki złamałeś — ciągnął dalej urzędnik — to jest kradzież.

Dziedzic uśmiechnął się na tę krotochwilną scenę, którą urzędnik z całą uroczyścią odgrywał. Blondyneczka zaś z trwogą patrzyła na amtsdinera, który kij swój wyginał na wszystkie strony.

— Przecież ci Niemcy nie będą go bili! — szepnęła zcicha do ojca.

Urzędnik zreferował wyrok i zaczął go wygłaszać. Jakkolwiek nie bardzo złą mówił polszczyzną, znać jednak było po niezbyt polskim akcencie niemieckie jego pochodzenie.

— Kradzież z włamaniem się do własności dominialnej — mówił urzędnik — popełnił wprawdzie Jarema Magdziak, ale mówią za nim różne łagodzące okoliczności. Naprzód zaniedbane wychowanie, wczesna utrata opieki rodzicielskiej, niejasne wyobrażenie, o prawie własności, a w końcu namiętność, czyli raczej zbyt wygórowana żądza posiadania pięknej blondyneczki (urzędnik zerknął tu na córkę dziedzica) — wszystko to są rzeczy, które karę za jego przekroczenie sprowadzają do minimum... A jeśli do tego zważywszy, że jest małoletnim, jak w ogóle lud jest małoletnim, i ma po sobie opiekę „fiskusa“, więc wnoszę, aby rzeczony Magdziak tym razem uwolniony był od kary cielesnej, a poszkodowanego uprasza się, aby na drugi raz grubsze dawał druty u klatki, bo inaczej będzie karany za dawanie pokusy do przestępstw ludziom, którzy jeszcze nie mają zbyt jasnego pojęcia o własności dominialnej...

— Brawo! brawo! — zawołał szlachcic, którego dowcip urzędnika zaczął na seryo bawić — brawo panie komisarzu, (*licentia poetica* naszej szlachty), brawo! będziesz niezawodnie starostą!

Nie uważał na to pocziwy szlachcic, że w żartobliwych słowach tego wyroku zawierał się cały ówczesny system rządowy, który niby małoletniego chłop-

ca brał w opiekę w obec dworu, a w istocie usilną pracą stwarzał sobie ulubiony wtedy sposób rządzenia, którego dewizą jest: „D i v i d e e t i m p e r a!“

Urzędnik uradował się, że mu się powiodło z docwipem. Ale mała blondyneczka, trzymająca kanarkę na dłoni, nie rozumiejąc frazesów wyroku sądowego, zachmurzyła się i rzekła:

— Ja nie pozwolę bić Jaremy, on nic złego nie zrobił, bo kanarka mam w ręku.

— Jeśli panienska dobrodziejka w ten sposób mówi—odparł urzędnik z uśmiechem, w którym można było czytać: „Wär' ich Kreishauptmann!“—jeśli panna tak mówi, to ja, jako sędzia i prokurator nie będę apelował, tylko malefikanta z wolnej ręki w drodze łaski na wolność wypuszczę. Jarema Magdziak, pocałuj nogi panny dobrodziejki.

Chłopczyzna stał spokojnie i wcale nie wiedział, jakie niebezpieczeństwo mu groziło. Na rozkaz urzędnika przystąpił z uśmiechem do córki dziedzica i schylił swój słomiany kapelusz do jég kolan.

— Ein Mordkerl! \*)—szepnął urzędnik do dziedzica.—Gdybym był starostą, wziąłbym go sobie za służącego.

— Dobrze — rzekł, śmiejąc się dziedzic Nowejwsi—nim pan starostą zostaniesz, wezmę go tymczasem do siebie i przyuczę do usługi. A gdy pan ze złotym kołnierzem do mnie przyjedziesz i z Landsdragonem na koźle, to go panu oddam.

---

\*) Zuch.

— Biorę pana dobrodzieja za słowo — odparł urzędnik—będzie to mój p r o t é g é.

Śmiano się i mówiono jeszcze wiele o kanarku i Jaremie, bo wszyscy byli jakoś w dobrym humorze. Pogoda była prześliczna; w dolinie jaśniały szerokie łany żółtych kłosów; mnóstwo robotników krzątało się w okóło.

Wszyscy ruszyli w pochód do dworu. Dziedzic szedł z urzędnikiem i rozповідаł mu o procesie z gromadą o most nad rzeką. Blondyneczka bawiła się kanarkiem, wyrzucając mu jego niewdzięczność. Pokojowiec szedł z głową spuszczoną, że mu się nie udało palnąć kilkanaście kijów Jaremie, dla którego czuł jakąś nieodgadnioną antypatyą. A Jarema sam jeden włókł się z tyłu, słuchając rozkazu dziedzica. Miał to być wcale nowy epizod w jego życiu. Z trwogą spoglądał z pod oka na kij pokojowca, który był o kilka cali dłuższy od dobrze znanego kija opiekuna. Tylko uśmiechnięta twarz urzędnika dodawała mu jakoś otuchy i budziła w nim lepsze nadzieje.

I tak szczęśliwie wszyscy zaszli do dworu. We dworze przyjęto gości, jak polski obyczaj kazał. Była herbata i zrazy z kaszą, ulubiona potrawa amtsdinnera, który w kredensie dziwy rozповідаł o swoim zaszczytnym urzędzie.

Wieczorem siadł gospodarz do zielonego stolika i przegrał do urzędnika w „halbe zwölfe“ dziesięć reńskich monetą konwencyjną. Urzędnik mniemał, że dzisiaj miał szczęście szczególne, a szlachcic uśmiechał się z ukosa do żonki i córek, które ten uśmiech jego doskonale rozumiały.



Około północy pisał urzędnik w swoim dzienniczku:

„... Ich muss mich üben in der Landessprache.\*)  
Panna Nowowiejska jest bardzo ładna. Wär' ich Kreishauptmann... Mam lat dwadzieścia pięć, ona ma piętnaście. Polska szlachta jest dobra i dobrze myśląca, byle tylko inni jój nie bałamucili. A lud polski ślepo oddany rządowi. Nie dziw, rząd go proteguje, bo tak być powinno. Jarema ist ein Mordkerl! Muszę pamiętać o nim. Pastuchy mają własne swoje zwyczaje i obyczaje. Jest w nich wiele poezji, ale zdrowych, rzeczywistych pojęć bardzo mało. Lud polski jest dzieckiem jeszcze. Kto temu dziecku da mleka i papki, za tym pójdzie. Piastunka, jeśli mleka dziecku dać nie może, to mu obiecuje. Machiawel powiada, że jeśli czego dać nie można, to trzeba obiecać. Obiecałem wczoraj chłopom pół lasu pańskiego i trochę łąk. Z tego wprawdzie nic nie będzie, ale chłop będzie wiedział, kto mu chciał dać, a kto się temu sprzeciwiał... Huber jest człowiekiem bez najmniejszej nauki. W drodze lubi jeść czosnek, co we mnie budzi mdłości. Panna Nowowiejska ma szafirowe oczy... Wolę Göthego, niżli Schillera... Historya Rotteka jest zanadto jednostronna... Gdybym był starostą, panna Nowowiejska musiałaby być moją żoną, i nie bałbym się „Nowéjgóry“ wtedy... Jarema ist ein Mordkerl. Z dniem jutrzejszym będzie mi się należało 27 fl. m. k. za dyety... Komisya może jeszcze potrwać dwa tygodnie. Mam moralne przekonanie, że

\*) Muszę się doskonalić w języku krajowym.

Żyd ukradł, ale pan komisarz nie kazał na niego naciskać. Pan komisarz jest człowiekiem sumiennym; nie chce on nieszczęścia drugich. Żyd ma najlepsze mięso na cały obwód... W herbacie było dużo rumu... Coś mi się oczy kleją... Panna Nowowiejska...”

Na tém kończył się dzienniczek koncept-praktykanta obwodowego.

Amtsdriner Huber, zachęcony słowami przełożonego, kazał sobie lokajowi dać arkusz białego papieru i próbował także na nim skreślić myśli i wrażenia dnia dzisiejszego. Po kilku przemazanych słowach i trzech żydach, napisał Huber:

„...Szczęście wielkie, żem dzisiaj karku nie złamał. Głupia ta Nowagóra. Moja żona jest dziesięć lat starsza odemnie, a Babetta ma lat ośmnaście... Powinienem zawsze tę Nowagórę omijać. Dziś mi Pan Bóg darował, mam kark cały i żebra całe. Zrazy polskie były przesolone. Kasia pokojówka ma czarne oczy. Landsdragon Hans pożyczył u mnie brzytwy, która mnie kosztuje dwa cwancygiery. Chłopi nie lubią dziedzica, bo na niego robić muszą. Powiedziałem im to i owo, jak to zazwyczaj komisarz gada. Chłop powinien wiedzieć, kogo się trzymać. Powiedziałem wójtowi, że jak będą co mieli na dziedzica, to niech przyjdą do Hubera, a Huber zaprowadzi ich do starosty, gdy będzie w dobrym humorze. Zrazy były przydymione, kminkówka nieszczególna...”

Tutaj koniec dzienniczka amtsdrinera, bo olbrzymia plama atramentu usiadła na drodze, jak góra św. Antoniego przed wozem sołtysa Jędrzeja.

Jarema tymczasem leżał w piekarni na piecu

i przewracał się na wszystkie boki. Niemógł na żaden sposób usnąć. Najrozmaitsze obrazy przebiegały mu przed oczyma. Widział jasnowłosą Nastusię, ale złotego ptaszka już nie było!...

Skoro świt, obudził go pokojowiec zachmurzony i wezwał przed dziedzica.

---

## II.

### Bohater w zapasach.

Pokojowiec Szymek był przybłędą i nikt w gromadzie nowowiejskiej nie wiedział, z kąd się wziął i gdzie się urodził. Pan Nowowiejski przywiózł go pewnego razu z miasta obwodowego, w obdarłym kubraku, i oddał go lokajom do obmywania talarzów. Z téj to przyczyny gromada Nowéjwsi nie miała do niego szczególnego nabożeństwa i w gorętszém usposobieniu nazywała go „z n a j d ą.“ Ale Szymek, jak każdy przybłęda, co to niéma ni ojczyzny, ni rodziny, miał spryt niepospolity i przebiegłość, umiał się wszystkiu przypochlebić i wszystkim ująć. Mianowicie umiał korzystać ze swego wyjątkowego we wsi położenia, które pozwalało mu, jako słudze dworskiemu, odznaczać się najrozmaitszemi błyskotkami. Toż na jego czapce, na świcie i hajdawerach jaśniało mnóstwo szychu i pasów karmazynowych, z czego był dumny, jak sultan z koloru zielonego. Według jego wyobrażeń, a może nawet i pewnych doświadczeń, należał mu przed wszystkimi przywilój przypodobania



się dziewczętom nowomiejskim, czego by nikomu innemu nigdy nie odstąpił.

Zachmurzony więc zbliżył się do pieca i szturchnął kulakiem Jarekę, w którym widział prawdopodobnie rywala tak do łask pańskich, jakoteż i do ładnej płci miejscowej. Jarema uczuł na widok zachmurzonego pokojowca jakąś dziwną bojaźń, ale daleki był od myśli, jaka w tej chwili zaprzętała Szymka. Jarema stanął tylko na oczach ów duży kij, którym pokojowiec wczoraj tak zamaszyście wywijał, a który jeszcze dłuższy był od kija opiekuna...

Ale niedobre Jaremy przeczucia nie spełniły się. Dziedzic Nowejwsi łaskawie z nim rozmawiał, wypytawał go o różne rzeczy i w końcu oświadczył, że go w służbę przyjmuje, a jak się dobrze będzie sprawował, obiecał mu to wynagrodzić, tak, jak Bóg i dawny obyczaj przykazał. Pan Nowowiejski bowiem należał jeszcze do tej niewielkiej już liczby obywateli naszych, którzy lubią sługę od młodu sobie wychowywać i do swego domu przywiązać.

Z wielkiem nieukontentowaniem powziął tę wiadomość wszechwładny dotąd pokojowiec Szymek, który lubo młodszy, umiał panować i nad starym kucharzem, i nad jeszcze starszym ogrodnikiem. Najwięcej zaś bolała go myśl, że Jarema będzie te same, a może jeszcze i lepsze ozdoby, co i on nosił, bo pan Nowowiejski zaraz po konferencji z Jareką kazał zawołać Żydka, nadwornego krawca, aby Jaremie liberyą sporządził.

Jakkolwiek dobre obejście się pana Nowowiejskiego mocno Jarekę pocieszyło, przecież myśl o liberyi jakoś niemile go dotknęła. Nie mógł on sobie zdać

sprawy z tego niemal ego uczucia, ale tak było w istocie. Nieraz miewał na sobie kaftan w kawałki podarty, obszyty łatami ze wszystkich stron, świecący strzępkami najrozmaitszej formy; nieraz przeglądały mu włosy przez słomiany kapelusz, ciało nagie wyglądało dziurami koszuli; nieraz miał nogi pokrwawione od cierni i kamieni rzecznych; mimo to jakieś nieprzyjemne ośwładnęło go uczucie, na widok liberyi szychem wyszytój, chociaż wszędzie była cała i wcale z dobrego sukna piaskowego koloru.

Przyuczony jednak od dziecka do ślepój uległości, wlaźł biedny Jarema w liberyą, którą Żyd naprędce trochę podciął, wlaźł aż po same uszy, a nawet i te musiał przykryć czapką z czarnej ceraty, z sychowym galonkiem. Nieudolnym a nawet śmiesznym musiał się wydawać Jarema w tej swojej transmutacyi, bo Szymek zaczął się śmiać na całe gardło, i wszystką czeladź zwołał, aby należycie wyszydzić nowego dworskiego rekruta. I śmieli się też wszyscy, ile sił starczyło, śmieli się szczerze i serdecznie, bo Jarema w samej rzeczy nader komicznie wyglądał. Szeroką opaloną pierś ścisnął mu kubrak piaskowego koloru, z dużemi mosiężnemi guzikami, zapięty aż pod brodę. Spodnie były tegoż koloru i zwięzały się ku stopom nakształt kamaszy. Pod kolanem była przepaska z białego sychu, która go widocznie cisnęła i wolny ruch nogi tamowała. A gdy do tego dodamy grube trzewiki, jakich nigdy w życiu nie miał jeszcze na nogach, i czapkę z ogromném lakierowaném dnem, która cały kark jego przykrywała — to przyłączymy się niezawodnie do śmiechu całej czeladzi, która w Jaremie widziała niedźwiedzia, gdy mu przemysłny Nie-

miec żelazny pierścień przez nos przewdzieje. Swobodny w ruchach i ładnej budowy, przedzierzgnął się nagle w orangutanga i drażnił wszystkich do nieustającego śmiechu kędzierzawym łbem swoim, oraz wystraszoną, dziwnie pomarszczoną twarzą.

Doskonale pochwycił ten moment naszego bohatera przebiegły pokojowiec Szymek, aby go w oczach świata nowowiejskiego raz na zawsze śmiesznym uczynić. Była to pierwsza przegrana Jaremy w tym nowym epizodzie jego życia.

Śmiała się z niego kucharka i pokojówka, śmieli się kucharz i ogrodnik, śmieli parobcy i dziewczki z mleczarni. Szymek z miną faryzeusza obracał go na wszystkie boki, niby mu poprawiając kubrak. a tymczasem czynił go tylko śmieszniejszym w nieudolności jego. Pokojowiec spostrzegł wkrótce, że Jarema nie tylko szkodzić mu nie może w oczach płci nadobnej Nowejwsi, ale przeciwnie, odbijał on od tego orangutanga udatnemi ruchami i pewną gracyą w noszeniu liberyi. Przybłąda bowiem tak jakoś przyrósł do téj liberyi, że mu wcale nie zawadzały ani opięte kamasze, ani ciasna szychowa przepaska pod kolanem, ani go gniótl kubrak migdałowego koloru, zapięty sztywnie pod samą brodę. Umiał się jakoś ruszać swobodnie w tym służalczym mundurze, był giętki i zwinny w téj szychami obszytój skorupie.

Jarema nie widział jednak różnicy między sobą a Szymkiem. Miał taki sam prawie kubrak, co i tamten, i takie same spodnie, z sychową pod kolanem przepaską. Dziwiło go to, że czeladź tylko z niego się śmiała, a w ubiorze pokojowca niczego śmiesznego nie dostrzegała. Widział on w tém krzyczącą nie-

sprawiedliwość świata, ale do takiej niesprawiedliwości był już od najmłodszych lat przyzwyczajony, i westchnął tylko do Boga, aby kiedyś odplacić się mógł temu niesprawiedliwemu światu.

Ale, jak wszystkie dolegliwości w życiu ludzkim mijają, tak i to minęło. Pokojowca odwołano na pokoje, na czeladź dworską wpadł ekonom z batem, że próżnuje i bez celu śmiechy wyprawia, a biedny rekrut dworski został sam jeden w kredensie, aby nad nowém swoim położeniem należycie się namyślić.

Widząc tutaj cały swój świat zamknięty we cztery brudne ściany kredensu i płaską powalą z góry przygnieciony, zaśmiał się Jarema i smutno spojrzał po swojej liberyi. Członki jego jakoś dziwnie skostniały i zgrubiały. Nie mógł się ani ruszać, ani postąpić, jak dawniej, gdy był pastuchem na wielkiej zielonej błoni. Naprzód przyszedł mu na myśl pokojowiec, a czoło jego zmarszczyło się. Mimo wiedzy wcisnęło się w jego serce jakieś nieprzyjemne dla Szymka uczucie. A gdy potem w myślach swych dalej się posunął, ujrzał przed sobą owego urzędnika, który niby był jego protektorem, a właściwie wprowadził go na to nowe, niezbyt przyjemne stanowisko. I właśnie chciał sobie o tym urzędniku coś pomyśleć, gdy drzwi kredensu z łoskotem się otworzyły, a na progu pojawił się amtsdiner Huber.

— No, ty Jarema — zawołał amtsdiner — co ty tak nos na kwintę spuścił? he? Ja i pan komisarz... już jedziemy precz. Podaj ognia do fajki.

Jarema na gołej dłoni przyniósł mu żarzący się węgiel z kominka.



— Co ty Jarema— mówił dalej Huber—to ciebie nie piecze?

— Choć piecze, ale cóż robić?—odparł Jarema,—służyć trzeba.

Mimo głupich, wolicz oczu swoich, spojrzał jakos roztropnie na niego Huber i rzekł po chwili:

— Jesteś bardzo mądrym człowiekiem, Jarema. Zapiszę to sobie dzisiaj do dzienniczka. Służba przede wszystkim. Mnie nieraz także piecze i boli, ale cóż robić? Kto chleb daje, dla tego niech piecze i boli. Chleb, to grunt wszystkiego na świecie.

Jarema patrzył na amtsdinera, jakby tych filozoficznych aforyzmów wcale nie rozumiał. Chleba dworskiego jeszcze wprowadzić nie jadł, a chociaż dziedzic bardzo po ludzku z nim sobie postąpił, zatęsknił jednak do swego pastuszego kaftana i do słomianego kapelusza.

— Słuchaj Jarema,—mówił po chwili Huber, poprawiając ogień w fajce,—podołałeś się mnie i panu komisarzowi, a to już wiele znaczy. Komisarz obiecał cię do siebie wziąć, jak zostanie starostą, a ja mogę już wtedy być kancelistą. Nim to jednak nastąpi, mówię ci, jeśli chcesz, aby ci się dobrze powodziło na świecie, to patrz zawsze na tego, co ci chleb daje, rób wszystko, co on robić każe, a nie pytaj nigdy dla czego. Jak tylko raz się zapytasz dla czego? to już pierwszy krok do biedy. Jam był czternaście lat żołnierzem, to wiem, jak być powinno. Słuchać a nie rezonować, ani gębą, ani w duchu.

Rzekłszy to, poklepał Jaremę ręką po głowie, z powagą protektora, jakby go chciał bierzmować na przyszłe burze żywota, i odszedł.

---

Taki był pierwszy poranek tego nowego epizodu w życiu Jaremy. Nastąpił drugi, trzeci i dziesiąty, a nic szczególnego nie zaszło.

Jarema pełnił rozkazy drugich, a wszystko, co żyło w piekarni, rozkazywało mu. I powoli przyzwyczajał się do dworskich, a dworscy do niego, i byłby może na zawsze utonął w fali czasu i historii świata, jako sługa kredensowy, gdyby okazana już w pierwszym rozdziale skłonność do jasnowłosej Nastusi nie była go wplątała w szereg szczególnych sytuacji.

Zaraz w niedzielę po nieszpórach stała się ważna zmiana w jego życiu. O tym czasie zwykli byli wieśniacy tłumnie zgromadzać się w karczmie u rudego Ieka i zabawiać się rozmową przy kieliszku. Młódź zaś, która nie miała przystępu do karczmy, roila się w około cmentarza i wyprawiała figle z dziewczętami.

Za pośrednictwem córki dziedzica, która wielce sprzyjała Jaremie mimo kradzieży kanarka, pozwolono mu pójść na tę poobiednią zabawę. Spodziewał się tam zastać Nastusię, a chociaż dzisiejszy ubiór niewiele obiecywał mu nadziei, jednak serce koniecznie go do niej ciągnęło. Do tego jeszcze dodawała mu otuchy myśl, że Szymek w takim samym mundurze miał szczególne u dziewcząt powodzenie, które na muzyce lgnęły do niego, jak muchy do miodu. Nie wiedział jednak, iż dla Szymka była liberya, jakby stworzona; umiał bowiem z taką fantazyą stawiać nogi w kamaszach i tak zgrabnie w obertasie podrygiwać, że każda z ukosa zerkąła na niego i rada była choć słówko, choć jeden uśmiech od niego dostać. A Jarema tymczasem wyglądał w sutój liberji, jak wół w złotej karecie.

Otoż skoro się tylko ukazał na cmentarzu, czy to już było tak ukartowane przez Szymka, czy tylko istny przypadek, dziewczęta poczęły się śmiać i wydrzeżniać biednemu rekrutowi dworskiemu. Spłonął gniewem Jarema, ale nie nikomu nie powiedział. Powiódł tylko okiem po grupach dziewcząt, szukając między niemi jasnowłosej Nastusi, i znalazł ją niedaleko siebie. Siedziała na murawie, a obok niej przykucnął Szymek i oboje śmieli się z Jaremy.

Jarema ścisnął pięść i posiniał ze złości, ale dziewczęta tém więcej śmiały się z niego, a chłopacy zanócili piosłkę humorystyczną:

Był Nikita u pana,  
Mył talerze co rana,  
Co południe w piecu palił,  
Aż sobie włosy osmalił.  
Hej Nikita, Nikita!  
I ty ta! i ty ta!...

Jarema obrócił się i odszedł. Całą noc płakał, a gdy nazajutrz przed dworem się ukazał, śmiały się z niego dzieciaki i dziewczęta.

Okropnym był dla Jaremy ten śmiech całego młodego pokolenia; a starsi potrząsali na to głowami, mówiąc między sobą, że głupi Jarema rady sobie dać nie może, i że dla mu tego bardzo źle będzie na świecie. Na czém jednak ta rada miałaby zależeć, o tém mu nikt nie powiedział. A Jarema myślał i myślał, i nic nie mógł wymyśleć.

Ale przecież jednego razu przyszła mu dziwna myśl do głowy. Przyjechał do dziedzica z dalekich

stron, jakiś krewny. Zamiast wykarmazynowego służącego, siedział na kozle rosły człowiek, z miną poważną, w stroju kozackim. A gdy kozak na drugi dzień od służby się uwolnił i nieco do karczmy i na cmentarz między dziewczęta zajrzał, przyjęło go całe towarzystwo wiejskie z należytem uszanowaniem. Nikt sobie nie umiał zdać sprawy, dlaczego to czyni, a jednak, pomimo całej pustoty młodych dziewcząt, które ze wszystkiego się śmiały, nie można było w kozaku nic takiego zobaczyć, co by je do śmiechu pobudzić zdołało. Był to strój swojski, a chociaż w tej okolicy, tak się nie ubierano, wiedzano jednak, że tam gdzieś dalej ku wschodowi mieszka lud, który mówi jakoś po bożemu, co każdy rozumieć może, a tak się ubiera. Ale takiego ludu, jak Szymek i Jarema, nikt nie znał.

Kozak bawił kilka tygodni w Nowejwsi i zawsze mile był widziany od gromady. Starsi wypytывali go, jak tam ludziom na świecie? czy jest także pańszczyzna? czy takie same wysokie podatki, na które człowiekowi trudno się zdobyć? i czy panowie dobrze się z gromadą obchodzą? A dziewczęta mizdrzyły się do brodacza i pytały: czy tam młodyce takie same mają czarne oczy, jak w Nowejwsi? i czy także lubią wianki na wodę puszczać? Kozak muskał czarne wąsy i zerknął z ukosa na czarnobrewy, bo wszystkie jakoś zarówno mu do serca przypadły.

Widział to Jarema i myślał sobie:

— Gdybym zamiast obcisłych kamaszy, miał takie szerokie hajdawery, i zamiast tych guzików prostych pas czerwony, tobym może lepiej mógł się ruszać, a nawet Nastce przypodobać...

I zaraz na drugi dzień po odjeździe kozaka, za



pośrednictwem panny Zofii, córki dziedzica, która darowała mu dawno kradzież kanarka z miłości przedsięwziętą, udało mu się wyjednać sobie w tym względzie posłuchanie u dziedzica, któremu z całą uległością wypowiedział swój wniosek, co do zamiany liberyi.

Nieba sprzyjały Jaremie; dziedzic bowiem był właśnie w bardzo dobrym humorze. Ekonom przyniósł mu raport, że żytko korcuje, że pszeniczka jest bardzo namłotna, a konieczyna więcéj wydaje, niż się spodziewano. Do tego nadeszła jeszcze niby przypadkiem Zosienka i tak się serdecznie z tatuniem popieściła, że tatunio jaknajlaskawiej Jaremy wysłuchał i jego życzeniom zadość uczynić przyobiecał. Kozak stryjecznego jego brata bardzo mu się podobał, i nawet myślał o tém, kogoby to ze sług swoich ubrać w tak szerokie hajdawery.

Żydek Mechel, krawiec nadworny i pachciarz krów, wziął się zaraz do roboty, a w niedzielę paradował już uszczęśliwiony Jarema w granatowej krótkiej kurcie, przepasany pasem czerwonym, w hajdawerach tak szerokich, jakich w okręgu mil dziesięciu nie było. A gdy się na cmentarzu ukazał, już się nie śmiały z niego dziewczęta, tylko z ciekawością mu się przyglądały. Nawet Nastusia jasnowłosa zamyśliła się na chwilę. Jarema bowiem ruszał się jakoś daleko zgrabniej i swobodniej, a nabyte przekonanie, że raz w życiu stało się zadość jego życzeniu, podniosło w nim wiarę w siebie i uczyniło go rozmownym, a nawet dowcipnym.

Ale Nastusia myślała sobie:

— Jarema chłopiec niczego. W ubiorze kozac-

kim dosyć mu do twarzy. Ale Jarema jest i zostanie tylko kozakiem, a Szymek ma łaskę u pana i umie się tak zgrabnie kręcić, jak to przy państwie potrzeba. Szymek może zostać kamerdynerem, będzie chodził w czarnym fraku i w białej chustce, a ja, gdy zostanie jego żoną, będę miała czepek i parasolkę zieloną. Wolę Szymka.

Jarema jednak nie wiedział o tym monologu Nastusi i obiecywał sobie złote góry. Ale wkrótce musiało nastąpić rozczarowanie. Nastka trzymała się Szymka, jak dawniej, tylko teraz mniej śmiała się z Jaremy. I chłopcy wiejscy mniej się z niego śmieli, ale zawsze patrzyli na niego z góry, jak na człowieka, który najmniejszego nie miał u nich znaczenia. Czy to w zabawach na cmentarzu, czy na muzyce, Jarema był zawsze ostatnim, i długo musiał się naprosić jakiejś młodocy, nim się odważyła pójść z nim w tany.

Za piecem w kredensie, gdzie sobie łóżysko był usłał, rozmyślał często Jarema po całych nocach nad tém, z kąd to pochodzi, że tak jest upośledzony między chłopcami całej gromady, i że na względy jasnowłosej Nastusi niczém zarobić nie może?

Tak mijały dni i tygodnie, mijały miesiące i lata, a Jarema nie postąpił ani o krok dalej. Przebył już trzy lata ciężkiej służby; po całych dniach i nocach rozmyślał nad tém, coby go mogło między parobkami i młojcami gromady jakoś podnieść i do serca Nastki wkręcić, ale dotąd nic wymyśleć nie mógł. Wszystko cokolwiek przedsięwziął, chybiało celu, a biedny Jarema już począł nie żartem tracić wiarę w siebie i w lepsze swoje przeznaczenie na świecie.—Trzy lata minęły, i jakież dla niego ztąd rezultat? Oto w kreden-

sie był prawie ostatnim, między młojcami ostatnim, a u Nastki—niczém!

Myśl ta, być wszędzie ostatnim, a tam, gdzie chciał być jedynym, niczém... myśl ta zabijała go, nie dawała w dzień i w nocy spokoju. Posmutniał, stał się ponurym, co twarzy jego nadawało wyraz bardzo przykry. Do tego jeszcze widocznie Szymek postępował w faworach u Nastki; sama go szukała, chodziła wszędzie za nim, a nawet często gęsto przekraczała granice, jakie dziewczętom wiejskim z taką skrupulatnością wytyka zazwyczaj każda nasza gromada. Wszystko to jednak szło na karb blizkiego sakramentu małżeństwa, a stare kumoszki patrzyły jakoś na to przez palce.

Ale Jarema nie mógł tego wszystkiego tak spokojnie znosić. Największym dla niego wrogiem był Szymek. Jego twarz gładka i zawsze uśmiechnięta, była dla Jaremy nieznośnym widokiem. Ztąd często przychodziło między nimi do poswarek, a nawet czasami poszturchali się nawzajem, przyczém Jarema najczęściej w ostatniej instancyi sprawę przegrywał, jeśli panna Zosia wcześniej się o tém nie dowiedziała. To rozjątrzało tylko Jaremę tém więcej, a czasami powstawała nawet myśl w jego głowie, że dziedzic robi mu krzywdę, chociaż bardzo łagodnie z nim się obchodził.

Jedyną dla Jaremy pociechą był amtsdiner Huber, który w tym czasie kilka razy do Nowejwsi zaglądał. Huber pocieszał go na swój sposób i radził mu, aby starał się dostać na chleb cesarski, bo ten jeszcze ze wszystkich najlepszy. Co pierwszego każdego miesiąca w y f a s u j e sobie człowiek swoje pie-

niądze i jest panem całą gębą. Czapkę nosi na baki, i tylko przed starostą, komisarzem i kancelistami musi się nisko kłaniać, a cywilnym ledwie głową kiwa. Tak mawiał do niego amtsdiner, ale zaraz nie-  
miłosiernie psuł mu rzucone przed oczy czarowne obrazy. Powiedział mu bowiem z westchnieniem, że to na żaden sposób być nie może, bo Jarema jest głupi chłop, cham, a tu potrzeba człowieka uczonego, lub przynajmniej takiego, jakim on jest, amtsdiner Franz Friedrich August Huber.

Jarema zwieszał głowę w smutku, ale przecież jakoś mu lżej było przy Hubercie, który sam jeden znał jego tajemne cierpienie, bo w całej gromadzie nie było ani jednej duszy, którejby się mógł zwierzyć. Często w bezsenną noc migła mu przed oczyma czapeczka amtsdiner, a orzeł z rozpostartymi skrzydłami wydawał mu się, jak ów ptak zbawienia, który znękanym żeglarzom przynosi nadzieję blizkiego portu.

Lecz wkrótce zaszedł w życiu Jaremy ważny wypadek, chociaż on sam o tém nie wiedział.

Pewnej niedzieli spostrzegł stary kucharz, że Jarema, wyłazając z łóżka, stąpił lewą nogą na podłogę.

Prócz tego opowiadała kucharka, że przed pacierzem naczczu wymówił jakieś nieczyste przekleństwo, a gdy za panną Zofią niósł do kościoła książkę, potknął się w samych drzwiach kościoła i upadł, jak długi. Dzwonnik znów gotów był nawet przysiądz, że koło św. Antoniego, przy którym stał Jarema, zgasiła nagle lampa, chociaż z niej masła nie wybrał, bo właśnie dopiero wczoraj żona jego robiła masło... Sło-

wem, mnóstwo rzeczy miało się stać tego dnia, a chociaż o tém dopiero nazajutrz mówić zaczęli, nikt jednak nie powątpiewał w całej gromadzie, że to wszystko było prawdą.

Otoż dzień ten miał być już z góry dla Jaremy feralnym. Przy obiedzie pokłócił się z Szymkiem i pięścią mu pogroził. Po nieszpórach wyszedł na cmentarz, a widząc, jak Nastka się serdecznie z Szymkiem bawiła, odwrócił się i w odwrocie uderzył niby przypadkiem Szymka po głowie. Szymek poczerwieniał ze złości, ale Jarema stał cichy i spokojny. Przeciwnik nie miał odwagi wziąć się do niego, bo twarz Jaremy była jakoś dziwnie zmieniona.

Wieczorem poszła młodzież na tany do karczmy. Szymek hulał i pił do upadłego; Jarema siedział w kącie i patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Około północy wyszedł Jarema z karczmy, a stary Borys widział, że nie poszedł do domu, tylko wszedł na ścieżkę po nad wysoki brzeg rzeki.

Wkrótce znikł i Szymek z karczmy. Wszyscy porozchodzili się do domów, a rudowłosy Icek zgasił świeczkę i wsunął się pod pierzynę.

Dopiero nad ranem przyszedł Jarema do kredensu. Miał ubiór zmoczony i włosy rozczochrane. Szymek nie wrócił.

Nazajutrz dziwne wieści podawali sobie ludzie od ucha do ucha. Dziedzic zawołał Jaremę i długo z nim sam na sam rozmawiał. Ogrodnik opowiadał w sekrecie kucharzowi, że pan coś mocno był zamysłony po téj rozmowie i długo chodził między zagonami cebuli i maku. Za kilka dni przyjechał nawet



inadnataryusz \*) i coś z panem układał. Ba, nawet umyślnie czy przypadkiem przyszedł piechotą amtsdinner Huber, zjadł we dworze cały talerz zrazów z kaszą i wypił pół flaszki kminkówki.

Jaremie jednak ani włos nie spadł z głowy, choć ludzie bardzo różnie o tém wszystkiém mówili, choć nawet w kilka dni potem znaleziono nad wysokim brzegiem rzeki czapkę Szymka i potarganą chustkę z szyi.

Nastka płakała kilka dni i groziła Jaremie. Ale w niedzielę była już tak wesołą, jak zwykle, a nawet weselszą. Jarema zbliżył się do niej i długo z nią rozmawiał. Ale Nastka śmiała się, a Jarema odszedł od niej z chmurą na czole.

Gromada i młodsza jój generacya przyjęła jakoś dosyć obojętnie całe zdarzenie. Szymek był przybłądą, w gromadzie nie lubiono go, jako denuncyanta. Szymek bowiem wiedział, ile który drzewa w lesie ukradł, kto w nocy pasł konie na pańskiej łące, a co wiedział Szymek, wiedział i pan. Otoż nie miano wcale za złe Jaremie, że Szymek jakoś znikł bez śladu; byli nawet między gromadą i tacy, którzy to za zasługę Jaremie poczytywali. Nikt się jednak z tém w karczmie nie odezwał, bo Jarema niczém był w gromadzie i żadnego nie miał znaczenia; nie wypadało więc o tak niepoczesnej figurze rozprawiać, jak się rozprawia o porządnym gospodarzu.

Młodzież zaś gromady, nawet po tém szczególném

---

\*) Sędzia.

zdarzeniu, nie zmieniła wcale swego zachowania się względem Jaremy.

Był on zawsze i wszędzie ostatnim. Upokarzano go i śmiano się z niego, wypadek z Szymkiem dał nawet kilku mołojcom powód do różnych przytyków, co Jaremę we wściekłość wprawiało.

Jarema był z tego powodu w humorze coraz gorszym. Ustawiczne drażnienie zmieniło prawie całą jego naturę. Z potrzeby zawsze uległy i niby pokorny, nie umiał już teraz panować nad sobą. Popuścił więc cugli namiętnościom: pił w karczmie i hulał, a kto mu słówko powiedział, zbił go na kwaśne jabłko.

Bójki te powtarzały się bardzo często: synowi wójta złamał żebro, Kubie wybił oko, Onufremu nogę przetrącił, a guzów i sińców narozdawał co nie miera. Ktokolwiek bądź go wyzwał, brał się do niego, bez względu, czy słaby, czy silny i rosły chłop, a że się brał z wiarą w siebie i doraźnie, więc zawsze zwyciężał.

I dziwne zrobił przytém doświadczenie. Mołojce nowowiejscy, co to przedtém nosy do góry zadzierali i ciągle z niego drwili, gdy im porządnie wygarbował skórę, lub złamał żebro, przychodzili w kilka dni do niego, jak baranki, starali się o jego przyjaźń, a nawet chętnie stawali pod jego rozkazy.

Synowie najbogatszych kmieci wybierali go teraz na przewodnika, czy to do tańca, czy do jakiej wyprawy niedzielnej, czy téż w osądzeniu niektórych spraw wewnętrznych. Słowem Jarema ujrzał się nagle pierwszym mołojcem w gromadzie, a miał nawet nadzieję, że i jasnowłosa Nastka ulegnie temu urokowi. Cała bowiem młodzież nowowiejska uderzyła czo-

łem przed fizyczną potęgą, jaką w ostatnich czasach rozwinął Jarema. Bitki, odwaga i szczęście w walce wysunęły go naprzód, i w oczach młodszego pokolenia gromady otoczyły pewną aureolą...

I kto wie, czyby Jarema nie był w końcu dopiął celu najgorętszych marzeń swoich, czy nie byłby został pierwszym w gromadzie, a mężem jasnowłosej Nastusi, która już mizdrzyć się do niego zaczynała — gdyby właśnie ta sama szczęśliwa gwiazda, która mu nową pogodną kwadrę w jego życiu zapowiedziała, nie była ogonem swoim zmiotła nagle wszystkich jego nadziei.

I tak u samėj bramy szczęścia, gdy już ręką brał Jarema za klamkę, aby ją sobie otworzyć, pochwycił go zły duch za kołnierz i na progu zatrzymał.

A biedny Jarema, który nagle, jakby z nieba spadł na ziemię, nie miał nawet czasu, ani zdolności po temu, aby się tém pocieszyć, że chociaż człowiek pod ciosami złych ludzi upadnie, idea jednak, jaką niósł w sobie, może tém świetniój tryumfować. Wprawdzie wynalazł Jarema sposób, jak można między młodszą generacją gromady nowowiejskiej dobić się pierwszeństwa, ale cóż z tego, kiedy mu furtki szczęścia nie pozwolono otworzyć?...

---

### III.

#### M a n d a t a r y u s z.

**T**a sama droga, która Jarekę prowadziła do upragnionej mety, odkryła mu nagle przepaść pod stopami. Nowy tryb życia, jaki wiódł od pewnego czasu, a którym młodemu pokoleniu nowowiejskiej gromady tak mocno zaimponował, sprawił w innych sferach nie bardzo miłe wrażenie. Częste bitki w karczmie, ustawiczne wyzywanie wszystkich, którzy się do niego zbliżyli, jakaś buta nieodgadniona, która nie wiedzieć z kąd mu przysłała, odebrały mu we dworze wziętość, jaką miał zrazu z powodu swojej uległości. Do tego jeszcze przyłączył się nałóg pijaństwa, w który widocznie coraz więcej brnął Jarema. A wszystko to nie obeszło się bez zaniedbania służby, bez narażenia się temu i owemu we dworze.

Tę nagłą zmianę Jaremy różni sobie różnie tłumaczyli. Jedni brali ją za prosty wpływ pewnych w rodzie Jaremy tradycyj. Mówili, że ojciec Jaremy był pijakiem, a pijak pijaka rodzi. Drudzy sądzili, że Jarema się rozłajdaczył z powodu nieszczęśliwego swego afektu do Nastusi, która jego zaloty wyśmie-

wała. A byli i tacy, którzy nieco głębiej sięgali, i dzisiejszy tryb życia Jaremy brali za objaw wyrzutów sumienia, przyczém o zagadkowym zniknięciu Szymka szeroko téż mówiono.

I jak z jednéj strony buńczuczne zachowanie się Jaremy do wielkiego w oczach mołojców podnosiło go znaczenia, tak z drugiéj stronniectwo dworskie patrzyło na niego z tego powodu coraz nieprzyjaźniéj. Ślepy kucharz czuł mrowie w krzyżu, gdy Jarema wszedł do kuchni; zezowata kucharka w głos wyrzekała, że Jarema od niejakiego czasu ani jednego słodkiego słówka jéj nie powiedział, a kulawy ogrodnik odmawiał co rano litanią do Najświętszój Panny, aby mu nie dała wpaść w szpony Jaremy.

Takie usposobienie stronniectwa dworskiego musiało także i na samego dziedzica wpływ wywrzść. Przychodziły ze wszech stron skargi na Jaremę. Mechel żądał obniżenia arendy, bo Jarema porozpędzał pijących chłopów z karczmy. Powinowaci obitych nagabywali dziedzica, aby im zwrócił kosztą leczenia. Słowem, z każdym dniem gromadziło się nad głową Jaremy coraz więcej chmur, grożących burzą i piorunami.

Upojony jednak sukcesem, nie zważał na to Jarema. Jak niegdyś naród żydowski wybrał Saula na króla, z téj prostej przyczyny, że był o głowę wyższym od wszystkich Żydów — tak młodzież nowowiejska wybrała sobie Jaremę na przewodnika, dla tego, że pił więcej od innych, tańczył lepiéj i dłużej od kowala, najzręczniejszym był w bójkach i najskorszym do kija.

Ale nieprzyjazne mu stronniectwo dworskie za-



częło szczęście jego podkopywać, a nawet panna Zofia, która najdłużej Jaremie sprzyjała za to, że dla miłości posunął się aż do kradzieży kanarka, odstąpiła go teraz, widząc, że Jarema wyprawia codzien gorsze burdy.

Było już więc powszechne przeciw Jaremie zniechęcenie we dworze; reszty dokonał mandataryusz.

Pewnego bowiem poranku przyszedł mandataryusz do kancelaryi dziedzica i długo z nim rozmawiał. Ślepy kucharz, który przypadkiem miał względem mięsa jakiś do dziedzica interes, zatrzymał się także przypadkiem pode drzwiami kancelaryi. Ślepi ludzie mają zazwyczaj słuch doskonały; więc rad nierad wysłuchał kucharz całą z mandataryuszem rozmowę.

Opowiadał później ogrodnikowi, jak mandataryusz coś o Szymku mówił i o tém, co ludzie coraz głośniej między sobą gadają; o złém życiu Jaremy i o potrzebie, aby go z dworskiej służby uwolnić, inaczej dziedzic i mandataryusz będą mieli korowody z różnemi komisjami, czego jednak obaj unikać powinni.

I musiał dobrze słyszeć ślepy kucharz, bo w kilka dni potem dziedzic zawołał Jaremę do kancelaryi, i długo, długo z nim rozmawiał. A gdy Jarema wyszedł na kurytarz, przechodziła tamtędy panna Zofia, i nie mówiąc, wcisnęła mu do ręki talara z Matką Boską. Jarema przyszedł do kredensu, zawinął swoje manatki, a otarłszy łzy, zarzucił węzełek na plecy i wyszedł ze dworu.

Ogrodnik i kucharz dziwili się, że Jarema tak spokojnie, jak baranek, wyszedł z kredensu. Byli na to przygotowani, że jednemu i drugiemu zostawi ja-

kąś pamiątkę na plecach, bo tak kazało im się spodziewać ich własne sumienie. Obaj przykucnęli w kuchni, a ogrodnik zalecał przyjacielowi skuteczną przeciw Jaremie litanią do Najświętszej Panny, która go nigdy nie zawiodła. Kucharz powtarzał za ogrodnikiem i mówił przytém w nawiasie:

— ...Wieżo z kości słoniowej... (Wy bo Jacenty niepotrzebnie judziliście zawsze pana na Jaremę)... módl się...

— ...Orędowniczko nasza... mówił ogrodnik... (To wy chodziliście Mateuszu do pana, donosząc, że Jarema w karczmie)... módl się za nami!...

— ...Pocieszycielko nasza! — wołał kucharz — (Albo to ja powiedział panu o Wawrzku?)... módl się za nami!...

— ...My grzeszni Ciebie Matko błagamy!... (Ja mam czyste sumienie)... przyczyn się za nami:...

— ...Kyrie eleyson... (Czartabyście zjedli Jacenty, wy temu wszystkiemu winni, a teraz umywacie ręce).

— ...Chyste eleyson!... (Zjadłeś ty dwa czarty!)

Pomimo wszelkich nawiasem wtrącanych dodatków, skutkowałą jednak litania, bo Jarema ani razu nie obejrzał się na kuchnię, gdzie dwaj przyjaciele pocili się ze strachu. Wreszcie na skrócie drogi pod figurą zniknął im zupełnie z oczu. Obaj odetchnęli, przeżegnali się, i na znak zgody i przymierza świętego podali sobie ręce, przysięgając pomoc wzajemną w razie, gdyby jaki nowy intruz chciał niepotrzebną kontrolą zamieszać ich spokój domowy.

Biedni jednak sprzymierzeńcy nie mieli pokoju, ani w dzień, ani w nocy. Jarema stawał im zawsze

przed oczyma. Włos jego kędzierzawy najeżał się do góry, oczy ciskały pioruny. Obaj przyjaciele pocili się pod pierzyną i odmawiali litanią do Najświętszej Panny; ale Jarema, jak stał, tak stał przed nimi. Różnie tłumaczyli sobie to dziwne zjawisko. Mówili między sobą, że Jarema jest zabójcą Szymka, i że dla tego straszy po nocach pocziwych ludzi, a kto w czém zrobi jeden krok, musi zrobić i drugi. Więc obaj przyjaciele postanowili raz na zawsze pozbyć się swojej trwogi przed Jaremą, cokolwiekby kosztowało to miało.

Do tego popychały ich różne wieści, które do ich uszu dochodziły. I tak: widziano Jaremę leżącego w grochu przy drodze, którą zwykł był wieczorem chodzić kucharz z jakimś tajemniczym węzełkiem do córki, wydanej za zagrodnika. Mówiono także, iż Jarema zaglądał raz przez płot do ogrodu, w którym właśnie coś kopał ogrodnik. W karcznie miał coś powiedzieć, co dwom przyjaciółom mrowia w pacierz nagnało. Słowem, był czas ostateczny, aby się raz pozbyć téj ustawicznej trwogi.

Najbliższej niedzieli przyszli obaj do dziedzica i prosili go o pozwolenie udania się na nieszpory do Zagrody, drugiej majątności pana Nowowiejskiego, aby tam przed cudownym obrazem Matki Bożkiej na pewną intencją pomodlić się. Pan Nowowiejski pozwolił im chętnie.

— I jakąż macie intencją?—zapytał z uśmiechem.

Kucharz spojrzał na ogrodnika, ogrodnik na kucharza i obaj poskrobali się w głowy. Po chwili odezwał się kucharz:

— My mamy intencją, wielmożny panie... ..ot intencją... aby Bóg chronił wielmożnego pana od jakiego nieszczęścia.—

Pan Nowowiejski uśmiechnął się, widząc przebiegłość sług swoich, wyrachowaną na jaki taki podarek.

— I jakież nieszczęście, prócz tego, co Bóg na mnie zesłał, mogłoby mi grozić?—zapytał po chwili.

Obaj przyjaciele poskrobali się znowu w głowy, spojrzeli na siebie i odchrząknęli. Ogrodnik ozwał się pierwszy:

— Nieszczęście! Alboż to trudno o nieszczęście?... Wszystko wyschło, jak siarka, cztery tygodnie ani kropli deszczu nie było! Gdyby iskra... poszłoby wszystko z płomieniem!..

— Co ty mówisz? czyś oszalał? któż takie rzeczy gada?—przerwał pan Nowowiejski, żegnając się z przestachu.

— My-bo nic nie gadamy — odparł ogrodnik— ale... Jarema... Jarema coś tam gada...

Pan Nowowiejski spojrzał uważnie na obu, i na chwilę zamyślił się. Potém zapytał z boleścią:

— I cóż gadał Jarema? Wszak ja mu nic złego nie uczyniłem.

Tutaj rozwinęli obaj sprzymierzeńcy wielką taktykę w wymijaniu stanowczych odpowiedzi. Kucharz skrobał się ustawicznie w głowę i mruczał coś niezrozumiale pod nosem. Tłumaczył się swoją kurzą ślepotą, że wieczorem nie poznaje ludzi. A ogrodnik udawał kompletnie głuchego i na pytania dziedzica niestosowne dawał odpowiedzi. Słowem po całogodzinnéj rozmowie nic a nic nie dowiedział się pan No-

wowiejski, prócz jakichś nieugruntowanych podejrzeń.

— Już ja tam temu wszystkiemu nie wierzę, co mówicie i czego nie mówicie—zakonkludował pan Nowowiejski,—Jarema jest pocziwe chłopczysko. Rozłajdaczył się ostatnimi czasy, to prawda, ale jestem przekonany, że jak bieda mu się w uszy naleje, to wejdzie w siebie, poprawi się i przyjdzie do mnie.

Z takim rezultatem odeszli obaj sprzymierzeńcy i udali się do Zagrody.

W Zagrodzie, oprócz cudownego obrazu Najświętszej Panny, mieszkał także i tak zwany mandataryusz. Po niesporach, odmówiwszy modlitwę do Matki Bożkiej, wyszedł kucharz z ogrodnikiem z kościoła i obaj udali się w kierunku do podsienia, gdzie mieszkał dygnitarz dominialny, który właśnie siedział w ganku, w kurtce w kratki czerwone i palił fajkę na długim cybuchu.

— Czy nas obaczy?—szeptał kucharz.

— Ja będę kaszlał—odparł ogrodnik.

Ale pomimo kaszlu i chrząkania, jakoś nie spostrzegł ich sędzia. Musieli więc znowu zawrócić się i jeszcze raz przejść pod samym nosem mandataryusza. I teraz jakoś nie patrzył na nich. Przeszli więc trzeci raz i czwarty, czém nareszcie zaintrygowany odchrząknął i krzyknął:

— A co tam do dyabła szwendacie mi się pod nosem, he?...

Kucharz szturchnął w bok ogrodnika i szepnął: „Teraz czas.“ A zbliżywszy się pierwszy do ganku, pokłonił się nisko przestrzegaczo w i propinacyi i ustaw i rzekł:



— Przepraszamy wielmożnego pana sędziego, my szukamy Walentego, bo gdzieś nam się podział.

— A po co tutaj przyszliście?—zapytała czerwono-kratkowana sprawiedliwość miejscowa.

— Na nieszpory, wielmożny panie—była odpowiedź.

— Wszak macie w Nowójwsi nową cerkiew?—zarzucił sędzia.

Kucharz spojrzał na ogrodnika, ogrodnik na kucharza, a pierwszy z nich ozwał się znowu tak samo, jak do dziedzica. Mówił o intencji do cudownego obrazu, a gdy o téj intencji coś się dalej zgadało, wspomnieli obaj o czterotygodniowej posusze, o stajni, która jest pod słomą tuż obok dworu, pożarach w okolicy... i w końcu nawiasem wspomnieli o Jaremie, o jego kędzierzawych, zawsze rozczochranych włosach, o kiju ogromnym, który zwykł nosić, odkąd się ze służby oddalił—i t. p.

Mandataryusz słuchał z powagą, przechylając głowę to w tę, to w ową stronę, a wydmuchnąwszy w końcu kłęb dymu, pomyślał sobie, tak, jak każdy mandataryusz w podobném położeniu byłby sobie pomyślał:

— Kucharz i ogrodnik przyszli u iezawodnie do mnie z denuncyacją, że Jarema chce dwór podpalić. Ustawa nakazuje mi sporządzić dokładny protokół *fracta pagina* spisany. Ale pisarzy wysłałem na słomki, a samemu nie chce mi się pisać. Do tego sprawa ta przysporzyłaby mi aktów i mnóstwo dała roboty. Jak każdy mandataryusz unikam niepotrzebnej pisaniny, i wolę takięj sprawie odrazu kark skrócić. Jarema wydawał mi się zawsze, jako indywiduum po-

dejrzone; ein bösesartiges, verdächtiges Individuum. Gesinde-Ordnung \*) nakazuje, aby podobne indywidua chwycić i do wojska oddawać. Więc krótka będzie sprawa. Jarema zapakuje do kamaszów, a tym sposobem będę miał spokój nawet i wtedy, gdy z cyrkułu przyjdzie coś o Szymka, którego prawdopodobnie ten łotr utopił. I tak Kuba Wronek obiecał mi dać 50 guldenów, jeżeli syna jego nie odstawię do wojska. Jarema pójdzie za niego: zwei Fliegen auf einen Schlag.

Tak myślał sobie mandataryusz i tak też uczynić postanowił. Nim jednak opiszemy, jakie wrażenie na Jaremie zrobiła ta uchwała wielkorządcy wzmiankowanego i jak zresztą cała gromada zapatrywała się na funkcję jego w Zagrodzie i Nowejwsi, musimy zrobić małe zboczenie i czytelnikom nieznanym dawnych instytucyj galicyjskich, dać jakieś wyobrażenie o tym szczególnym stosunków naszych produkcie. Jeżeli téj instytucyi bliżej się przypatrzemy, wyjaśni nam się niejedna zagadka.

---

Dawny system rządu, datujący się od czasów cesarza Józefa, wziął u nas lud wiejski w opiekę, orzekając bardzo słusznie jego małoletność. Obok zasady téj bezwzględnej opieki, zdał jednak najuczciwszą część władzy nad nim na dziedzica wsi. Dziedzic był w obec rządu za lud wiejski odpowiedzialnym, to

---

\*) Prawa dotyczące służebnych.

jest: dziedzic wybierał od niego podatki, pełnił służbę policyjną, łapał i do kryminału oddawał złoczyńców, wypędzał podwody, kwaterował wojsko, odstawiał rekrutów i egzekwował, co rząd postanowił. Za te przywileje ponosił dziedzic niektóre ciężary, tyczące się kościoła i oświaty publicznej.

Dziedzic jednak musiał dla tak uprzywilejowanego stanowiska posiadać pewne kwalifikacye, a jeśli któremu tych kwalifikacyi brakowało, to mógł kazać się zastąpić przez pewne indywiduum, które w poczućiu godności swojej nazwało się „sędzią,” albo poetyczniej „reprezentantem dominialnym,” vulgo zaś znaném było pod nazwą „mandataryusza.”

Aby się stać godnym tego tytułu i chleba, potrzeba było skończyć kilka klas elementarnych, być jakiś czas pisarzem dominialnym, a w upatrzonej porze przejechać się do miasta obwodowego i tam w urzędzie zdać egzamen z potrzebnych do przyszłego stanowiska wiadomości. Gdy ten egzamen nienajgorzej wypadł, a indywiduum prócz tego nie miało żadnych niełojalnych zarzutów przeciw sobie, odbierano od niego rodzaj przyrzeczenia, czy przysięgi urzędowej, że w myśl rządu i ustaw krajowych pełnić będzie swoje obowiązki. Po tym obrzędzie dawano mu do rąk duży arkusz, z dużą cyrkularną pieczęcią, która w obecnym dziedziców służyła mu za kredytywę ze strony rządu wystawioną.

Z tym jednak arkuszem w ręku był tak zwany „egzaminowany mandataryusz” nader biednym stworzeniem. Był bez chleba i musiał dopiero wyglądać miłosierdzia bożego. Zazwyczaj około św. Jana wyjeżdżał budką żydowską do Lwowa i starał się z Żyd-

kami siedzącymi na ławkach przed hotelami, a często i z lokajami zabrać znajomość; tą bowiem tylko drogą mógł się dochrapać kawałka chleba.

Już to znaną powszechnie jest słabość naszej szlachty do Żydka. Zaledwie szlachcic tłumok rozpakował, już Żydek faktor wszedł do pokoju i pomógł mu odpinać sprzączki. I zaraz odebrał zlecenia, aby konie kazał podkuć, dla jejmości kupił krupek, od modniarki przyniósł kapelusz i wystarał się dla dworu o trzy potrzebne indywidua: mandataryusza, guwenera do małego synka i lokaja.

Żydek zawinął się zręcznie koło wszystkiego, a za godzinę stały w przedpokoju dwa worki z kaszą, stało pudło z kapeluszem i stali w zgodzie bezprzykładnej: mandataryusz, guwerner i lokaj.

Szlachcic wołał jednego po drugim do siebie i robił ugodę. Tylko oczywiście worki nie ruszały się z miejsca, a dziedzic sam musiał przyjść do nich i w treść ich zajrzeć.

Tym sposobem przyszedł mandataryusz do chleba. Szlachcic płacił mu zazwyczaj od 120 do 200 guldenów rocznie, dawał pomieszkanie i kilkadziesiąt korcy zboża—rozumie się, dopiero za okazaniem owego arkusza cyrkularnego, z dużą, opłatkową pieczęcią. Z tego najmnij wziął Żydek 50 guldenów za faktorne, a nawet wymówił sobie jeszcze kilka skórek cielecych, co to na wsi nic nie kosztują.

W umówionym czasie, na wozach dziedzica, zjeżdżał mandataryusz do wsi. Obejrząwszy areszty i dyby, zwoływał gromadę i wykladał w sposób zrozumiały, jakie ona obowiązki ma względem reprezentanta dominialnego i samego dziedzica. O państwie nie

wspominał najczęściej, bo wiedział, że pod słowem „państwo“ nie mogła sobie gromada nikogo innego wyobrażać, tylko dziedzica i dziedziczkę. Za to tak wielki nacisk kładł na wyrestaurowane areszty i ponitowane dyby, że go cała gromada z największą pokorą do swojej wiadomości przyjmowała, rozchodząc się w uczuciu świętej bojaźni, jakiej tylko wybrani w niebie używać mają.

Są jeszcze dziś ludzie (oby to była nieprawda!), którzy żałują utraty przywilejów dominialnych. Jakkolwiek ten żal może pochodzić z zasady, jednak nierozumem jest w tém, czegośmy sami doświadczyli. Czémże bowiem były owe przywileje dominialne? Wybierać podatki, odstawiać rekrutów, łapać złodziei i włóczęgów i t. p. Któż to wszystko robił? Dziedzic, albo ten, co go zastępował i miał arkusz z pieczęcią cyrkularną.

Czém był ów mandataryusz? kogo widziała w nim gromada?

W założeniu był mandataryusz ostatniem ogniwem władzy rządowej. Rząd bowiem odbierał od niego egzamen i przysięgę i wydawał mu arkusz z pieczęcią. Gromada jednak inaczéj zapatrywała się na mandataryusza. Ona wiedziała, że dziedzic go w służbę przyjął i że go każdego czasu odpędzić może. Widziała, że mandataryusz na dworskich wozach zjechał do wsi, że dziedzic dał mu mieszkanie w swoim budynku, że leśny wydaje mu drzewo na opał, a kasyer albo arendarz wypłaca pensyą z dochodów skarbu. Do tego gromada zwozi mu nieraz worki z żytem i pszenicą z pańskiego śpichlerza, a owego arkusza z cyrkularną pieczęcią nigdy a nigdy nie widziała.



Z tego wносиła każda gromada, że mandataryusz jest sługą dziedzica, tak, jak ekonom, i że wszystko, co robi, robi za rozkazem dziedzica. W tém przekonaniu utrzymywało ją jeszcze błędne mniemanie, że gromada zostaje pod bezwzględną opieką rządu, przeciw której dziedzic z mandataryuszem intrygują.

Taki przywilej nie mógł dobrych wydać owoców. Już założony był z góry rozdział między gromadą a dziedzicem i postawił ich z czasem przeciw sobie, jak dwa nieprzyjazne żywioły.

Do rozkrzewiania rzuconego ziarna przyczyniły się także słabości ludzkie. Dwulicowa pozycja mandataryusza była nader trudna. Był on niby reprezentantem władzy rządowej i reprezentantem przywilejów dziedzica. Ztamtąd miał arkusz z pieczęcią, od tego zaś guldeny, żyto, pomieszkane i opał. Potrzeba było nadzwyczajnej przebiegłości, aby jedno i drugie dłuższy czas utrzymać. A że cyrkuł był dalej od dworu, toż trzeba było więcej oglądać się na dwór; potrzeba było zadość czynić wszelkim chwilowym wybrykom dziedzica, nawet i w najslabszych jego chwilach we wszystkiem mu dogadzać, a często życzenia jego uprzedzać. Że to wszystko pisało się na grzbiecie gromady, o tém dosyć napomknąć, a że to wszystko działo się nawet bez wiedzy dziedzica, najczęściej w osobistym interesie mandataryusza, tego dowodzić nie potrzebujemy, jeżeli zważymy na różne słabości ludzkie z czysto psychologicznego stanowiska. Wykonawstwo takiéj, żadną kontrolą nieograniczonej władzy, miało zanadto wiele pokusy, tak, że się jéj oprzeć było niepodobna.

Ztąd wiele źródeł otwierało się tutaj korzyściom

osobistym, a że tacy urzędnicy rekrutowali się po większej części z ludzi bez żadnego gruntownego wykształcenia, więc i błędy ich były większe i donioślejsze. A wszystko to spadało na dziedzica, bo tak widział rzeczy słaby rozum gromady.

Jakież tu pole miały do intryg społecznych złość i przewrotność!

Mandataryusz kazał bić chłopów, którzy na pańszczyznę nie wyszli; mandataryusz sprzedawał ostatnią krowę biednym sierotom za zaległe podatki; mandataryusz wydawał pasporta, gdy który dla zarobku na kilka dni chciał się oddalić; mandataryusz gnębił chłopską chudobę, gdy w dworskie łany wlaża: słowem, wszystko, co było „odiosum“ robił mandataryusz, czyli za jego plecyma dziedzic.

Po tém zboczeniu, wróćmy do Zagrody, gdzie na gauku przed mandataryuszem, w pokornej postawie, stoją kucharz i ogrodnik.

Pan Garalewicz, reprezentant dominialny Nowejwsi i Zagrody, był to mandataryusz staréj daty, który chłopu nie miał za bozkie stworzenie, dziedzicowi zawsze baki świecił, a urzędników obwodowych gościł u siebie z wytwornością sybaryty.

Prawdopodobne śledztwo Jaremy i w perspektywie ukazujące się stosy akt i pisaniny bez końca, zatrwożyły spokojne serce mandataryusza, postanowił całej téj sprawie kark skrócić przez oddanie Jaremy w rekruty. Cokolwiekbydź potém nastąpićby mogło, jużby Jarema należał do sądu wojkowego.

Pan Garalewicz był człowiekiem należytej energii, i tak się zrećźnie około sprawy zawinął, że za kilka dni wyglądał już Jarema na świat boży, przez małe okienko aresztu dominialnego, zakuty w ciężkie, podwójne kajdany.

Co sobie wtenczas Jarema w kędzierzawej głowie swojej rozbierał, trudno wiedzieć. Był smutny i ponury, a często zgrzytał zębami. Zdaje się, że czasami jakaś jaśniejsza myśl przebiegała mu po czole, bo twarz rozpogadzał i uśmiechał się. Zapewne obraz jasnowłosej Nastusi przebiegał mu wtedy przed oczyma...

Jarema wiedział, co go czeka. Wiedział, że za kilka dni będzie żołnierzem, i wiedział także, iż w obrębie władzy reprezentanta dominialnego zawsze w ten sposób rekrutowano do wojsko.

Nie dziwił się więc wcale, że go wsadzono do kozy i założono mu na nogi i ręce kajdany piętnastofuntowe.

Lżej mu się nieco zrobiło, gdy po kilku tygodniach wyszedł z ciemnego aresztu i wlaźł na wóz, który pod eskortą chłopów miał go odwieźć do miasta obwodowego.

I dziwna rzecz: chłopom, eskortującym go z pałkami, wcale nie miał tego za złe. Rozmawiał z nimi uprzejmie; mołojce wyszli tłumem przed karczmę, aby pożegnać ukochanego wodza, i chórem zaśpiewali, że on idzie od nich w cudze strony, idzie służyć na „czudzyni“ i zapomni o dziewczynie z czarnymi oczyma.

Jarema rozplakał się i zakrył oczy. Zdawało mu się, że między ciekawymi ujrzał także i Nastusię...

Dziedzic przejeżdżał właśnie koło karczmy. Oba-

czywszy tłum ludzi, zapytał stojącego opodal mandataryusza, co to znaczy? Mandataryusz machnął ręką i powiedział, że to zwykła wyprawa rekrutów, a mając właśnie coś o kradzieży w lasach dziedzicowi zaraportować, wziął go z sobą do kancelaryi. Tymczasem wozy odjechały z rekrutami.

Jarema ujrzał na skrócie drogi ściany dworu. Jakoś gwałtownie serce w nim uderzyło, i sam nie wiedział, dla czego pięście mu się zacisnęły.

W oknie od kuchni wyglądali kucharz i ogrodnik, odmawiając litanią do Najświętszej Panny za dobre powodzenie Jaremy. Smutnie zrobiło się panie Zofii, gdy usłyszała melodyą młojców.

---

#### IV.

#### S z k o ł a.

**Z**a kilka dni ostrzyżono Jaremę, wpakowano w biały kabat z zielonemi wyłogami, a nogi ściśnięto w kamasze. Nie obeszło się bez szturchańców w brzuch kułakiem, bo spodnie były nieco ciasne, a kabat nie chciał się zapiąć. Gdy jednak guziki wlaźły do dziurki, chociaż Jaremie tchu brakło, był już rekrut skończony i mógł po dziedzińcu kazarni \*) czasem się przechadzać. Na ulicę nie wypuszczano go jeszcze, bo ruchy jego w świeżym mundurze nie były dosyć swobodne. Musiał wprzód przyzwyczaić się ruszać i chodzić, na którą to naukę poświęcał ośm godzin dziennie. Przytém zapoznawano go z wyrazami, co znaczy: „halbrechts! halblinks!“ a gdy to i coś więcej wiedział, mógł już w kilka tygodni po raz pierwszy wyjść na rynek miasta obwodowego i tam należyście się rozpatrzyć. Kapral na wychodnym przypominał mu tylko, żeby pamiętał, że jest dzieckiem puł-

---

\*) Koszar.



ku, i dla tego, żeby nie nie kradł i niepowalany wrócił do kazarni o godzinie dziewiątej.

Jarema wyszedł na ulicę po kilkotygodniowym areszcie, ale zamiast gapić się po przechodniach i kamienicach, począł głęboko rozmyślać nad sobą.

Chleb żołnierski wydawał mu się jeszcze zbyt gorzkim, nie sposób mu było w nim zasmakować. O świcie spędzano go z siennika i guano do musztry, a gdy już z sił opadał, przypędzano do kazarni i kazano czyścić rynsztunek. Obiad żołnierski wielce się różnił od obiadu w kredensie pańskim, a nawet od obiadu chłopskiego. Chłop dał mu przynajmniej misę grochu z kapustą, a drugą kaszy ze słoniną i kartofli do tego, co się zmieści. Chleba krajał, ile chciał. Wolno mu było przytém paska popuścić i najmniej godzinę po obiedzie poleżeć. W kazarni wszystko było inaczej. Kaprał i tak krzyczał na niego, że ma wielki brzuch, i bił w niego pięściami, aby kabat się zapiał; a na obiad dawano mu kęs mięsa z jednym kneblem, \*) co zaledwie w gębie poczuł. Do tego cały boży dzień służba i egzercyrka; \*\*) biedny Jarema nie miał czasu ani przeżegnać się, ani pomyśleć o Nastce białowłosej, ani o dworze nowowiejskim.

Teraz więc, gdy mu pozwolono wyjść na miasto, jakież to stek myśli cisnął mu się do głowy! Jak smutno wypadły jego medytacye, gdy sobie przypomniał kredens nowowiejski, karczmę, cmentarz, a nawet błonie, na którym paś było!

---

\*) Okrągła kluska z mąki i bułek krajanych.

\*\*) Musztra.

W téj czarnéj melancholji pogrążony, poczuł, że szturchnął go ktoś w bok i za kabat pociągnął.

— Jarema Mordkerl! Jarema! Jak on wygląda w tym kabacie!—zawołał amtsdiner Huber.

Biedny Jarema ucieszył się, jakby Pana Boga za nogi złapał. Przecież znalazł choć jedną duszę pocziwą, przed którą mógł się poskarżyć i serce swoje otworzyć.

— Jarema—mówił dalej amtsdiner — jabym cię zaprowadził do mojej cymry, \*) ale to być nie może. Żona moja zła, jak osa. Ona by ci ten kabat pomyjami oblała.

— No, to pogadajmy tak, panie Huber,—odparł pokornie Jarema.

—Ba, tak nie idzie, tu na ulicy... Czy masz pieniądze?—zapytał po chwili Huber.

— Mam talara z Matką Bożką—odpowiedział Jarema.

— No to dobrze, pójdziemy do katolika na szklanekę piwa—zakonkludował Huber.

Był to ten sam talar, który mu w sieni wcisnęła do ręki panna Zofia.

W kilka chwil siedzieli obaj za długim stołem w szynku, a dwie ogromne szklenice piwa stały przed nimi. Huber wypytywał Jaremy, jakim sposobem dostał się do kamaszów? i słuchał go z należytą uwagą, a gdy rekrut skończył, Huber pociągnął potężny haust ze szklenicy i rzekł:

— Dziękuj Bogu, że się tak stało. Chleb żół-

---

\*) Pokoju.

nierski jest wprawdzie gorzki, ale téż i dworski do niczego nie doprowadzi. Ohoho! znam ja panów waszych! Oniby z człowieka skórę zdarli i duszę z gardła wyjęli, gdyby to można było. I cóż masz teraz ze swojej wysługi we dworze? Oto powinęła ci się noga, jak każdemu człowiekowi powinąć się może, zaraz wypędził cię dziedzic ze dworu, a potem szepnął mandataryuszowi do ucha: „Garalewicz, Jarema mi się nie podobał“ A usłużny Garalewicz zakuł cię w dyby i w kamasze wpakował! He, czy nie tak?

Jarema obracał w rękę talarka z Matką Bożką i myślał sobie w duchu:

— Huber ma słuszość — jam tego pierwój nie wiedział

Huber mówił dalej:

— I może teraz we dworze kto myśli o tobie, że ci tu nienajlepiój siedzieć? Gdzie tam! Pan prędzój myślałby o psie legawym, niżeli o swym słudze. Oni tam zapijają sobie poncz z rumem i dwa razy na dzień kawę piją, bo gromada na nich pracuje. Grają sobie w karty, gdy im się dłuży, albo jadą na wojaż, gdy już dużo długów mają. A cóż tam chłop u nich! —

Jarema kiwał głową to w tę, to w owę stronę, bawiąc się ciągle talarkiem z Matką Bożką.

— I dlaczegoż to tak jest? — zapytał po chwili.

— Ba, dlaczego tak jest? — odparł Huber. — Ja nieraz już pytałem starszych od siebie o to. Powiedziano mi, że tak jest, bo tak dawniej bywało.

Jarema myślał, co to wszystko znaczy? — ale nie mogło mu się to w głowie pomieścić. Wiedział on tylko teraz, że dziedzic wielką wyrządził mu krzywdę,

że prawdopodobnie w rekruty go oddał. Zasmucił się i spuścił głowę.

— Nie smuć się Jarema—rzekł po chwili Huber, kazawszy przynieść drugą kwartę piwa—nie smuć się; wszystko, co złe, to minie, a może być lepiej. Rekrutowi zawsze źle, ale potem przyzwyczaisz się. A gdy wysłużysz swój czas, to możesz sobie znaleźć wygodny kawałek chleba. I wierz mi, choć człowiek jest prostym żołnierzem, to zawsze więcej znaczy, niż kamerdyner pański z białą chustką na szyi. Kamerdyner, to fagas, nic więcej! a ty, przyszedłszy na kwatere, możesz nakłąć gospodarzowi, jak ci się podoba. I ja byłem żołnierzem.

Łyknąwszy piwa, prawił dalej Huber:

— Wojak, to przecież nie psia para. Pamiętam, raz wysłano mnie na egzekucyą do posesora. \*) Było widzieć, jak ja tam nos do góry trzymałem. Dawano mi dwa razy kawę na dzień, a jeszcze kłąłem, co się zmieści. A pan posesor jaki był uniżony dla mnie! Zawsze mówił: „Kochany panie Huber, czybyś nie chciał przy téj okazji wypędzić chłopów na pańszczyznę? Jesteś wojak, a twój biały mundur więcej znaczy, niżeli mandataryusz!“ I było widzieć, jak krzyknąłem na gromadę: „do sierpa!“ I cieszyłem się, że posesor prosił o tę łaskę!... O łaskę moję prosił posesor, rozumiesz rekrucie?...

— Ba—odparł rekrut naiwnie,—przecież to było przeciw gromadzie.

— No, no, tego nie trzeba brać tak ściśle—mru-

---

\*) Dzierżawcy.

czał pod nosem Huber;—dość na tém, że byłem sobie wtedy, jak pan jaki, i codziennie wypędzałem do żniwa... póki posesor podatków nie zapłacił, a ja z „brodsakiem“ \*) znowu do przeklętej kazarni nie wróciłem.

Jarema kazał dać znowu piwa, i ciekawie słuchał Hubera. Marzył sobie, jak to onby przyszedł do Nowójwsi, w białym mundurze, czako „błank polirt“... \*\*) jakby to zaklął... ale komu? o tém jeszcze nie myślał rekrut.

— I widzisz — ciągnął dalej Huber — przecież w końcu dosłużyłem się chleba. Zostałem kapralem a wysłużywszy kapitulacyą \*\*\*), przyszedłem tu do miasta. Właśnie było miejsce na amtsdinera, a że wysłużony wojskowy przed wszystkimi innymi ma pierwszeństwo, więc dostałem tu urząd i jestem sobie panem. Mam sto pięćdziesiąt reńskich na rok.

— Sto pięćdziesiąt!—krzyknął Jarema, dla którego ta kwota była sumą neapolitańską.

— Tak jest, sto pięćdziesiąt cwancygierami. Co pierwszego fasuję z kasy dwanaście reńskich i pół!

— Dwanaście i pół!

— I mam fraj kwartir i drzewo, i zawsze coś kapię—słowem ein gemachter Mann \*\*\*\*).

Rekrut zamyslił się głęboko. Najcudniejsze obrazy przebiegały mu przed oczyma. Chciał jeszcze

---

\*) Torba na chleb.

\*\*) Pięknie wyczyszczony.

\*\*\*) Czas obowiązkowej służby.

\*\*\*\*) Pan całą gębą.



coś powiedzieć, ale wtém wstał Huber i rzekł do niego:

— Zapłać, bo nie mam czasu, starosta czeka na mnie. Tak, tak, starosta! Mam tylko takich kikunastu w mieście, którym się kłaniam: staroście, komisarzom, kancelistom i kontrolerowi od kasy. Wszyscy inni czapki przedemną zdejmują. I ty możesz takim, jak ja zostać... jeżeli tyle będziesz umiał, co ja. Ale dziedzic ciebie nie uczył czytać i pisać. A widzisz! to niechże cię uczą tego w pułku.

Rzekłszy to, zasadził czapeczkę na głowę i pociągnął Jaremę za sobą, a Jarema cieszył się, że przynajmniej w ręce katolickie przejdzie jego talar z Matką Bożką, który dostał od panny Zefii.

---

Przed dziewiątą przyszedł do kazarni, i z ciężką głową położył się na sztrozak. \*) Ileż tam nowych myśli krążyło teraz po téj głowie kędzierzawej, krótko ostrzyżonej! Huber nagadał mu tyle rzeczy; jakiś nowy, nieznany dotąd świat otworzył przed jego oczyma. Okazał w perspektywie ponętą karierę na sto pięćdziesiąt reńskich, z deputatem drzewa! „Mój Boże—myślał sobie Jarema,—gdybym ja to pisać umiał i czytać! Zostałbym kapralem, a potem świat cały stałby dla mnie otworem!... Czemuż mnie we dworze nie uczono czytać i pisać!?... Ohoho! dziedzic to dla chłopca nic nie zrobił! Onby wołał, żeby chłop był ciemny i głupi. Huber ma słuszość!...”

---

\*) Siennik.

I gdy właśnie tak sobie myślał, tak śnił słodko o sztuce pisania i czytania, szturchnął go kapral pod żebro, aby się czémprędzej zbierał. Jarema otworzył oczy: dzień był już biały.

— Wstawajcie!—zawołał kapral—ruszajcie się Maćkil bo tu nie na piecu leżycie. Choć deszcz dzisiaj pada, nie będziemy próżnowali. Pan lejtnant zaraz przyjdą i będą trzymali szkołę, Schule halten. No prędko! auf!

Jarema przetarł oczy i sam sobie nie wierzył. Czy to było na jawie, czy we śnie jeszcze? Właśnie śniło mu się, że siedział na długiej ławie, na jakiej zwykle bito przestępców; śniło mu się, że przed nim leżały litery, jak baki z brzuchem wydętym, to znowu, jak kije do kupy związane, albo, jak stołki do siedzenia. Jarema rozpatrywał się właśnie w tym nowym świecie, gdy go nagle zbudzono. I o dziwo! zbudzono go, aby się zbierał do szkoły, gdzie właśnie takie długie są ławy, a na ścianie wisi tablica z takimi sameymi bakami, jak we śnie przed nim leżały!

Niepewien był jednak, co właściwie w kazarni może oznaczać to słowo „szkoła.“ Zapytał więc o to towarzysza.

— Jakto, nie znasz co szkoła?—odparł towarzysz.—A prawda, tyś głupi rekrut. Szkoła, to jest cymra \*), w której pan lejtnant wiele gada, a jeszcze więcej za uszy targa.

— A co gada?—przerwał rekrut.

— Ot gada różne rzeczy: co to karabin, jak się

---

\* Pokój.

nazywa zamek, bagnet i lufa, co jest kapral i kirchparada, a co hauptwach i posten. Co są menażki i lenik, a co sztokhaus i krummgeschlossen i t. d.

— I czego więcéj uczą? — zapytał ciekawie rekrut.

— Czego uczą?—odparł szlafkamrat. Ot uczą także, co jest krieg i doppeltlenik.

— A czytać i pisać?—wyszeptał zeicha Jarema.

— A także, jeżeli kto chce i ma palce po temu.

— Kto chce? — powtórzył rekrut. — O, jabym chciał...

— Jeżeli ci mało kułaków w brzuch i plecy, to możesz jeszcze i palce nadstawić... Zresztą ten tylko uczy się czytać i pisać, kto chce, czyli raczéj kto się spodziewa zostać kapralem. Kapral musi pisać raport i prowadzić menażebuch.

Jarema spuścił oczy i nic na to nie odpowiedział. Ale w duchu myślał sobie: „Ja chcę zostać kapralem i prowadzić menażebuch!“

Właśnie w téj chwili zawołano go do tak zwanej szkoły.

Była to zwykła izba żołnierska. Rekruci siedzieli na siennikach. Po chwili wszedł pan lejtnant—i szkoła zaczęła się.

Pan lejtnant mówił im najprzód, że żołnierz już nie jest prostym Maćkiem. Powinien szanować swój biały kabat, nie powinien kraść, ani w błocie leżeć. A gdy k lka kardynałnych wyobrażeń w najzrozumialszy sposób im wytłumaczył, przytoczył kilka przykładów, zdolnych pobudzić miłość własną żołnierzy.

Tak i tym podobnie gadał pan lejtnant i na tém, skończyła się szkoła. Jarema wyszedł z niéj dumniej-

szy i śmielszy, a choć czytać jeszcze i pisać nie umiał, zdawało mu się jednak, że już więcej znaczy, niż ogrodnik albo kucharz. I gdyby wtedy wlaźł mu był w drogę dziedzic jego, pewnie powitałby go z tak gęstą miną, na jakąby się tylko zdobyć mogła jego twarz pomarszczona.

Bawiło go i zadawała przez dni kilka wysokie o sobie wyobrażenie; a gdy już z tém oswajać się zaczął, nadeszła sztuka czytania i pisania.

Czytać i pisać! To słowa ze złota lane! Może zostać kapralem, a po czternastu latach mieć pensyą stopięćdziesiąt reńskich! Czytać i pisać!—świat cały stał dla niego otworem!... A w Nowéjwsi nikt o tém nie pomyślał! Tam nie było ani tablicy z dużemi literami, ani arkusza białego papieru!...

— To przecież dobre ludziska—mruczał Jarema pod nosem, gdy mu kapral palce wyłamywał, aż kćści trzeszczały.—Przecież to wcale inaczej człowieka traktują—myślał sobie w duchu,—gdy feldwebel ucho mu kręcił za żyda na papierze;—a pan kapitan to prawdziwy ojciec—marzył sobie, oblizując palce, po których właśnie skrobnął go linia kapitan za to, że a przewrotnie napisał.

— Człowieka przecież czegoś nauczą—mówił do szlafkamrata, a czego nie nauczą, to wbijają w niego, bo różnie uczy się człowiek. Patrz Maćku, gdyby mnie kapral nie był w bok szturchnął, nie byłbym przy a zrobił tak ładnego ogonka.

Przy tak optymistyczném usposobieniu Jaremy, nietrudno mu było, nakładem ogromnego kapitału cierpliwości, nauczyć się za sześć miesięcy czytać i pisać. Rozumie się, i w czytaniu, i w pisaniu często jeszcze

szwankował, ale umiał przynajmniej każdy szyld nad sklepem przeczytać, jeżeli artysta niezbyt litery powiązał, i umiał napisać list do swego opiekuna w Nowójwsi, który zaczynał się: „Wiel Cekocha Ny obiegunie!“ i t. d.

Któż był szczęśliwszym teraz od Jaremy? Stał z tak gęstą miną po bruku, jakby miał w stajni sto koni. I myślał sobie: Gdyby kto w Nowójwsi był, co by mnie czytać i pisać nauczył, byłbym już kapralem, miałbym pięć dydków dziennie, szeroki żółty pasek wokoło czapki i karabin trzymałbym w lewej ręce. A tak trzeba się dosługiwać. Przecież służba dzisiejsza może mnie do czegoś doprowadzić! Huber ma sto pięćdziesiąt reńskich!

---

Pewnego razu przybiegł Huber do kazarni i krzyknął Jaremie do ucha:

— Jarema, chodź, pójdziemy do komisarza!

— Do komisarza?—ofuknął Jarema ze strachem

— Jakto? nie przypominasz sobie tego urzędnika, który w Nowójwsi uwolnił cię od kijów, gdyś kanarka ukradł?

Jarema posunął ręką po czole. Było to dla niego wspomnienie zbyt bolesne, bo mu przypominało. Nastkę jasnowłosą, której dotąd nie mógł zapomnieć. Zadumał się na chwilę, a potem rzekł:

— Aha, ten pan, co to obiecał mnie na służbę wziąć do siebie!

— Ten sam—odparł Huber,—więc do niego pój-



dziemy. Wprawdzie on o tobie prawdopodobnie zapomniał, bo właśnie ze Lwowa na komisarza trzeciej klasy przyjechał, ale ja mu ciebie przypomnę. Tylko słuchaj: jak co dostaniesz, pójdziemy na wino.

Jerema przyrzekł wszystko, a Huber, któremu już nos sporo poczerwieniał, wziął go pod ramię i obaj wyszli do miasta. Długo chodzili po chodniku przed urzędem obwodowym tam i nazad; aż wreszcie wyszedł ztamtąd znajomy nam urzędnik, w mundurze służbowym. Obaczywszy Hubera, popatrzył chwilę na niego, a potem rzekł.

— Huber!

— Zu Diensten, panie komisarzu — odparł Huber, kłaniając się nisko czapeczką.

Komisarz powiedział mu coś o jego czerwonym nosie, przypomniał mu nawiasowo „Nowągorę“ i pytał go, czy ma jeszcze kark cały i żebra w dobrym stanie? Po chwili chciał już odejść, gdy Huber zwrócił uwagę jego na swego towarzysza. Komisarz wpatrzył się w żołnierza, który jak struna wypreżył się przed nim i dwa palce do holcicy \*) przyłożył, ale nie mógł sobie téj twarzy przypomnieć.

— Czy nie poznaje pan komisarz Jaremy?— wtrącił Huber nieśmiało.

— Jarema! Jarema!—powtarzał komisarz i szukał czegoś w pamięci.

— Co to przed kilku laty w Nowójwsi ukradł kanarka i za to kije miał dostać—prawił dalej Huber.

— Aha, aha! przypominam sobie—odparł komi-

---

\*) Czapki.

sarz.—Mordkerl Jarema, mam zapisane w dzienniczku..

— Co to go pan komisarz obiecał na służbę wziąć, gdy zostanie pan komisarz starostą — wtrącił Huber.

— Ba, niechno pierwój Jarema kapitulacją wysłuży,—odrzekł z uśmiechem komisarz.—Ależ on służył we dworze...

— Ze dworu wypędzono go i oddano w kamaszę—mówił Huber.

Jarema zwiesił głowę, na znak, że to, co Huber mówi, istotną jest prawdą, a komisarz poklepał go po ramieniu i mówił mu, „żeby nie tracił ducha, tylko dobrze się sprawował, a już o nim nie zapomną.“ W końcu wyjął dwa cwancygiery i wsunął je do ręki Jaremy. Przytém ścisnął go widocznie za rękę i powiedział mu, aby każdym razem do niego się udawał, gdy czego potrzebować będzie.

— Widzisz Jarema — szeptał mu do ucha Huber—ty przez moję protekcyą wyjdiesz na człowieka. Już twoja karyera gotowa. Widzisz, co to służba cesarska! Oho, ho! panowie to inaczéj płacą za służbę! Wypędzą, obedrą, do kamaszów zapakują!

Jaremie zdawało się, że już awansował, że jest już czémś między kapralem a prostym żołnierzem... Wziął Hubera pod boki i z taką butą nasunął czapkę na lewe ucho, że wszyscy przechodnie z drogi im ustępowali, bo myśleli, że szukają zaczepki.

— Patrz, jak cywil przed nami ucieka!—szepnął Jarema amtsdinerowi do ucha—ten cywil, to śmiecie! Pójdźmy do Jośka!

U Jośka było wiele gości. Jedni pili piwo, inni

wino, a byli i tacy, co miód pili. Jarema siadł u stołu, przy którym siedzieli ci, którzy wino pili, i krzyknął na kelnera, aby przyniósł kwartę wina.

Za kilka chwil stała przed Huberem ogromna flacha z brudnożółtym płynem. Obaj popijali ze szklanek, życząc sobie to tego, to owego. A gdy już ciepliej zaczęło im się koło serca robić, uderzył w stół Jarema i zaśpiewał sobie jedną z tych pieśni, którą będąc pastuchem, śpiewał w Nowójwsi:

...Żal welyki maju, tużu bez prestanku,  
Tiażenko wzdychaju wid zmroku do ranku—  
Siediaczy doma dumaju,  
Szo pryjatela ne maju.  
Żal serciu mojomu  
Tak żyty samomu!...

Jakim sposobem ta dumka wymknęła się z piersi Jaremy... co ją tam obudziło wśród dzisiejszego położenia?—trudno odgadnąć; może to było instynktowe przeczucie, że ci, którzy dzisiaj znajdowali się koło niego, nie byli jego przyjaciółmi? może to była wyjątkowa chwila w jego życiu, w której uczuł bolesne osamotnienie wśród obcego żywiołu? Nie wiemy; dosyć, że głos Jaremy był smutny i rzewny, i wszystkich pijących do milczenia zmusił.

Rzewna i smutna melodia słowiańska wpadła, jak perła między brudną atmosferę szynku i sprawiła na chwilę dziwne wrażenie. Płaskie koncepta, nieswojskie śpiewy ucichły nagle. Sam Jarema czuł w piersi jakieś błogie zadowolenie, gdy ta pieśń w jego sercu zabrzmiała. I porwany jakąś nieodgadnioną

rozkoszą, zabierał się właśnie do odśpiewania drugiej zwrotki, gdy Huber nagle w bok go szturchnął i zawołał:

— Czyś zwaryował? Śpiewasz, jak chłop, jak pastuch — ty przecież wojak! Ludzie śmiać się będą. Patrz, tam kapral już się śmieje, a furyer patrzy się na ciebie, jak na raroga.

I chcąc zatrzeć czempredzėj niekorzystne wrażenie, jakie według jego zdania pieśń Jaremy wywarła, na całém szynkowém zgromadzeniu, zaczął donośnym głosem śpiewać rapsod ulubionėj piosenki, szturchuając Jaremę, aby mu wtórował:

...O mein lieber Augustin,  
Eins, zwei, drei, eins, zwei, drei,  
O mein lieber Augustin,  
Eins, zwei, drei, vier!

Zawstydzony Jarema, uwierzył w nieprzyzwoitość, którą popełnił, i jak mógł biedny starał się gardło swoje do piosenki Hubera nastroić. Ale wtór nie szedł jakoś, dopiero furyer z kancelarji wojskowej podtrzymał piosenkę Hubera silnym basem, wybijając takt pięścią na stole.

Piosnka niemiecka odniosła zwycięztwo w szynku u Jośka. Jėj melodya powszechnie znajoma i treść nader prosta, pomogły jėj wiele do zwycięztwa. Więc téż wkrótce zabrzmiał cały szynk tą pieśnią, a jakkolwiek ona tylko z jednéj składała się zwrotki, śpiewano ją przeszło pół godziny.

---

Znajdował się jednak ktoś w tym szynku, kogo pieśń Jaremy mocno zaintrygowała. Była to nader niepozorna figura, jak to z pierwszego wrażenia dało się wnosić. Zakrawała coś na dymisywanego urzędnika, albo mandataryusza. Był to człowiek niski, suchy, w nankinowych pluderkach i we fraku granatowym. Wszystko na nim było wytarte, połatane, poplamione. Pazuogcie duże, czarne i ostro zakończone, nos krogulczy, ruchliwy, oko bure, szeroko otwarte, oznaczały coś drapieżnego w tym człowieku. Na głowie miał cylinder dziwnie pomięty i połamany.

Od chwili kiedy Jarema zanócił dumkę ruską, człowieczek ten wlepił w niego przenikliwe oczy. i odtąd nie spuścił ich ani na chwilę. A gdy piosenka niemiecka w końcu ustała, zbliżył się do Jaremy i rzekł do niego:

— Wy zapewne z nad Saanu?

Jarema, zagrzany winem, wpatrzył się w nieznanego, okazując mu swoje zadziwienie, że go tak odrazu poznał, chociaż obaj nigdy w życiu się nie widzieli. Nieznajowy uśmiechnął się i mówił dalej:

— Oho ho! znam ja was wszystkich... zaraz wam powiem... Ja was widział na jarmarku... zaraz niech sobie przypomnę...

— W Jarosławiu—wtrącił zniecierpliwiony Jarema.

— A tak, tak, w Jarosławiu!—odparł nieznajomy.

Jaremie oczy na wierzch wylazły z zadziwienia, że nieznajomy odrazu go poznał i nawet odrazu odgadł, gdzie go widział.

— Zaraz, powiem wam jeszcze — mówił dalej



jomy—powiem wam, z jakiej wsi rodem jesteście... zaraz... tak się jedzie... ponad Sanem... jest górka...

— Nowagóra!—krzyknął Jarema, któremu już brakło cierpliwości.

— A tak, rychtyk, Nowagóra... a wieś nazywa się... czekajcie... zaraz...

— Nowawieś!—podszeptał mu Jarema.

— A prawda, Nowawieś! Znam doskonale tę wieś, znam pana i gromadę.

— Wy znacie dziedzica i gromadę?—podchwycił szybko Jarema, któremu nagle przyszła na myśl Nastusia jasnowłosa... ale przygryzł usta, bo i na cóż zdałoby mu się pytać o Nastkę, kiedy jemu do Nastki tak daleko!...

— O! znam dziedzica i gromadę — mówił dalej nieznajomy — bo mam właśnie w Nowej wsi mały procesik.

Jarema wydobyl z kieszeni węzelek cwancygie-rów, który mu snadź pan Nowowiejski przy oddaleniu ze dworu dał za służbę i kazał przynieść nową flaszkę wina.

— I jakież to proces mają?—zagadnął Jarema, z żołnierską tłumacząc niemieckie S i e na oni.

— Bardzo dobrze, że was widzę tutaj — rzekł adwokat procesów gromadzkich,—dacie mi niejaki wyjaśnienia.

Gromadzie chodzi o łoży „na starym Sanie.“ To było niegdyś gromadzkie, bo nawet zdawna stoi tam szpichlerz gromadzki; ale z czasem przywłaszczył to sobie dziedzic.

— Pamiętam, pamiętam ten proces—odparł Jarema — ale to dawno skończone. Już ja, gdy byłem

pastuchem, nie mogłem tam paść bydła... Dziedzic wygrał te łozy.

— Co, wygrał? — odfuknął pisarz pokątny, — wygrał?... Gromada, nigdy nic nie przegrywał! Jeśli dziedzic oszukał gromadę, lub kogo przekupił, to gromada apeluje i prosi o odnowienie procesu. Sąd gromadzie nigdy nic nie odmówi, bo wie, że dziedzic, jak chce, to zawsze wygra i gromadę oszuka.

— To prawda,—machinalnie zawołał Jarema i zamyślił się.

— Otoż ten proces chciałbym odnowić — mówił dalej mecenas gromadzki — ale cóż tu robić, kiedy w całej Nowójwsi nie ma jednego człowieka?

— Jakto, w gromadzie nie ma jednego człowieka? — krzyknął Jarema i uderzył rozgrzany winem pięścią o stół.

— Wy wprawdzie mówicie: „Hromada welyki czołowik,“ ale dla adwokata to głupstwo. Adwokat potrzebuje jednego z gromady, a nie całej czeready — wtrącił z uśmiechem mecenas.

— Ba, jednego! — mruknął Jarema i zamyślił się znowu.

— Trzeba jakiego gospodarza z powszechnem zaufaniem, któremuby całą tę sprawę powierzyła gromada i którego mogłaby wysłać do Wiednia... a ja-bym taką suplikę do cesarza napisał, żeby dziedzicowi aż w pięty poszłol... Oho ho! znam ja tych panów! Jeden podobniuteńki do drugiego! Żeby z gromady dała się wódka wycisnąć, tobą niezawodnie kociel w gorzelni nią nabił i przez alembik przepuścił!...

— A tak, to prawda! — mruczał machinalnie Jarema, wychylając duszkiem szklankę wina.

Huber tylko uśmiechnął się i mrugał oczyma.

— Szczęście wielkie dla gromady—mówił dalej mecenas—że panowie sami nie rządzą w kraju. Naprzód takim, jak ja, żywcem skórę zdarliby z ciała, a potem z gromady. Już to bardzo źle podzielił Pan Bóg szczęście między ludzi. Jeden ma po same dziurki, a drugi bieduje i robi na niego.

— Co prawda, to prawda! — wtrącił Jarema, któremu w winnej atmosferze coraz jaśniej w oczach się robiło.

I Huber wmieszał się do rozmowy. I tak naprzemian z kolei mówiono o ciężkich losach gromady i o nadużyciach panów. Mówiono o mandataryuszu, który szpony swoje wpija aż do kości chłopów, już to dla własnego zysku, już dla dogodzenia interesom pana. A wszystkiemu temu oczywiście winien był dziedzic, bo według nader prostej i rozsądnej dedukcyi mecenasa, wszystko ostatecznie na dziedzicu się opierało. Pojedyncze błędy i nadużycia zebrano w jeden ogólnik i postawiono, jako dogmat niezłomny. A nawet i do odleglejszych czasów zapędzili się towarzysze Jaremy, opowiadając, że dawniej źle było chłopu, że pan mógł go, jak psa zabić — aż dopiero dzisiaj, dzięki Bogu, wszystko to się z rozszerzeniem oświaty zmieniło.

Jarema słuchał i słuchał, i nie mógł się dosyć nasłuchać. Krzywdy gromadzkie występowały przed jego oczyma w świetle coraz jaskrawszém. Mecenas wspominał mu coś o potrzebie jednego gospodarza w gromadzie, któryby mógł walczyć za krzywdy tej gromady... I pomyślał sobie przytém:

— Hej, mój mocny Boże! gdyby to być takim gospodarzem w Nowójwsi! tobym... naprzód z Nastką

się ożenił... a potem temu mandataryuszowi... po nim dziedzicowi... ale nie, dziedzic mi nic złego nie zrobił...

Widać, że Jarema nie był jeszcze dojrzałym, aby zająć w gromadzie stanowisko, o którym właśnie myślał. On jeszcze nie kładł interesu gromady na samym przedzie — jeszcze osobistość własna zbyt wiele go zajmowała...

I kiedy tak to i owo w głowie sobie rozbierał, a coraz więcej światła migotało mu przed oczyma i węzelek cwancygierów coraz bardziej szczupłał, otworzyły się drzwi i jakaś niezwykła postać weszła do szynku.

Zrazu zerwało się kilku pijących z ławek, bo przybyły zakrawał na generała. Miał na sobie krótką kurtkę, bogato złotem wyszytą i kołnierz cały złoty. Na głowie siedział kapelusz stosowany z bujnym pióropuszem. Nawet Huber, co to przecież znał wszystkie szarże i stopnie, zagapił się i wstał ze stołka, aby gościa należycie uszanować. Przybyły prowadził pod rękę jakąś kobietę, która coś wyglądała, jakby niedawno zrzuciła z siebie kaftan i malowaną a ubrała się w szlafroczek.

I gdy tak całe towarzystwo szynkowe w największym było naprężeniu, jakim stopniem uszanowania ma przybyłych przywitać, a podpiły kapral już za okno czmychnąć zamyślał, mniemając, że to generał, — siedzący między Huberem a mecenasem Jarema poblebł nagle i oczy w słup postawił. Po chwili poczerwieniał aż po włosy, a nim Huber i mecenas odgadli, co robić zamyśla, przesadził jednym susem stół szeroki z krzykiem okropnym rzucił się na gościa.

Zamieszanie powstało w szynku, kilka światel zagaśło, a chmury pyłu zasłoniły resztę.

Przez kilka chwil głucho między pijącymi panowało milczenie. Słyszeć tylko było łoskot walących pięści i tarzanie się po podłodze. Wszyscy ogłupieli z przestrawu i zadziwienia i nie mogli sobie tego dziwnego zdarzenia wytłumaczyć.

Huber, najwięcej przy tej przygodzie, jako towarzysz Jaremy interesowany, najpierwszy też odzyskał przytomność i rozumem swoim, którym się kierował przez całą karierę wojskową, przewąchał niebezpieczeństwo; chwycił więc za czapeczkę i drapał przez najbliższe okno. Za nim posunął obrońca ustaw, chociaż według paragrafów najmniejszego nie było dla niego niebezpieczeństwa. Za przykładem tych dwóch najbliższych Jarema, poszli i inni, a gdy się w izbie nieco przestronniej zrobiło i pył z ziemi miał się gdzie rozejść, ujrzał z wielkim przestrawem ślepy Jośko, że Jarema gniótł kolanami piersi gościa, który leżał już prawie bez władzy—a towarzyszeki tego gościa już w izbie nie było.

Jarema wydobyl bagnet, a jasny blask żelaza powalił z nóg ślepego Jośka...

W tej chwili otworzyły się drzwi, a do izby wszedł naprzód jakiś jegomość w cywilnym ubiorze, który w oczach Jeremy był podobniuteńki do mandatarjusza z Nowójwsi. Za tym jegomością weszło czterech żołnierzy, trzymając broń, jakby do ataku. Był to patrol.

— Oho ho!—krzyknął Jarema, wywijając bagnetem, a w rozgrzaną jego głowę w dziwną logikę mieszało się to wszystko, co przed chwilą słyszał od



swoich towarzyszy—oho ho! już dosyć tego panie sędzio! Już mnie w rekruty nie oddacie! A czekajcie-no! Umieję ja już czytać i pisać—niech-no kiedy przyjdę do gromady, zaleję ja wam sadła za skórę!... Tak tak, panie Garalewicz!

Co się dalej z Jaremą działo, tego sobie później nie mógł dobrze przypomnieć, bo gdy oczy otworzył, był już z sztokhauzie.

Powoli zaczął sobie porządkować wrażenia dnia wczorajszego. Pamiętał, że w tym bogatym, od złota kapiącym ubiorze był Szymek, jego wróg zacięty; że ową kobietą, co z nim przyszła, była Nastka jasnowłosa... Więcej nie mógł sobie dobrze na razie przypomnieć, a nawet nie był pewien, czy to w istocie był Szymek, czy tylko widmo, które go nieustannie straszło...

Za kilka tygodni oświadczył mu audytor, że się upił i w pijaństwie omal zabójstwa nie popełnił na strzelcu od przejeżdżającego generała. A gdy Jarema na usprawiedliwienie swoje zaczął mu opowiadać historią o Szymku i Nastce jasnowłosej, i co Szymek owę pamiętną noc z nim chciał zrobić, a co mu się nie udało, i gdy także o mandataryuszu coś mu wspomniał, audytor rozśmiał się z Jaremy, mówiąc, że to wszystko tak mu się tylko wydało, jako człowiekowi pijanemu, że strzelec generała wcale się Szymkiem nie nazywa i nie ma żadnej Nastki przy sobie.

Jarema zgłupiał, i z rozdziawioną gębą słuchał wyroku, skazującego go na areszt z postem w sztokhauzie i na tak zwane „krummgeschlossen.“ Wreszcie uspokoił się i pomyślał sobie: Jak tylko wyjdę

z sztokhauzu, to przekonam audytora, że miałem słuszość.

Ale audytor dodał w końcu wyroku, że prócz téj kary, jako człowiek niespokojny, odesłany będzie do regimentu stojącego we Włoszech.

Jaremie łzy w oczach zabłysły. Pierwszy raz w życiu uczuł, co to jest ziemia ojczysta!

A koło serca było mu jakoś tak smutno, jak owego wieczora w szynku.

---

## V.

### Po latach dwudziestu.

**W**iele, bardzo wiele lat upłynęło od owego czasu. Po świecie przeciągnęło kilka burz krwawych, a każda z nich pozostawiła ślady po sobie. Najboleśniejsze ślady wycisnął rok 1846. Sieroty kilkuset rodzin rozsypały się po świecie, jak czarne węgle spalonego gmachu.

W Nowójwsi napozór nic się nie zmieniło. Ta sama sterczała górka wśród równiny, te same drzewa zielone, wysokie, ta sama wiła się rzeka błękitna. I alea prowadząca do białego dworku wyglądała tak samo, jak przed laty dwudziestu, i pastuchy tak samo bawiły się na pochyłości góry. A przecież nie było to już tak, jak dawniej!...

Biały dworek jakoś podupadł, ściany poodpadały od słoty. Wszędzie widać było upadek i jakieś zaniedbanie, jakby gospodarza w domu nie było.

Bo gospodarz już dawno leżał na wiejskim cmentarzyku; cicho też i spokojnie musiało być w grobie nieboszczykowi. Cztery drzewka rosły na tym gro-

bie. a wśród drzewek stał biały krzyż z kamienia, na którym wyryto prośbę o „Pozdrowienie anielskie...”

I w dworku białym było cicho, i spokojnie. Nie słyszałeś w nim ani śmiechu, ani wesołej zabawy, a nawet służby nie ujrzałeś. Ogródek tylko mały pod oknami, starannie kwiatami zasadzony, okazywał, że w tym dworku mieszka jakaś istota, która nie przestała jeszcze lubić kwiatów, albo która dopiero zaczyna kochać świat i życie, a zaczyna od kwiatów...

Z ganku wyszła matrona w czarném ubraniu. Na twarzy jój były już zmarszczki, choć wyraz żywych oczu, okazywał jeszcze wiek dosyć młody.

Była to owa Zosia, którą widzieliśmy w pierwszym rozdziale tego obrazku. Za nią postępowała młodzieńka, zaledwie pięnaście lat mająca dziewczynka, precudnej urody. Twarz jój była świeża i uśmiechnięta, oczy jasne, szczere. Miała na sobie suknię z białego perkaliku i stanik w czarne paski utkany.

Obie weszły do małej altanki i z robótką w ręku usiadły przy prostym stole.

— Mameczka dzisiaj taka smutna!—ozwała się dziewczynka, a łzy zakręciły się w jój oczach.

— Bo dzisiaj, moje dziecko, jest dla mnie dzień pamiętny — odpowiedziała matka;—dzisiaj poznałam po raz pierwszy nieboszczyka twego ojca.

Długi czas trwało milczenie. Matka pograżyła się w smutku i patrzyła przed siebie wzrokiem osłupiałym. U córki zwyciężyła młodość. Poświęciwszy chwilę boleści, pomyślała zaraz, kiedy to ona pozna i obaczy po raz pierwszy kogoś takiego, który jój zawsze zostanie!... I każdy pojmie, co po téj myśli za-

częło się roić w ładnej główce. Ale matka przerwała te marzenia:

— Tego dnia właśnie po raz pierwszy ujrzałam nieboszczyka — mówiła, jakby do myśli swoich. — Któżby był przewidział, że szczęście moje, które mi wtedy całą duszę upoiło, będzie tak krótkie i tak boleśnie się zakończy?...

Po chwili milczenia mówiła dalej:

— Za rok pobraliśmy się i wyjechaliśmy w Tarnowskie. Jeszcze się nie ocknęłam ze szczęścia, gdy straszne widmo stanęło przedemną i na zawsze świat mi zakryło!... O, ja dzisiaj nic nie widzę, nic, prócz téj nocy okropnej, gdy dom palił się nad moją głową, a u nóg moich leżał twój ojciec bez duszy!...

— Mamol! — krzyknęła córka i objęła matkę rękoma, wiedząc, ile cierpi przy tych wspomnieniach.

Ale matka była dzisiaj mężniejszą. Jakaś myśl błoga podtrzymywała wątłe jéj siły.

— Jakbym dziś na to wszystko patrzyła! — mówiła dalej. — W koło palącego się dworu stały tłumy ludu... Ale cyt — dodała, wychylając się z altanki — tam widzę idzie już kochany nasz proboszcz. Cieszę się, że w tym dniu coś dobrego uczynię dla ludu. Właśnie będziemy z proboszczem radzili o szkółce wiejskiej.

— O szkółce? — zawołała córka z zadziwieniem.

— Cóż cię tak zadziwia, Jadwisiu? — zapytała matka.

— A już cię zadziwia mnie, mameczko — odparła Jadwiga — że mamusia tyle robi dla tych ludzi.

Rzekłszy y to, zakryła twarz rękoma i płakać zaczęła.



Wspomnienie ojca, rozraniło srodze jéj młode serce i przypomniało wśród marzeń złotych, że jest sierotą...

Matka z boleścią patrzyła na córkę, a potem rzekła:

— Otóż ksiądz proboszcz już w furtce ogródka. Niech on, jako kapłan, odpowie ci na to. W jego ustach nabędzie to dla ciebie innego znaczenia. Gdybym ja ci to powiedziała, byłyby to słowa słabéj kobiety, która zwykła wszystko zapominać...

Gdy ksiądz proboszcz zbliżył się do altanki, rzekła matka po serdeczném przywitaniu gościa:

— Mam wielki żal do jegomości, bo jakoś nie najlepiej uczysz Jadwisię miłości chrześcijańskiej.

Staruszek zażył tabaczki i uśmiechnął się. Był on przygotowany na jakiś żarcik, który mu często płała panna Jadwiga.

Więc patrząc na lube dziecko z ukosa, rzekł znacząco:

— Pan Władysław lepszym będzie nauczycielem odemnie. Serce kobiety póty nie pojmie miłości chrześcijańskiej, póki wprzód z domowemi swemi sprawami się nie upora.

— Pan Władysław?—zawołała matka i spojrzała na córkę.

Jadwiga poczerwieniała aż po biały rąbek sukienki. Jéj oczy rozjaśniały się coraz więcej, aż wreszcie u jedwabnych rzęs zawisła świecąca perła.

— Cóż to jest, Jadwisiu?—zapytała z chmurką na czole matka.

— Ja o niczém, mameczko, nie wiem — odparła

Jadwiga, a jasne dwie łzy stoczyły się po jęj ślicznęj twarzy.

Proboszcz puknął niby z gniewem w tabakierkę i rzekł:

— Tom źle zrobił, żem czas i wypadki wyprzedził, chociaż mówią, że ludzioro genialnym często się to wydarza.

Żartobliwy zwrot mowy księdza proboszcza uspokoił matkę, a nawet i Jadwisia uśmiechnęła się przez łzy, które jeszcze ciągle jedna po drugiej z jęj ślicznych oczu umykały.

Musiała uwierzyć matka w szczerłość Jadwigi. Rumieniec i łzy były to tylko oznaki, że ksiądz proboszcz napomknięciem o Władysławie zeszedł ją niespodzianie. O żadnym Władysławie nie myślała ona wcale, a to z tęg prostęj przyczyny, że żadnego nie znała; ale myślała właśnie o kimś, który jeszcze nie miał imienia, a który, jak ongi jęj ojciec nieboszczyk, ujrzy ją gdzieś, najprawdopodobniej w kościółku, poraz pierwszy, który ją, a ona jego, pokocha i pójdzie z nim na kobierzec ślubny... Tak to marzyło sobie piętnastoletnie dziecęg, gdy nagle proboszcz wyjechał z jakimś panem Władysławem, jakby to już była rzecz skończona. I jakże tu nie spieć raczka aż po rąbek sukienki, jakże powstrzymać łez kilka, tak przyjemnych, tak jakoś słodkich?

Plakała więc Jadwiga szczerze i serdecznie. bo z tym płaczem było jęj jakoś tak dobrze, tak przyjemnie! Łez tych nie zamieniłaby dzisiaj za wszystkie skarby świata. Matka myślała, że te łzy odnoszą się wyłącznie do rocznicy śmierci ojca, że bolesne uczucie sieroctwa wycisnęło je z głębi serca. Więc tęg nie

wypytywała dalej jedynaczki, i uwierzyła na słowo, że Władysława żadnego nie zna. Całą więc historią o jakimś Władysławie, zaimprovizowaną przez księdza proboszcza, wzięła za żarcik, i właśnie miała księdzu proboszczowi udzielić kilku myśli, co do urządzenia szkółki wiejskiej, gdy nagle spojrzawszy na córkę, rzekła:

— Cóż to znowu, Jadwisiu, rozplakałeś się na piękne? A coby to było, gdyby kto przyjechał?...

— Co bardzo łatwo być może — dorzucił filuternie ksiądz proboszcz, zażywając tabaczkę i spoglądając na zegarek.

— Toby było wielkie nieszczęście! — zawołała przestraszona Jadwiga, wyobrażając sobie, że już ktoś wchodzi do altany, i widzi jej oczka czerwone i włoski na głowie w nienajlepszym porządku.

— Nieszczęście? — powtórzył proboszcz — nieszczęście? co za nieszczęście?... A prawda, prawda, panna Jadwiga ma słuszość, bo stoi napisano: „I porzuci ojca i matkę...”

— Ja mam nigdy nie porzucę — rzekła Jadwiga, przytulając się do matki.

Ale wnet podniosła główkę, jak sarna spłoszona, i cała drżąc poczęła słuchać. A tam od alei lipowej dochodził jakiś turkot głuchy, i coraz wyraźniej słyszeć było stąpanie koni i trzask bicia. Jadwiga zaczęła zwolna czerwienieć na twarzy, rosło jej serce, jak gdyby po za rąbek wychylić się chciało, gdy nagle służąca wpadła do ogrodu z oznajmieniem, że jacyś goście do dworu jadą.

Jadwiga zerwała się z ławki i znikła, jak biała chmurka wiosenna; matka zaś wpatrzyła się w pro-

boszcza, który się uśmiechał, jakby krył w sobie jakąś tajemnicę. Nie było jednak czasu do pytań, bo właśnie wszedł do ogrodu jakiś siwy, wysoki jegomość. ze sztywnym pod szyję halsztukiem. Za jego szerokimi plecyma ukrywał się młody blondynek w czarném ubraniu.

— A! pan pułkownik! co za rzadki gość!—ozwała się gospodyni, wychodząc przeciw gościom z altanki.—To się doprawdy nie godzi pułkownikowi. Tak blizkim być sąsiadem, a tak rzadko bywać w Nowójwsi...

— Pozwolisz pani dobrodziejka — odparł pułkownik, poprawiając halsztuka,—że się jasno wytłumaczę. Jestem człowiekiem staréj daty, kiedy to jeszcze przedewszystkiém lubiano wino, karty i kobiety. Dziś zaś jesteśmy goli, jak święci tureccy, a więc wina niéma za co pić, do kart niéma w Nowójwsi z kim zasiać, co do kobiet, pani dobrodziejko, to właśnie dla mnie rzecz najniebezpieczniejsza, chociaż, jak to mówią: u wdowy chleb gotowy...

— Ale niezdrowy — dodała gospodyni.

— Dla tego, jako stary żołnierz — mówił dalej pułkownik — trzymam się dawnéj taktyki. Nie przypuszczam szturmów, jak to dzisiaj robią, wszystkiemi naraz siłami, ale wysyłam najprzód lekką konnicę i gęsty łańcuch tyralierów, a sam zostaję w rezerwie... Więc pozwoli pani dobrodziejka, że przedstawię jéj mego kuzyna, pana Władysława...

Gospodyni spojrzała na pana Władysława, potem na pułkownika i proboszcza, bo cała scena zdawała się jéj być naprzód ułożoną. Pułkownik wyprostował się w poczuciu swójéj dowcipnie zaaplikowaném

przemowy, i podkreślał wasy z zadowoleniem człowieka, któremu szczęście pełnemi policzkami uśmiechać się zdaje.

Pan Władysław, był to młody człowiek, mający zaledwo lat dwadzieścia kilka. Ubiór jego był skromny. Czarna suknia zapięta do góry uwydatniała piękny wzrost jego. Włos jasny leżał na głowie naturalnie, bez żadnych sztucznych kędziorów. Wejrzenie miał rozsądne, a cała twarz jego była ogorzała od słońca i wiatru. Przyjechał na bryczce pułkownika, i nie miał nawet galonowanego służącego z sobą; trudno więc było, według wyobrażeń dzisiejszych matek uwierzyć, że pan Władysław przyjechał w konkury. Nie zarekomendował się ani ekwipażem kupionym za wybraną naprzód trzyletnią arendę z karczmy, ani angielskiej rasy kasztankami, na które zazwyczaj podpisuje się u Icka przesolony weksel a conto posagu przyszłej żony. Nie miał szkiełka w oku, ani bakenbardów á l'anglaise rozczesanych. I jakże to mógł być konkurent? A co najważniejsza, pan Władysław usiadł skromnie na ławeczce z pułkownikiem, zamiast założyć z angielska nogę na nogę i gospodyni sprezentować podeszwy lakierowanych butów swoich. Nawet nie mieszał się gwałtem do rozmowy, tylko czekał, aż starsi się wygadają, bo starszym należy się pierwszeństwo. I gdzież to mógł być konkurent?...

Matka wszakże Jadwigi mimo to odgadła intencje starego pułkownika; ale trochę smuciła się na myśl która zazwyczaj matkom rozkosz sprawiać zwykła. Położenie jej było opłakane. Nagła zmiana stosunków włościańskich, oraz smutne późniejsze katastrofy, zniszczyły do szczeru mężowski majątek i jej własny



posag mocno nadwerężyły. Jako kobieta, nie mogła sobie dać rady w gospodarstwie, a do tego, jakby na próbę jej cierpliwości, nawiedzały ją kolejno to wylewy, to grady, deszcze i posuchy. Potrzeba więc było poważnie myśleć o ratunku kilku włók ziemi ojczystej, drogiej ziemi wspomnień i pamiątek. Zapobiegliwa kobieta ułożyła sobie plan ratowania majątku, do czego, prócz największej oszczędności, potrzeba jej było najmuć cztery lata, aby się z biedy i z długów oczyścić. Postanowiła więc w tych latach żadnych nadzwyczajnych nie czynić wydatków, arządziła cały dom, jak zegarek i cieszyła się błogą nadzieją, że kiedyś będzie mogła dać Jadwidze cały swój po rodzicach zachowany mająteczek.

Jadwiga miała dopióro lat piętnaście; za cztery lata mógł już być mająteczek czystym, a Jadwiga miałaby wtedy lat dziewiętnaście, to jest tyle, ile według zdania matki potrzeba jej było, aby rozsądnie i dobrze wybrać sobie dożgonnego przyjaciela. Kogóż jednak zadziwi, jeżeli piętnastoletnie serduszko Jadwigi nic a nic o tym rachunku matki nie wiedziało?

Ta myśl więc, że stary pułkownik coś na swata zakrawa, zatrwożyła gospodynię. a serce jej ścisnęło się gwałtownie, gdy za altanką posłyszała szelest znamionujący kroki Jadwigi.

— Odrazu mu się spodoba, gdy ją zobaczy! — szeptało jej serce matczyne. — Po co ona właśnie teraz tu przychodzi?

Proboszcz patrzył z uwagą w twarz gospodyni, a potem zdawało się, że pułkownikowi dał jakiś znak ręką. Poczém ozwał się ten ostatni:

— Nie lubię praktyk dzisiejszych, aby nieprzyjaciela trwożyć i udanemi manewrami ludzi. A więc wprost uderzam na ostre.

Szelest za altanką ustał nagle. Matce się zdało, że słyszy oddech Jadwigi i przyspieszone bicie jęj serca.

— Otoż wyjeżdżam wprost z interesem, w jakim przyjechaliśmy z panem Władysławem do Nowéjwsi — ciągnął dalej gadatliwy pułkownik, i znowu miał ochotę zrobić pauzę, lecz powtórny znak księdza proboszcza znaglił go do pośpiechu.

Szelest za altaną ustał zupełnie. Musiał tam jednak ktoś być, bo matka często tam oczy zwracała i pan Władysław ustawicznie spoglądał w tę stronę. Zkąd szelest słychać było.

Pułkownik odchrząknął, a chcąc jak najkróćej się sprawić, bo proboszcz widocznie niekontent był z jego manewru, zaczął wprost o rzeczy:

— Musi pani dobrodziejka naprzód wiedzieć, że pan Władysław, syn mego ciotecznego brata, jest sierotą, tak samo jak panna Jadwiga, z tą tylko różnicą, że panna Jadwiga ma tak godną matkę, a Władzio jest jak palec sam jeden na bożym świecie...

Pułkownik cierpiał na astmę; więc mimo najlepszych chęci, musiał tu spocząć choć dwie sekundy. Wspomnienie sieroctwa odwróciło na chwilę uwagę gospodyni od mniemanego niebezpieczeństwa, jakie zdawało się zagrażać jęj ułożonym naprzód rachunkom. Smutno spojrzała na młodzieńca, który w téj chwili rękę do oczu podniósł, bo tam poczuł ciepłą łzę...

a nawet wydało się jój, że za altanką ktoś zeicha ga-  
ląż odsunął, aby również popatrzeć...

Tymczasem pułkownik schwycił oddech i mówił  
dalej:

— Otoż Władysław chował się sierotą, i widać,  
że Bóg w niebie czuwał nad nim, bo wyrósł krzepko  
i zatrzymał zdrowe serce w zdrowém ciele.

Tu spojrział z ukosa na niecierpliwącego się co-  
raz więcej proboszcza i tak mówił dalej:

— A kiedy już dzisiaj ma lat dwadzieścia czte-  
ry, toż należy myśleć o sobie i stanąć do szeregu ludzi  
pracujących dla dobra swego i dla dobra drugich. Aże-  
by to jednak uczynić, trzeba mieć przecie grunt pod  
nogami. Wódz, który się gotuje do boju, patrzy na-  
przód na ziemię, gdzie bój staczać będzie. Nie lubię  
dzisiejszych ludzi, co to aiby do wszystkiego byliby  
zdatni, gdyby tylko ktoś im dał pozycyą po temu. Je-  
dnym się zdaje, że mogą najmniej być mistrzami, nie  
aplikują nigdy i nigdzie. Inni już z urodzenia zdolni  
są dowodzić pułkiem, a nie wiedzą, co służba kaprał-  
ska. Ci znowu byliby najlepszymi gospodarzami, gdy-  
by mogli tylko dostać żonkę z majątkiem. Ja zaś ina-  
czej o tém wszystkiém sędzę, i dla tego to udaję się  
do pani dobrodziejki, bo wiem, co za dom i co za lu-  
dzie.

Biedna wdowa była pewna, że nastąpi uroczyste  
oświadczenie, i już w głowie zbierała na prędce argu-  
menta, aby pułkownika jakoś grzecznie odprawić,  
a przynajmniej całą sprawę puścić w odwłokę. Do  
tego jeszcze przyszło jój na myśl, że za kilka dni  
przypada termin wypłaty weksłu na dość znaczną sum-  
mę. I jakże to w takiej chwili myśleć o konkurencie?...

Nie bez obawy więc patrzała na siwe wąsy pułkownika, które się znowu ruszać poczęły. Pułkownik mówił dalej:

— Jestem zatém tego zdania, aby Władzio zaczął gospodarować na swoim i powoli dorobił się lepszéj pozycyi w świecie i konsyderacyi u ludzi. A że dotychczas nie ma właściwie nic swego...

Proboszcz odchrząknął z widoczném niezadowoleniem, puknął dwoma palcami w tabakierkę i przerwał gadatliwemu pułkownikowi:

— Krótko mówiąc: rzecz idzie, pani dobrodziejko, o kupno tutejszych tak zwanych pustek.

Wdowa widocznie ochłonęła z trwogi. Więc to chodziło tylko o kupno pustek...

---

Dla nieznających stosunków galicyjskich, winniśmy wytłumaczyć, co to są tak zwane „pustki.“

Pustki, są to grunta wiejskie, opuszczone przez włościan. We wsiach Galicyi jest mnóstwo takich pustek. Dawniej można je było zdala rozpoznać. Gdzieś na uboczu, za wsią, pomiędzy parowem, zazwyczaj na złym gruncie, stoi mała, waląca się chałupa. Strzecha poczerniała, odarta, okna bez szyb, piec rozwalony i chwast bujnie na około rozrosły, znamionują, że mieszkańcy tego ustronia dawno ztąd ustąpili, bądź przez śmierć, bądź przez dobrowolne pójście na chleb tułaczy. Opuszczony tym sposobem grunt i chałupa stały najczęściej pusto, często zaś gruntu używał

dziedzic na pastwisko, za co obowiązany był płacić podatek. Za czasów pańszczyznianych nikt nie kusił się z pozostałych krewnych o taki grunt opuszczony. Do gruntu tego bowiem, jak do wszystkich innych włościańskich, przywiązana była pańszczyzna, a dawny jego właściciel opuszczał go najczęściej z powodu, iż pożytek z tych pól jałowych nie wyrównywał włożonym na nie ciężarom.

Pustki te jednak po zniesieniu pańszczyzny większej nabrały wartości, bo stanowiły własność. Z tego powodu powstało mnóstwo procesów między włościanami a dawnym panem, i obu stronom nie mało robiły kłopotu. Że i z tego powstały zarody rozdzielenia włościan z dworem, nikt nie zaprzeczy.

Pustką posiadaną od czasów niepamiętnych, a więc prawnie należącą do majątku dominialnego Nowejwsi, był to dość spory szmat ziemi, ale z glebą niezbyt urodzajną. Przy rozsądnej gospodarce, przy znacznych nakładach, można jednak było zaokrąglić sobie z tego ładny folwarczek. Ale na to nie miała biedna wdowa ani pieniędzy, ani konceptu, a długi pas ziemi okalający całą Nowągorę leżał odłogiem i zdziczał. Przyjemną więc dla niej była propozycja pułkownika, a że ta propozycja na drugim planie miała coś innego, to przeczuło już serce matki. Uśmiechnęła się więc i rzekła:

— Ksiądz proboszcz ma lepsze serce od pułkownika. Nie dręczył on długo biednej wdowy. Pułkownik nie zawsze widać doraźnym atakiem zwalczał nieprzyjaciela.

— *Fabius cunctator!* — szepnął zcicha proboszcz, zerkając na pułkownika.



Ten zaś musnął ręką po wąsach i rzekł zachmurzony:

— Jużcie każdy wódz ma swój plan, według którego szyki ustawia. Ksiądz proboszcz, jako chorąży gorąco kapany, popsuleś mi atak, uderzywszy wprost na kolumnę. Jakkolwiek to jest nadwereżeniem subordynacyi, jednak w chwili niebezpieczeństwa nic innego nie pozostaje, tylko iść za chorążym i atak wesprzeć. Oświadczam więc wprost pani dobrodziejce, że wspomniane pustki już obejrzałem i oceniłem na pięset czerwonych złotych. Jeśli ta sumka pani akomoduje, to mam ją z sobą, i imieniem Władzia, jako jego opiekun, wypłacę.

Biednej wdowie łzy stanęły w oczach. Był to dla niej ratunek wcale niespodziewany. Nigdy na podobną pomoc nie liczyła. Pustki i tak leżały bez użytku, i nikomu nawet na myśl nie przyszło, aby je w drodze kupna nabyć, albo w drodze prawa o nie się upomnieć. Podziękowała więc w duchu Panu Bogu, a szukając na wszystko, co ją kiedy w życiu spotkało, powodów w samej sobie, pomyślała, że to nagroda z Nieba zesłana na dzisiejsze jój postanowienie, aby dla dzieci wiejskich szkółkę założyć.

Z rozpromienioną twarzą powitała Jadwigę, która w téj chwili weszła do altany. Na twarzy jednak Jadwigi malowało się nieukontentowanie. Niezawodnie musiała słyszeć z za altany rozmowę, z której dowiedziała się, że idzie tylko o prosty interes kupna pustek! Interes! a czémże jest podobny interes dla serca piętnastoletniego?... Mimo to znalazł się jakoś gdzieś raczek, jakby z pod rąbka wylazł, gdy pan Władysław jój się kłaniał i pułkownik z pewną uro-

czystością przedstawiał go. Może serce szepnęło jég wtedy, że z kupna tych pustek bodaj czy się co innego nie wykluje!...

Ponieważ się już ku wieczorowi skłaniało, a z za Nowéjgóry jakieś podejrzane wymykały się chmurki, wstała gospodyni i wszystkich gości zaprosiła do pokoju.

Mówiono o tém i owém, a tymczasem matka z córką postarały się o herbatę i przekasę. Na dworze było coraz chłodniej, wicher zerwał się i tłukł nielitościwie po wierzchołkach drzew ogrodowych.

Przysunięto bliżej krzeselka, a rozmowa stawała się coraz głośniejszą.

Kiedy pułkownik, wracając do interesu, znowu o pustkach mówić zaczął, a nawet w kieszeni dukatami brząkał, podniosła rękę gospodyni i rzekła głosem uroczystym:

— Na sprzedaż pustek jaknajchętniej przystaję; wymawiam tylko sobie, aby pułkownik i pan Władysław kilka dni dobrze tę rzecz rozważyli, czy grunta warte tych pieniędzy, i czy zdadzą się na co. Nie ta-ję się z tém bynajmniej, że sprzedaż tych pustek pod tak korzystnemi warunkami jest dla mnie w téj chwili dobrodziejstwem. Ponieważ jednak we wszystkiém upatruję zrządzenie Boże, pytałam więc w duchu siebie, za jaki dobry uczynek, za jaką poczeiwą myśl Bóg mnie wynagradza?! I oto przypominałam sobie, że powzięłam dzisiaj myśl założenia szkółki dla ludu, i właśnie z proboszczem chciałam się rozmówić o potrzebne do tego fundusze. Dla tego więc, dziękując Bogu za ratunek w potrzebie, przeznaczam z góry sto czerwonych złotych na założenie szkółki z saméj

sprzedaży pustek!... Dzisiaj rocznica dnia, w którym nieboszczyka męża swego po raz pierwszy ujrzałam...

Długi czas trwało milczenie. Wdowa i córka poczuły łzy w oczach. I pan Władysław odwrócił się od stołu. Pułkownik wstał tymczasem, i widocznie wzburzony zaczął przechadzać się po pokoju.

Proboszcz patrzył smutno za biegającym coraz prędzej pułkownikiem, a gdy ten z powodu swego astmatycznego usposobienia na chwilę stanął, aby oddechu nabrać, pochwycił go proboszcz za połę i rzekł:

— Pułkowniku, słuchaj! bo częściej przez kobietę mówi Bóg do ludzi, niżeli przez wodza w zbroi!... Słuchaj, a potem będziesz biegał, ile zechcesz.

Pułkownik stanął i wpatrzył się w księdza, który podniósł rękę do góry i zawołał:

— Twój wzrok, pułkowniku, nie sięga dalej od twojej odwagi; ale instynkt kobiety może dojrzyć rzeczy, których zwykle oko nie widzi!...

— Ja bo już stary na to wszystko — odfuknął zgromiony pułkownik, i sapał z gniewu, że proboszcz na polu dysputy zawsze górę nad nim bierze.

Proboszcz mówił jeszcze dalej w duchu miłości chrześcijańskiej, która nam każe równą miłością kochać małuczkich, jak i wielkich.

Wtém nagle czerwony blask błyskawicy przeleciał po niebie, a w oknie pokoju zaczerśniała jakaś straszna postać.

Wszyscy pobiegli do okna, i wpatrywali się w widmo złowieszcze.

Był to jakiś człowiek w dziwnym, obdartym ubiorze. Stał naprzeciw okna i miał pięść do góry

wzniesioną, jakby groził. Potém obrócił się zwolna i zniknął za figurą.

— To przywidzenie i nic więcej — rzekł pułkownik.

— Mówiliśmy poprzednio o krwawych wspomnieniach, dorzucił proboszcz.

A na dworze zawrzała burza, pioruny uderzały co chwila.

---

## VI.

### W piekarni.

**K**iedy zgromadzeni w saloniku, nastroszeni burzą nocną i dziwném, nieodgadnioném zjawiskiem za oknami, przeszli do rozmowy o smutnych wypadkach 1846, w małej oficynie naprzeciw dworu zebrała się czeladka i po pracy dziennéj obsiadła w koło ognisko, na którém pryskał ogień.

Po latach dwudziestu spostrzegamy i tutaj znajomych. Naprzód, koło samego komina, siedzi kobieta o ładnych rysach twarzy. Jasne, jak len, włosy otaczają grubym warkoczem jéj białe czoło. Niéma jeszcze lat czterdziestu, a jednak na jéj bladéj twarzy mnóstwo zmarszczek świadczy o nieszczęśliwych kolejach losu. Koło niéj, oparty o komin, siedzi chłopak kilkanaście lat mający, rosléj, wysmuléj postaci. Z włosów i oczu podobny jest do kobiety, jakby był jéj synem. Daléj oparty o duży stół biały, stoi drugi parobczak, podobniusiutki do pierwszego, jakby obaj byli bliźniakami.

W zagłębieniu za piecem siedzą dwaj mocno pochyleni staruszkowie. Jeden z nich jest ślepy, a dru-

gi głuchy. Klóć się obaj o wygodniejsze miejsce za piecem i dokuczają sobie wzajem to słowem, to czynem.

Ślepy zwolna namacał żebra sąsiada, i niby od niechcenia uczęstował go kulakiem.

— Co to wy zawsze się pchacie i zawadzacie mi? — rzekł ślepy do sąsiada, gotując się do drugiego kulaka.

Czy was napadło, czy co? — zawołał głuchy, nadstawiając ślepemu łokieć.

— Po co tu do mnie przychodzicie, kiedy wiecie, że ja nic nie widzę wieczorem — gderał dalej ślepy, wymierzając z całą siłą szturchańca w sam kant muru od komina.

— Czartabyście zjedli, Mateuszu! — krzyknął głuchy, ocaliwszy się od wymierzonego ciosu.

— Mówicie Jacenty, jak pies niedowiarek! — od-fuknął ślepy, macając koło siebie — a tam na dworze tak grzmi, aż strach!...

Głuchy nie dosłyszał słów sąsiada, ale usta jego szeptały już pacierz i litanią do Najświętszej Panny, bo właśnie przy wspomnieniu czarta tak jasna błyskawica przeleciała po niebie, że prócz ślepego, wszyscy za oczy się chwycili.

— Módl się za nami, teraz i w godzinę śmierci naszej!... — szeptał głuchy.

— Co wy tam ciągle o téj śmierci gadacie? — gderał ślepy. — Alboż to ludzie nie żyją po sto dwadzieścia lat, czy co?

Ponieważ głuchy dobrze sąsiada nie rozumiał, a ślepy nie widział ani jego twarzy, ani żeber nie mógł już namacać, bo głuchy znacznie od niego się odsu-



nał,—więc nastąpiła przez kilka chwil cisza w piekarni, wśród której słyhać było pluskanie deszczu i grznot tak głośny, jakby kto z bryką orzechów po próżnym strychu się przejeżdżał.

W obu za piecem siedzących, niezgodnych sąsiadach poznajemy kucharza i ogrodnika. Są to już nie-  
dołężni inwalidzi. Zgarbieni, jak grzyby, kalecy obaj, siedzą z łaski pani swojej w piekarni i dokuczają sobie dla skrócenia czasu.

Biedna wdowa, idąc za dawnym zwyczajem dała obu inwalidom dworskim dożywotni kącik w piekarni razem ze strawą, chociaż położenie jej wcale nie było po temu, aby wiele na uczynki miłosierne szafować mogła. Ale ona nie uważała tego za miłosierdzie, tylko za obowiązek, aby stéranym w jej służbie ludziom nie dać umierać pod płotem.

Po długiej chwili milczenia, kiedy już ogrodnik ukończył litanję do Najświętszej Panny, ozwała się kobieta najbliżej komina siedząca:

— Nie wiem, co to jest, ale coś bardzo ciężko mi dzisiaj na sercu.

— Ot goni się na dworze, ta i cała rzecz — odparł parobczak, poprawiając drwa na kominie.

— Wy bo Nastko wtedy płaczecie, gdy się cieszyć trzeba—ozwał się ślepy kucharz z za pieca.

— A zkąd mi cieszyć się dzisiaj?—zapytała blada kobieta.

— Wszak konkurent do panny przyjechał — odparł kucharz,—a w takim razie coś zawsze się liźnie.

Kobieta zwróciła oczy na ogień i zamyśliła się. Kucharz nadstawił do komina jedno, a potem drugie ucho, ale w piekarni była cisza. Za oknami tylko plu-

skął deszcz, a wiatr skrzypiał bramą na zardzewiałych wrzeciadkach.

— A to kara boża z wami, Nastko!—zawołał po chwili kucharz — jak tylko wspomnieć coś o żeniaczce, zaraz wam jakby gębę замуrował. W imię Ojca, Syna i Ducha świętego! a cóż tam takiego wam w głowie siedzi? Czy chcecie jeszcze iść za drugiego męża?

Oczy kobiety błysnęły światłem fosforycznym, na twarz wystąpił wyraz cierpienia. Podniosła głowę, jakby ją kto nagle wśród snu przebudził, i powiodła okiem po piekarni. Ujrzawszy młodych parobczaków, rzekła do nich:

— Coś mnie dzisiaj strasznie niepokoi. Chroń Boże od jakiego nieszczęścia. Idźcie Walek i Szymek na oborę. Złodzieje mogą korzystać z burzy na dworze, a z gości u pani. Obejrzyjcie wszystko naokoło. I tak Zagraj czekał na kogoś przed chwilą...

Młodzi wygarnęli z ognia po kilka ziemniaków, włożyli je w zanadrze i wyszli z piekarni. Kobieta wyprowadziła ich tęsknym wejrzeniem, a zwróciwszy się do ognia, popadła znowu w zamyślenie.

Kucharz przechylał głowę to na prawo, to na lewo, a gdy się przekonał, że parobcy już wyszli i że zgola nikogo z obcych nie było w piekarni, przysunął się bliżej i rzekł do kobiety:

— Słuchajcie Nastko, czy niema nikogo?

— Niema,—odpowiedziała kobieta.

— Jabym z wami chciał raz przecie pogadać.

— O czémże chcecie gadać?

— Hm, hm, ot tak o różnych rzeczach, o dawnych, dawnych czasach — a możemy gadać bez oba-

wy, bo Jacenty już na piękne ogłuchł. Strzelaj z armaty, a on nie słyszy.

— Pst—rzekła kobieta cichym głosem, przykładając palec do ust.—Jacenty to frant, wy go nie znacie. On więcéj udaje głuchego. Wprawdzie oddawna słyszy już tępo, ale przecież tak całkiem głuchym nie jest, jak myślicie...

Kucharz zwrócił się ku stronie, gdzie siedział ogrodnik i czas niejaki nasłuchiwał. Ale ogrodnik oparł się o mur komina i już chrapał na piękne. Po niejakiéj chwili rzekł kucharz:

— Że słyszy coś, o tém wiem, bo czasem nawet z nim się rozmawia. Ale trzeba mu w samo ucho krzyzczyć. Teraz śpi.

Po chwili, gdy ogrodnik według wszelkich praw przyrodzonych chrapał, a nawet po niektórych ruchach jego widać było, że śni o czémś, ozwała się kobieta:

— O czémże to Mateuszu chcieliście mówić ze mną?

— Chciałem mówić o tém — odparł kucharz, przysuwając się bliżéj komina — że wy coś musicie mieć na sercu, o czém tutaj we dworze nikt nie wie. Jak tylko kiedy mówi się o żenieniu, jak zagra muzyka do ślubu, to wy zaraz płaczecie, ale w smutku głowę zwieszacie.

Kobieta otarła łzy fartuszkciem i rzekła:

— Oj, Mateuszu, mam-ci ja wiele na sercu i nie-raz myślałam sobie, gdyby to znaleźć człowieka, przed którym możnaby się wygadać, toby i sercu się lżej zrobiło!

— A cóż wam tak ciśnie? — zapytał rozciekawiony kucharz. — Mówcie przedemną, jak przed księ-

dzem, ja nikomu nie powiem. To źle, że w sobie wszystko zamykacie, bo ludzie różnie zaraz mówią... a nawet mógłbym wam dziwne opowiedzieć rzeczy, chociaż temu wszystkiemu nie wierzę...

— Już to nigdy napróżno ludzie nie mówią — odparła smutno kobieta — ale na to nie zważało się, gdy się było młodą...

Kucharz poskrobał się za uszami. Coś strasznie ciekawego było w tych słowach kobiety. Poprawił się na miejscu, na znak ciekawości i wyteżonej uwagi, a kobieta zaczęła:

— Przypominacie sobie zapewne, jest temu więcej może, niż lat dwadzieścia, kiedy to do dworu przyszedł na służbę Jarema...

— A Jarema! Jarema! przypominam sobie doskonale. Wyście byli młodém dziewczęciem, świeżém, jak małgorzatka. A ten Jarema, to pasł krowy z wami, i zdaje mi się... lubił was bardzo.

Kobieta wstrząsała się, jakby ją coś ukłóło, i przejęta jakąś dziwną obawą, obejrzała się po kątach piekarni.

— Poczciwe było to chłopczysko — powiedział dalej kucharz, — lubilem go, jak własnego syna... A jaki usługny, a jak dobre serce miał, to szukać dzisiaj ze świecą.

— Kobieta wlepiła oczy w ogień i zadumała się.

— Pamiętacie—mówił dalej gadatliwy gracyalista — jak to on razu jednego ukradł dla nas kanarka, i za to miał mu Szymek...

Kobieta wzdrygnęła się, jakby nagle w ogniu zmiję ujrzała, i głośno krzyknęła:

— Ja o Szymku nic wam nie mówiłam!

— Na to niby obudził się ogrodnik, przetarł oczy, a obejrzawszy się po piekarni, rzekł do kucharza:

— Dziwna rzecz, Mateuszu, Szymek śnił mi się. Pamiętacie Szymka, co to go w nocy Jarema...

— Jarema mu nic nie zrobił! — zawołała Nastka i zbladła nagle, jak chusta.

Ogrodnik przymrużył oczy i badawczo spojrział na Nastkę. Potém uśmiechnął się i rzekł:

— Co to był za pocziwy człowiek ten Jarema! Żał mi go, gdy sobie przypomnę, jaki smutny los go spotkał. Pognali gdzieś biednego, że ani strzechy ojczystej, ani słowa po ludzku nie usłyszy! A może już zginął na wojnie! Mówią, że był kilka razy w ogniu.

— Tego się dosłużył u nieboszczyka; nie pamiętaj mu tego Panie! przerwał kucharz. — Oddali biedaka w kamaszel! Przecież to była nieludzkość!

— A pamiętam prosiliśmy obaj mandataryusza za nim—mówił dalej ogrodnik,—ale co ci ludzie! Czy oni serce mają, czy co?... A to wszystko przez was Nastko: zawróciliście mu głowę, a potém mizdrzyliście się do Szymka... I cóż, człowiek jeśli w gniewie, w złości... Święta Boża Rodzicielko, módl się za nami!... Naczynie duchowne... módl się za nami!

Na dworze coraz więcej huczał grzmot, coraz silniej szalała burza.

— W imię Ojca i Syna! — krzyknął kucharz do rcha sąsiada—wy bo Jacenty teraz kiedy grzmi, wspominać o Jaremie, a wiecie, że się go strasznie boję, od téj nocy zwłaszcza, jak zniknął Szymek, a nad brzegiem znaleziono jego czapkę i chustkę.

— Jarema Szymkowi nic nie zrobił — zawołała znowu kobieta, a twarz jęj drgnęła nieprzyjemném uczuciem.

— Czy mu co zrobił, czy nie, o tém dzisiaj nikt nig wie, bo już i ryb tych niéma. co pono Szymka zjadły, -- wtrącił kucharz i przeżegnał się, bo mu nagle mrowie przez pacierz przeszło.

Kobieta otworzyła usta i chciała coś odpowiedzieć, ale konwulsyjny kurcz jakiś nie dał jęj słowa wymówić.

— Ja wiem tylko, że Jarema był bardzo pocziwym człowiekiem — mówił dalej kucharz, i rzewnymi łzami płakałem, gdy go w rekruty wieźli... Przecież na innego pana, (świeć panie nad duszą jego), toby mu pomógł wydobyć się z biędy; ale tak!.. Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata! Wysłuchaj nas Panie...

— Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi! — zaczął ogrodnik, a kucharz wtórował mu z całą pobożnością czystego serca.

I gdy tak pamięci pocziwego Jaremy i swemu własnemu sumieniu zadość uczynili, podniósł się ogrodnik z przypiecka i poszedł położyć się na tapczan, aby się snem spokojnym pokrzepić. I wkrótce, poleciwszy szczegółowo wszystkie członki swoje opiece Opatrzności Bożkiej, zaczął chrapać według wszelkich praw przyrodzonych, jak to zwykł czynić człowiek głębokim snem zdjęty.

Słyszając to kucharz, przysunął się do komina i rzekł do Nastki:

— No, teraz możecie kończyć, coście zaczęli opowiadać, bo strasznie ciekawy jestem.



Kobieta westchnęła głęboko, obejrzała się z jakąś bojaźnią po kątach piekarni i zaczęła po chwili:

— Przyznam się wam, że kiedy sobie przypominę te czasy, jak to na cmentarzu koło cerkwi Jarema do mnie się zalecał, to bardzo smutno robi się na sercu. Wprawdzie nie był on tak ładny, jak inni, ale lubił mnie, a może lubił szczerzej, niż inni...

— Macie słuszość. On was lubił aż do wariacyi. Ztąd też całe jego nieszczęście!—wtrącił kucharz.

— Ale młodemu zazwyczaj to się podoba, co się świeci i zgrabnie kręci... a Szymek tak ładnie tańcował...

— Oho, ho—mruknął kucharz—a w duszy szelma, pies! Znałem go dobrze i jego sprawki... Jarema był poczciwy, złoty chłopiec! Co za serce, co za dusza!... Anioł pański zwiastował...

Kucharz odmówił trzy razy „Zdrowaś Marya,” bo nagle tak głośno zagrzmiało, jakby się dach walił. Po jakimś czasie mówiła kobieta:

— Otóż, co się dalej stało, to wiecie. Jareme oddano w rekruty, a w miesiąc potem poszłam za Walka fornala ze dworu.

Westchnąwszy, rzekła po długiej przerwie:

— Ale ja Walka nie lubiłam...

— Nie lubiliście Walka?—zawołał kucharz,— a czegoście szli za niego?

— Poszłam dla tego, bo mnie namówił ten, którego lubiłam — odparła zcicha kobieta.

— Tak?—rzekł na to kucharz i rozdziawił gębę.

Czas jakiś trwało milczenie; poczem mówiła znowu kobieta:

— Ciężko za to pokutuję, bo we dnie i w nocy nie mam spokoju... W kilka miesięcy po ślubie, za moją namową, odprawił się Walek ze służby i poszliśmy oboje do miasta, gdzie Walek zgodził się za stróża do sklepu.

Kobieta otarła łzy fartuszkiem i mówiła po chwili:

— Ten, któregom lubiła, był wtedy w mieście. Ztąd były częste kłótnie między mną a Walkiem. W końcu rozchorował się Walek i umarł w szpitalu, a jam wyjechała z miasta z tym, któregom lubiła...

— I któż to był... Jarema?—zapytał z ciekawością kucharz.

Zdawało się kobiecie, że kucharz tak dziwnie wymówił imię Jaremy, jak jeszcze nigdy nie słyszała. I w samej rzeczy tak szczególne jakieś echo odpowiedziało ze wszystkich kątów piekarni, że kobieta mimowolnie się wzdrygnęła, a ogrodnik, przebudziwszy się, stanął na ziemi równymi nogami i głośno zaczął odmawiać:

— Oreǳowniczko naszal święta Boża Rodzicielko! módl się za nami!... Rószczko Aarona — wieżo z kości słoniowój...

I nie dokończył, bo właśnie w téj chwili jasna błyskawica przeleciała wzdłuż nieba, a na szybach okna odbiła się jakaś straszna postać.

Ogrodnik i kobieta krzyknęli z przerażenia; a tymczasem straszny grzmot zatrząsł dachem, aż krokwie zatrzeszczały!

---

## VII.

**T**ego samego wieczora, kiedy na horyzoncie Nowéj-wsi zaczęły gromadzić się chmury i już kiedy niekiedy jasna błyskawica po ciemném przemknęła niebie, zdążał ku Nowéjgórze samotny wędrownik szybkim krokiem.

Przelatujące błyskawice oświecały jego postać. Był to mężczyzna silnie zbudowany, mający barki szerokie, i lubo szedł pod górę, prosto się trzymający. Ubiór jego był dziwnego rodzaju. Na głowie miał czapkę niby urzędnika austriackiego, z daszkiem do góry zadartym. Surdut ciemnego jakiegoś koloru obcisnął szeroką pierś jego, aż pod samą brodę. Krótkie nieco i zbyt wąskie rękawy wskazywały, że pochodził z jakiejś tandety, albo był podarunkiem chlebowodawcy. Spodnie z jasnym paskiem należały jakby do ubioru wojskowego. Tegoż samego rodzaju były i tak zwane ciżmy, na górze rzemyczkiem sznurowane. Na grubym kiju, opartym na ramieniu, wisiał niewielki węzełek, który prawdopodobnie mieścił cały majątek podróznego. Na to wszystko zarzucony był płaszcz szary żołnierza piechotnego, ze świecącymi cynowymi guzikami.

Podróżny stanął pod górką, prawie na tém samym miejscu, na którém przed laty dwudziestu odbyła się scena w pierwszym rozdziale naszej powieści opisana. Ale jakże inaczej wszystko tu dzisiaj wyglądało!

Wtedy na pochyłości tego wzgórka świeciło jasne słońce. Trawa była bujna i zielona, ptaszki świegotały w pobliskich drzewach; pasące się trzody brykały wesoło, grono pastuchów zabawiało się różnemi figlami. A wśród nich była dziewczynka z jasnemi, jak len włosami, czarująca oczyma i twarzą. A między młodymi chłopcami był jeden, któremu serce rosło, gdy na nią patrzył. Dla niej pobiegł on do dworu i wykradł złotego ptaszka... Pan dworu chciał go za to ukarać, Szymek przyniósł już kij; ale dobra dusza, urzędnik obwodowy, ujął się za nim i wyjednał mu przebaczenie... Mój Boże, jak to wszystko inaczej dzisiaj wyglądał! Niéma ani śladu po owój zielonej błoni. Czarne widać skiby pług pański tu poorał, a trzoda gromadzka, która się tutaj pasła, zapewne gdzieś tam ryczy z głodu, w stajni zamknięta. Żaden ptaszek nie ozwie się z piosenką: wszystko ucichło, sposepniało, ogłuchło. Niéma ciepłego, bożego słońka, które wtedy tak mile przygrzewało. Tylko ciemne jakieś zarysy sterczą ku niebu, z ciemniejszymi pośrodku pasami; tylko wiatr gwałtowny tłucze po gałęziach drzew i łamie z łoskotem suche konary... Jakże to wszystko się zmieniło!

Podróżny ruszył dalej ku górze. Na samym szczycie stał duży, biały krzyż z kamienia, ogrodzony żelaznemi sztachetami. Za każdą błyskawicą świeciły się złożone na tablicy pod krzyżem litery. Widać

było, że to krzyż nowy, i że go postawiło żyjące jeszcze pokolenie.

Gdyby podróżny chciał przy nocnej błyskawicy przeczytać na czarnej blasze złote, świecące litery, byłby wyczytał, że ten krzyż postawiono. „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny w r. 1848.“ Ale podróżny wiedział o tém i bez czytania. On znał już dobrze kształt tych krzyżów, widział ich wiele po drodze, a na każdym czytał prawie jedno i to samo. Wiedział, że lud wiejski tém świętém godłem Zbawienia dziękował Bogu za łaskę w tym roku pamiętnym doznana!...

I jakież wrażenie zrobił ten krzyż o krótkich, szerokich ramionach na naszym podróżnym, który stanął przy nim, jak posąg, oparłszy się ręką o żelazną balustradę?

Podróżny prawdopodobnie należał niegdyś, a może i teraz jeszcze, do ludu; wrażenia więc jego nie mogły się o wiele różnić od wrażeń, jakie zazwyczaj sprawiał na ludzie ten pomnik „zniesienia pańszczyzny.“

On zapisał to tylko w swojej pamięci, że w owym roku przybył do gromady urzędnik cesarski i przeczytał im z siniego papieru: „że cesarz pańszczyznę znosi, za co dziedzic z kasy państwa będzie wynagrodzony.“

Podróżny nasz stał długo oparty o krzyż, na którym przy nocnej błyskawicy błyszczały złote litery: „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny!“ Deszcz rzęśnistym strumieniem lał z nieba, wichler tłukł o konary drzew, grzmot huczał w górze, a jasne błyskawice przelatywały ze wschodu na zachód. Podróż-

ny stał przy krzyżu, i na to wszystko nie zważał. Pograżony w dumuniu, patrzył osłupiałém okiem przed siebie.

Ileż to myśli natrącał ten krzyż w jego głowie!

Tam w dolinie stoi dwór biały; widać go przy nocnej błyskawicy. W jego oknach pali się jasne światło. Zapewne musi tam być wesoło. Na stole stoją misy z potrawami i różnemi bakaliami... A tam poniżej czerni się szereg chat wieśniaczych. W żadném oknie światła nie widać, bo las zamknięty dla gromady, a oleju niema za co kupić. Ognisko tam dawno wytłalo, i ciepła strawa nie pojawi się na stole! Biedny chłop leży tam na gołym piecu; bezsenny przewraca się na wszystkie boki i prosi Boga, aby czémprędzej zaświtała jutrzienka, aby przyszła godzina pracy, bo przy pracy zapomina się jakoś o biedzie.

Tak dumał podróżny, wsparty o krzyż kamienny, wystawiony ręką gromady. „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny.“

Cóż jednak mogło w jego głowie takie myśli poruszyć?

Dwadzieścia lat minęło, jak wyszedł w świat z rodzinnej wioski swojej. Wyniósł z sobą boleść i gorycz, bo jakoś nieszczęśliwie powodziło mu się w tej wiosce. Żli ludzie, jak to mu razu pewnego powiedział Huber, nastali na niego, wzięto go przemocą i oddano w rekruty. A któż to byli ci źli ludzie? Oczywiście nikt inny, tylko mandataryusz z dziedzicem, bo bez wiedzy dziedzica, nic się nie dzieje w gromadzie, jak to powiedziano przy lampce wina u ślepego Jośka, będącemu lat dwadzieścia. I dla czegoż to tak mu jakoś źle poszło na świecie? Bo był ubo-



gim, był sierota. A któż temu winien, że poddany we wsi ubogi, jeżeli nie dziedzic razem z swoim mandataruszem?

Tak mu przynajmniej nieraz mówiono przy szklance piwa u ślepego Jośka.

Dwór nie nauczył go niczego, a w kazarni nauczono go czytać i pisać. Biedne dziecko gromadzkie, po wypędzeniu ze dworu, nie miało gdzie głowy położyć, a w kazarni dano mu porządny sztrozak, \*) ciepły mundur, chleb i na rękę kilka krajcarów. Wprawdzie nieraz zapłakało się nad tym chlebem, nieraz krzyknęło z bólu, ale człowiek zapomina jakoś o tém, co czas zagoił, a pamięta tylko jasną stronę życia!...

A życie to pełne było najrozmaitszych przygód. Wysłano go w dalekie kraje, za rzeki i góry! Tam widział tyle nowych rzeczy, o jakich w gromadzie nie miał wyobrażenia!

Najprzód był on żołnierzem, a stanowisko właściwe, żołnierzowi austriackiemu, wpłynęło przeważnie na dzisiejsze jego usposobienie. Wysłano go do Włoch; potem był w Wiedniu podczas tamecznych wypadków; nakoniec odbył kampanię węgierską— a wszędzie znalazł żywioły podsycające tradycyjną niechęć syna ludu przeciw tym, w których uczono go widzieć ciemieńców.

Tę tradycją z dalekich stron niósł z sobą nasz podróżny, oparty o krzyż, wystawiony przez gromadę.

Toż straszny był wzrok jego, gdy nim wiódł po dalekiej, plonem okrytej dolinie, oświecaną nocną

---

\*) Siennik.

błyskawicą. I ten dwór biały, tam w uboczu między lipami: nie miałże dzisiaj dla niego żadnego innego wspomnienia?

Snadź coś znalazło się w głębi duszy, bo dwie łzy puściły mu się z oczu, które szybko otarł rękawem od płaszcza.

Długo patrzył na ten dwór, aż wreszcie dostrzegł światło w piekarni. Światło to zelektryzowało go. Poprawił węzełka na ramieniu, spojrział jeszcze raz na światło i wśród gromów i błyskawicy ruszył ku niemu najkrótszą drogą.

Był to Jarema.

---

## VIII.

### W k a r c z m i e.

**D**wadzieścia lat minęło, jak Jarema wyszedł ze swojej wioski rodzinnej. Widzieliśmy go na wstępie nowój jego karyery, słyszeliśmy, jak wielkie u ślepego Jośka rokowano mu nadzieje, i jak chętnie przylgnął rekrut do tych różowym kolorem malowanych nadziei.

Zkądże powraca dzisiaj? Cóż go przywołało do wioski rodzinnej. Czegóż się dorobił po latach dwudziestu?

Jarema służył w wojsku lat czternaście. Jedną kapitulacją wysłużył za siebie, drugą za jakiegoś Niemca, który za to dał mu kilkaset reńskich. Nauczono go czytać i pisać, ale po za te hieroglify ducha ludzkiego nie wyszedł nigdy. Znał tylko onych dwadzieścia kilka znaków, któremi posługuje się duch ludzki, i umiał je nawet we wskazanej permutacyi napisać a napisane odczytać; ale użyć ich za narzędzie własnych myśli i uczuć nie umiał Jarema. Mógł więc tylko według danej formułki napisać raport i należyście wypełnić drukowane rubryki. Stosownie téż do

tój swojej nauki otrzymał stopień i dosłużył się rangi kaprała.

W tym nowym dla niego zupełnie świecie nie miał Jarema zbyt wielkich pretensyj, a stopień kaprała zadawałał najbujniejsze jego marzenia. Miał kilkunastu żołnierzy pod swemi rozkazami, a to napędliało pierś jego dumą, że przecież w świecie do czegoś przyszedł. W piekarni Nowejwsi on musiał wszystkich słuchać.

Nie zapomniał on rad swego dawnego przyjaciela Hubera, który mu mówił, że jako żołnierz wysłużony może dostać urząd z pensją przyzwoitą. Skończywszy więc dwie kapitulacye, począł szukać urzędu i pensyi przyzwoitej i znalazł jedno i drugie. Ponieważ żadnej nie posiadał nauki, umieszczono go więc jako kopistę za dzienném wynagrodzeniem w jakiejś kancelaryi wojskowej. Dano mu kilka liber siwego papieru, tuzin piór i ogromny kałamarz. Jarema ułożył to wszystko symetrycznie przed sobą na czarnym stole i rozkoszował się w duchu, że jest, jakby kancelistą.

Ale natura ciągnie wilka do lasu. Gdyby Jarema był Niemcem albo przynajmniej Czechem, byłby przyrósł do swego stołka przy czarnym stoliku, siedziałby długie lata, ażby wysechł, jak pergamin i zgiął się, jak obręcz we dwoje.

Ale Jarema był członkiem naszej gromady. Odwieczna ta instytucja była zawsze potęgą, obejmującą szerokiemi ogniwem wszystkich, co do niej należeli. Toż w każdym innym narodzie widzimy wydzielające się z gromady pojedyncze indywidua, które rade do innych sfer przechodzą, jeśli te sfery, według ich mnie-

mania, leżą wyżej gromady. Chłop zaś nasz, jeśli w wykształceniu swoim pewnej wyższej nie przekroczy linii, prędzej lub później wraca zawsze do swojej gromady. Ma on pod tym względem coś z natury jelenia, który spłoszony z legowiska, gnany przez psy po różnych parowach i wertepach, wraca napowrót do miejsca zkąd go spłoszono.

Silnem uczuciem ciągniony do gromady, chłop nasz uważa wszelkie wypadki swego życia, które go od miejsca urodzenia oddalały, za niefortunne. Jak jeleń szczekanie psów, a wróciwszy do chaty ojczystej, pozbywa się czempędzej wszelkich nabytków, które do niego przyłgnęły w oddaleniu od gromady.

Jarema żadnej nie posiadał własności w gromadzie nowowiejskiej, a przez dwadzieścia lat powinien już być przywyknąć do życia po za gromadą. Miał wszystko, do czego niegdyś wdychał: stolik czarny, siwy papier, pióra i inkaust, a do tego jeszcze kilka reńskich miesięcznie. Miał także i pozycyą, mógł z długim piórem za uchem, chodzić po długim kurytarzu i przychodzących do kancelaryi chłopów z góry traktować

Po kilku jednak latach nie wystarczało to wszystko Jaremie. Naprzód nudziła go ta ośmiogodzinna pisanina, ta ustawiczna permutacya dwudziestu czterech znaków pisemnych. On był machiną, niczem więcej, a kiedy z Wiednia sprowadzono machinkę do kopiowania korespondencyi kancelaryjnej, Jarema widział cały byt swój zagrożony i musiał chcąc nie chcąc o swojej dalszej doli na seryo pomyśleć. Do tego jeszcze przyłączyły się różne inne potrzeby. Jarema,

jako dziecko gromady, musiał zawsze żyć pewnym wspólnym życiem, jakim żyje gromada.

W wojsku szło to jeszcze jako tako. Były pewne surrogata, które temu uczuciu mogły zadość uczynić. Była kompania, był batalion, wreszcie regiment. W kancelaryi zaś był on sam jeden, jak palec. Wprawdzie gryzmoliło tam kilku innych jeszcze pisaków, ale każdy żył dla siebie, pił swoją własną szklankę piwa i za nią sam płacił. Pić ze wspólnego dzbanka, jeść ze wspólnej miski, częstować swoim groszem przyjaciół i zapłacić za nich jedną lub dwie koleje, a za to serdeczne, braterskie otrzymać ściśnięcie ich ręki—o tém wszystkiém nie wiedziano w kancelaryi, w której siedział Jarema.

Ozwała się więc w Jaremie potrzeba życia w gromadzie, między swymi, a gdy nad tém rozmyślać począł, przypomniawszy sobie rozmowy u ślepego Jośka, które miewał z amtsdinerem Huberem i owym mecenasem gromadzkim, co to uskarżał się, że w gromadzie nowowowiejskiej nie było porządnego gospodarza, z którymby o procesie gromady ze dworem coś pomówić można. I przyszło mu na myśl, że on w tej kancelaryi jest ostatnim, a w gromadzie nowowowiejskiej, przy dzisiejszym swoim doświadczeniu, mógłby być pierwszym. Jakże serce jego rosło, gdy sobie zamarzył, jak to on w karczmie będzie na pierwszym miejscu siedział, jak to będzie miał w skrzynce wielką pieczęć gromadzką... bo niezawodnie będzie wójtem... jak gromadzie wyprocesuje różne jej uroszczenia, a gdy tego potrzeba będzie, pójdzie i do Wiednia, bo zna doskonale drogę!



Tak i podobnie marzył sobie Jarema, a siwy papier stawał się mu z każdym dniem nieznośniejszym.

Jego wzrok pastuszy potrzebował szerokich zielonych łąków, potrzebował drzew i licznych stad ptaków, a tu zaledwo o kilka łokci przed nosem wznosił się mur wysoki, a tam na oknie wisiał w klatce tylko jeden osowiały ptaszek.

On pragnął życia czynnego i ruchu, a tu potrzeba było ośm godzin siedzieć i nie przytém nie myśleć, nie roić.

Prócz tego powrót jego do gromady opierał się jeszcze na czémś realniejszém: miał on w węzélku na piersiach pół tysiąca reńskich, które wziął od Niemca za drugą kapitulacyą, a z taką sumką mógł śmiało przyjsć do gromady, kupić sobie grunt i chałupę i z dumą zaspokojoną zająć pierwsze miejsce tam, gdzie mu niegdyś urągano...

I jeszcze coś ciągnęło go do gromady. Dwadzieścia lat życia w obczyźnie nie zatarło w jego sercu Nastusi o jasnych, jak len włosach. Mianowicie w kancelaryi często przychodziła mu na myśl. Chciał się dowiedzieć, co się z nią stało, a gdyby ją zastał żoną drugiego, chciał jój okazać, że on mógłby jój może lepsze zgotować szczęście, gdyby nie była nim wzgardziła.

Takim to był Jarema, gdy od krzyża ze szczytu Nowéjgóry, ujrzał światło w piekarni i do niego wprost dążył. Dla czego szedł za tém światłem? Co go ciągnęło w téj chwili do piekarui? o tém nie wiedział i nawet siebie w téj chwili nie pytał.

Ale w połowie drogi wychyliła się z po za drzew ogrodu karczma nowowiejska. W oknach kar-

czmy było jasno, w koło stołu widać było siedzących włościan.

Karczma ta miała dla niego tyle pamiątek! Tu odbywały się tańce, tu przychodziła Nastusia jasnowłosa, tu z nią zabawiał się Szymek...

Na wspomnienie Szymka ścisnął obie pięście stanął. Zdawało mu się, że na jasnym tle jego marzeń osiadła nagle jakaś czarna, brzydka plama...

Z karczmy słychać było głośnie rozmowy i brzękanie szklanek. Tam siedzą niezawodnie dawni jego towarzysze, którym przywodził. Zapewne dzisiaj są gospodarzami, mają żony i dzieci...

A wzrok jego znów zwrócił się do światła w piekarni...

I coraz więcej ciągnęło go do karczmy. Jasna błyskawica wskazała mu właśnie ścieżkę.

W karczmie za stołem siedziało kilku chłopów. Wszyscy podparli brody na opalonych, nagich rękach, i słuchali z uwagą siedzącego naprzeciw człowieka.

Człowieczek ten był siwy, jak gołębek, a zeschły, jak śliwka węgierka. Usta miał szerokie, zawsze śliną okryte, w gębie nie było widać żadnego zęba. Gałdał prędko i nieustannie i ruszał się, jak kosz we młynie. Miał na sobie stary, wytarty frak granatowy i nankinowe pluderki. Przed nim stał inkaust, leżały papiery i długa linia.

Koło niego siedział drugi, podobniuteńki do niego jegomość. Różnił się tylko czapeczką, która nie-

gdyś urzędnika oznaczała, i twarzą trędowatą, pośród której wyrastał siwy nos o trzech konarach.

Gdyby w téj nizkiej, 'zadymionej izdebce żydowskiej zdołały widomie pozostać myśli i słowa biesiadującej w niedzielę gromady, moglibyśmy odrazu zapoznać czytelnika z usposobieniem dawniejszych poddanych dworu nowowiejskiego.

Możnaby sądzić, że po „zniesieniu pańszczyzny“ ustał w Galicyi między dworem a gromadą wszelki nieprzyjazny stosunek. Tak jednak, niestety, nie było. Pańszczyznę wprawdzie zniesiono, ale natomiast wystąpiła potworna kwestya, tak zwanych „serwitutów,“ kwestya dokuczliwsza jeszcze dla stron obu od pańszczyźnianej.

Dawniej robił chłop kilka dni pańskiego na tydzień, ale za to wiedział, że miał prawo paść swoją chudobę na łąnie pańskim i z pańskiego lasu miał drzewo na opał i do gotowania strawy. Po zniesieniu pańszczyzny dwory zaprzeczyły prawa gromadom do pastwisk swoich i zamknęły lasy swoje.

Tym sposobem naprężyły się jeszcze więcej stosunki między dworem a gromadą, która wyprowadzać poczęła prawa swoje do lasów i pastwisk.

Była to sobota, lecz w karczmie mimo to zgromadziło się kilku włościan, aby o lasach i pastwiskach między sobą pogadać.

Nie brakło im téż pobudek do niechęci z inną jeszcze strony.

Ów człowieczek w nankinowych pluderkach, to dawny nasz znajomy. Był on niegdyś jakimś urzędnikiem, ale coś zmalował, za co przesiedział parę la-

tek w kryminale. Dziś pisze gromadzie prośby i prówadzi jój procesa.

Jego sąsiad, z sinym nosem o trzech konarach, wspiera go w tém rzemiośle radą i czynem, i zdaje mu się, że wielkie będzie miał kiedyś za to uznanie, choć teraz niewdzięcznie z nim się obeszli w urzędzie obwodowym i za jakąś sprawkę odebrali mu tekę amtsdinera, zostawiając go własnemu przemysłowi.

Mecenas w nankinowych piuderkach mówił właśnie:

— Posłuchajcie Hrehory! Ja wam mówię, tylko niech gromada złoży się po jednym guldenie, a ten pan, wszak znajete go, Frydrych August Huber, zanieś waszą skargę do Lwowa, do rąk samego gubernatora.

Wysoki barczysty chłop kiwał głową to w tę, to w ową stronę, ale mecenasowi nic nie odpowiedział.

W téj chwili wszedł Jarema do izby. Siedzący za stołem rzucili okiem ku drzwiom, a obaczywszy jakiegoś podróżnego wojskowego, wrócili do swojej rozmowy.

Nikt Jaremy nie poznał. Nie poznał go arendarz, ani gromada. Na ławkę przy progu zrzucił swój węzełek i usiadł, jak długą podróżą zmęczony wędrownik. Nikt na niego nie zważał.

— Musicie wiedzieć Hrehory,—mówił dalej mecenas,—że przed dwudziestu laty pisał ja już gromadzie o te łany nad rzeką, co to dwór przywłaszczył je sobie—a cóż z niemi?

— A co ma być?—odparł najwyższy chłop—abo to z nimi kto wygra, czy co? Łany są dworskie, jak przed laty dwudziestu.

— A dla czego wy o tém staroście albo komisarzowi nic nie powiecie? Wszak wiecie, że nasz starosta i komisarz bardzo lubią chłopów.

Chłop poskrobał się w głowę i rzekł po chwili:

— Że pan w cyrkule je dobry, to wszyscy wiemy, ale... hromada zawsze przegra.

W téj chwili zerwał się podróżny ze stołka, przybiegł z hałasem do rządzących, a uderzywszy w stół pięścią, aż się szklanki powywracały, krzyknął wśród powszechnego popłochu:

— Alboż to hromada sem nie wie, gdzie pójść? verflucht! terem tete!

Wszyscy skołowaciele z przestrachu. Tak nagle zjawiała się ta dziwna figura wśród nich, tak strasznie zabrzękły szklanki, rozlatujące się w tysiączne kawałki...

Kilka chwil trwało głębokie milczenie. Potém krzyknięto chórem:

— Jarema! Jarema!

Jegomość z sinym noseem o trzech konarach wytrzeszczył bure ślępie, a Jarema tymczasem palnął go w plecy, aż mu dech zaparło i krzyknął nad nim:

— Huber! Dreinos!

Mecenas potarł ręką czoło i wołał:

— Jarema?... Jarema?... przypominam sobie... u Jośka... będzie temu lat dwadzieścia... Co to tego strzelca tak dusił za gardło.

I przypomniawszy sobie rzeczywiście tę scenę, skurczył kark i zgiął się pokornie, w obawie ażali Jarema nie zechce siły swojej na nim spróbować, której świetne dowody dał właśnie przed chwilą.

Wysoki barczysty Hrehory wstał z za stołu i wy-

ciągnął rękę do towarzysza młodości, ale z pod krzaczystych jego brwi strzelił jakiś złowrogi promień na przybysza. Ostrożnie wziął go za dłoń i obmacał ją, czy w samą rzecz jest tak silna, jak to przed chwilą się okazało.

Przecucie mówiło mu, że widzi przed sobą współzawodnika. Tak silnej pięści i tak szerokich bark nikt nie miał w całej gromadzie. I głosu tak pewnego i stanowczego nikt nie posiadał, jak przybyły, a wyzywająca jego postawa oznaczała człowieka, który nienadarmo wraca po dwudziestu latach do gromady.

Hrehory spuścił głowę i zamyślił się. On był wójtem...

Tymczasem inni chłopci podawali kolejną rękę Jaremu i witali się z nim. I mecenas ośmielił się i podał mu suche swoje palce, które w dłoni Jaremy zatrzęszczały, jak chrust trzyletni.

Jarema przerzucił płaszcz na lewe ramię i nasunął czapeczkę na ucho.

— No jak tu s e m u was?—rzekł po chwili, siadając śmiało naprzeciw Hrehorego — pańszczyzna w e g!

— O tak—pochwylił Dreinos—i wszystko byłoby dobrze; ale ciężko zawsze z dworami.

Jarema wzniosł duży, sękaty kij do góry i puścił go młynka między palcami, aż kaganek omal nie zagasił od prądu powietrza. Chłopi z uwielbieniem spojrzeli na niego, podziwiając jego siłę i zręczność. Tylko Hrehory zachmurzył się.

— Co to s e m dwory!—krzyknął Jarema—h r o m a d a t o w i e l k i c z ł o w i e k! Kreutzdonnerwet-



ter! Czy to s e m w hromadzie nie ma hospodara, co-  
by znał gde Kreisamt, a gde Apelation? T e r e m t e  
t e l C o r p e t t o d i B a c c h o l

Chłopi uśmiechnęli się na te mieszaninę języków  
wszystkich ludów Austrii, jaką chciał się przed nimi  
popisać wysłużony żołnierz. Hrehory spostrzegł to,  
pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Dla czego z nami po ludzku nie mówicie Ja-  
rema? Chcecie mówić po polsku, to wszyscy rozumie-  
my. Ale po niemiecku i z węgierska to nie pięknie.  
Tak mówi tylko rekrut, kiedy chce, aby mu baba zgo-  
towała pirogów z serem. A nasi ludzie mówią: „Ko-  
yś ne pyroh, ne pyrożysia!“

Chłopi zaśmieli się na całe gardło, wtórując naj-  
rozmaitszemi gestami konceptowi wójta. Hrehory  
rozweselił twarz, widząc, że mniemanego współzawo-  
dnika śmiesznym uczynił.

Zrozumiał to wszystko Jarema. Rzucił wście-  
kle wejrzenie na wójta i zacisnął zęby. Spostrzegł,  
że gromada, to jak stado ptaków: wszyscy są sobie  
równi i żadne pióra nie odróżniają ich. A jeśli jaki  
ich brat z klatki ucieknie i z czerwoną pod szyją wstą-  
żeczką do nich przyleci, wszyscy z hałasem rzucają się  
na niego i nieswojską oznakę wyskubią mu do szczytu.

Naturalnym rozsądkiem Jarema poznał odrazu  
sвій błąd i że przeciwnik z niego skorzystał. Przy-  
muszając się więc do największego puryzmu, do ja-  
kiego tylko był zdolny, ozwał się po chwili:

— Nie gniewajcie się, jeśli po dwudziestu latach,  
gdy wracam do was, zapomniałem mówić z wami, jak  
to dawniej mówiłem. Ale bo to człowiek kawał świa-  
ta zeszedł! Był w Wenedyku i w Majlandzie, w Italii

i u papieża... Modena, Cremona, Bergamo, Solferino, Przeworsk... Pesth, Weiskirchen, Łańcut...Deutschkopiec, Melkojed, Klausenburg. Radymno... i Bóg wie, jak się te miasta wielkie nazywają, a o lograch to już nic nie mówię.

Chłopi rozdziawili gęby, i w głębokiém milczeniu podziwiali gromadzkiego turystę. Najmnieję o dwa cale wyrósł w ich oczach. Hrehory zasmucił się.

— Sluchajcie Jarema—zawołał były amtsdiner o troistym nosie—czy przypominacie sobie tego pana komisarza, co to ze mną jechał jest temu lat dwadzieścia, na komisya i gdy was dziedzic chciał bić za głupiego kanarka?...

— Aha, przypominam sobie — odparł Jarema, zasepiając czoło, bo w téj chwili stanęła mu Nastka przed oczyma.

— A przypominacie sobie—mówił dalej Drei nos—jak to pan komisarz przyrzekł was wziąć na służbę, gdy będzie starostą?

— Aha, prawda—mruknął Jarema.

— Otóż ten komisarz jest dzisiaj naszym starostą—zakończył Huber.

Jarema pomyślał chwilkę, a potém ozwał się:

— Że ten pan komisarz jest naszym starostą, to bardzo dobrze, bo wypadnie czasem do Kreisamtu interes. Ale służyć Jarema nikomu nie będzie!

Tu wyjął z zanadrza spory węzeł cwancygierów i dukatów, rzucił je na stół przed zdziwionych chłopów i zawołał:

— Jarema nie jest biedny. Gdybym chciał, mógłbym sam zostać komisarzem, ale ja wolał wrócić do

gromady, kupić sobie grunt i chałupę, być porządnym gospodarzem i nie dać krzywdy robić gromadziel

Wszyscy chłopci wpatrzyli się w Jarekę. W ich oczach widać było radość. Oto ich brat gardzi dostatkiem świata i wraca na zagon ojczysty, aby z nim dzielić dołę i niedolę. I podnieśli się wszyscy z ławy i podali mu ręce; Hrehory tylko nie wstał, a podając mu rękę, mruknął:

— Tylko Jaremo, pamiętajcie o tém, że teraz nie wolno tak robić, jak to bywało. A Szymbka niema...

Jarema spojrzał ukośnie na wójta, ale nic na to nie odpowiedział. Zresztą nie każdy to dosłyszał, co wójt powiedział, bo kilku naraz mówiło do Jaremy.

A gdy się nieco uciszono, zaczął im Jarema długo i szeroko opowiadać swoje różne koleje żywota. Pawił im o bitwach i o ryżu z baraniną, jak razu pewnego samego Napoleona już za poły kabatu ułapił, jak go cesarz prosił o ogień do fajki, jak w burgu stał na warcie, a cesarzowa rzekła do niego: J a r e m a, t y k r a s n y ż o ł n i r! Dalej opowiadał, jak będąc kapralem, wprost poszedł do cesarza i wyprosił u niego łaskę dla swego kolegi, który miał dostać pięćdziesiąt kijów, jak przy téj okazji pytał go cesarz, co tam gromada Nowójwsi porabia i czy się jój dobrze dzieje? Później wystąpił z wojska, poszedł do kancelaryi i tam pisał i pomagał chłopom, którzy stadami, jak dzikie kaczkę, do niego się zlatywali. I zakończył tém, że już był blizkim znakomitego urzędu, ale przypomniał sobie gromadę Nowójwsi, której zapewne nie-najlepiej się powodzi, i postanowił wrócić do niej. Sam minister, z dużym harcapem na głowie, pochwa-

lił go za to i przyrzekł mu pomoc, jeśli kiedy do niego się uda.

Wszystko to w formie jaknajprzystępniejszej opowiadał chłopom Jarema. Chłopi kiwali głowami i nie wierzyli oczom swoim, a siedzący naprzeciw nich Jarema rósł coraz bardziej, aż pod powagę izby żydowskiej.

Największy jednak efekt sprawiły ewancygiery i dukaty, które przez dziurawą szmatę przeglądały. Toż wysłuchawszy całej Jaremy historyi, w zamian opowiadali mu szeroko o biedzie swojej. Mówili mu, że chudoba ich poschła z głodu, bo zabrano im pastwisko i część tylko dano na ich użytek; że strawy nie ma przy czém ugotować, bo do lasu ani nogą nie wolno im stąpić, a ten, co im dała dziedziczka, to już dawno wycięli.

Jarema uderzył pięścią o stół i rzekł:

— Musi to być wszystko inaczej! Niechno ja gospodarzem będę! Sprowadzę ja komisya na grunt!

— Och! komisya już była — ozwał się jeden z gromady — ale tak jakoś zrobiła dziedziczka, że pastwiska i las przyznano dworowi.

Jarema spojrzał na mecenasa i Hubera. Huber uśmiechnął się i mruknął:

— Wiem ja, jak to się dzieje w kreisamcie. Gromada była głupia i dała się oszukać.

— Musicie wiedzieć, moje dzieci — wtrącił suchy mecenas — że gromada czyli chłopi, są w obec prawa małoletni i mają obronę fiskusa za sobą. Niech tylko będą jakie takie dowody, a nawet tego tak bardzo nie potrzeba, to można cały proces odnowić, *renovatio*.

— Gdyby tylko kto za tém umiał pochodzić—  
dodał ex-amtsdiner.

— Ja mówię, złożcie się po jednym guldenie—  
zaczął mecenas—ja napiszę, a za parę tygodni...

— Co pisać?—krzyknął Jarema—to trza pójść  
samemu do kreisamtu, a jeżeli to nie pomoże, do Wien!

— Pan Huber zna w cyrkule wszystkie drogi—  
mówił dalej mecenas.

— Ale trzeba zawsze mieć pismo w ręku — do-  
dał ex-amtsdiner—bo ja znam starostę.

— No, no, o tém będziemy jeszcze radzili — za-  
konkludował Hrehory, i tak niema całej hromady.

— Niechno ja gospodarzem zostanę!—mrucał  
Jarema, chowając cwancygiery w zanadrze.

— Gospodarzem chcecie zostać?—ozwał się si-  
wy, zgarbiony włościanin, toż macie swoją dziado-  
wiznę.

— Dziadowiznę?— podjął Jarema — ja nic tutaj  
nie mam.

— Jakto? a Stefanówka? dzisiaj pustka.

— Pustka?—zapytał mecenas—a to zawsze bę-  
dzie proces.

Gdy się chłopci uciszyli, ozwał się siwy, zgarbio-  
ny staruszek:

— Na cóż tu procesu? Ja znam całą tę sprawę.  
Stefan Magdziak kupił ten grunt za figurą i postawił  
chałupę. Potém oboje zmarli nagle. Różnie mówili  
ludzie o tym gruncie, dla tego nikt z krewnych nie  
chciał tam osiaść, i zrobiła się z tego pustka. Dwór  
siał tam konieczyne i kosił trawę. Opiekun wasz wie-  
dział o tém, ale był z dziedzicem ręką w rękę, i dla

tego nic mnie nie mówił, że wy Jarema jesteście stryjecznym wnukiem po Stefanie i że wam należy się Stefanówka.

Jarema przyłożył rękę do czoła i zamyślił się.

— Kto płacił podatek z téj pustki?—zapytał mecenas.

— Dwór—odpowiedziano.

— To źle!—mruknął prawnik.—Ale jest jeszcze nadzieja. Naprzód, czy ta pustka, czyli grunt rustykalny zapisany w księgach z r. 1820, jako grunt dominialny, a powtóre, czy dominium podało tę pustkę, przy indemnizacyi, za grunt rustykalny?... Oho, ho! ze dworem to trzeba prawo znać na palcach, tak, jak ja znam. Dwór ma sposoby, że gromada zawsze przegra.

Jarema oderwał dłoń od czoła i spuścił ją z taką siłą na stół żydowski, że aż nogi w nim zatrzęszczały. Już samym instyktom, jaki zazwyczaj ma każdy biedny człowiek na widok bogatego, przeczuwał on, że dwór wyrządza gromadzie wielkie krzywdy, a różne doświadczenia i rozmowy, w czasie nowój jego kariery, nauczyły go, że tylko ochronna ręka władzy najwyższej odpiera te krzywdy, aby gromady do szczytu nie zgniotły. Teraz zaś miał on oczywisty dowód tych krzywd, a najboleśniej uczył je sam na sobie. On niegdyś był sierotą w gromadzie. Urażano i śmiano się z niego. Jasnowłosa Nastka odepchnęła go. A przecież wszystko to nie byłoby się stało, gdyby mu dwór nie był wziął jego dziadowizny...

Zerwał się z ławy Jarema, zarzucił swój węzełek na plecy, pożegnał wszystkich i wyszedł z karczmy.



Hrehory wyrzwał przez okno za nim i widział, że szedł prostą drogą do dworu.

— Coś z tego będzie,—rzekł do towarzyszy.

— Bezemnie dziadowizny nie wydrzem — mruknął prawnik, mrugając do przyjaciela o troistym nosie.

A w téj chwili zagrzmiało strasznie nad karczmą, aż stary Icek omal się nie przeżegnał. Błyskawica oświeciła pola, przez które przedzierał się jakiś cień czarny.

---

## IX.

### Jedna złota chwila.

**W**śród deszczu i burzy zbliżał się Jarema do dworu. We dworze było jasno. Na dużych szybach odbijały się kwiaty w wazonikach i w ładne arabskie haftowane firanki. Jakoś miło, przyjemnie było tam za temi jasnemi oknami, a na dworze było ciemno, zimno i dżdżysto. Białawe światło z dużej okrągłej lampy rozchodziło się po wszystkich kątach gustownie urządzonego saloniku, a na świecie była noc ciemna, burzliwa, oświecona tylko błyskawicami, których światło tak dziwnie błyszczało, jak zapalony proch na panewce.

Jarema stanął przed oknami i oparł się o płot, który od reszty ogrodu odgradzał mały, kwiatkami zasadzony ogródek. Jego wzrok padał głęboko do pokoju i kolejną przechodził różne znajdujące się tam przedmioty i osoby.

Naprzód przypatrywał się niejaki czas wdowie z wielką uwagą. Domyślił się, że to musi być owa młoda dziewczynka, której niegdyś usługiwał w tym dworze, a która teraz jest dziedziczką Nowejwsi. Za-

dnego w téj chwili nie przywiązywał do téj osoby wspomnienia. On widział w niej tylko dziedziczkę, nic więcej, widział panią domu, która gromadzie tyle krzywd wyrządzić miała, która jego dziadowiznę zagarnęła i do majątku swego wcieliła. Widział, że była ubrana ładnie i kosztownie, jak żadna niewiasta wiejska się nie ubiera. W jéj uszach błyszczało złoto i drogie kamienie, na rękach coś także świeciło się, co musiało być bardzo kosztowném.

Koło niéj widział młodą, z kapyśną twarzyczką dziewczynkę, która, jak każde dworskie paniątko, dygała na wszystkie strony i uśmiechała się, podając gościom niskie, porcelanowe czarki z jakimś napojem.

Powiódłszy okiem po dużych obrazach i zwierciadłach w złotych ramach, o których wartości zbyt wysokie miał wyobrażenie, pokiwał głową i rzekł do siebie:

— Mój Boże! Jak to dobrze tym ludziom! Oni tu bawią się, jedzą i piją, i nawet nie pomyślą o tém, że jakimś tam biednemu Jaremi wydarli dziadowiznę, a jego samego wypędzili w świat szeroki, w ciężką och! bardzo ciężką służbę!... Tam ze wsi słyhać ryk głodnej trzody, w chałupach ciemno, bo niéma czém palić; bez strawy kładzie się na piec gospodarz, aby jutro wstał do roboty... a tu tak wesoło, z tego dużego dzbana kurzy się para... jedzą, piją, śmieją się!...

I zacisnął pięść, i wzniosł ją groźnie do góry.

A tam za oknami właśnie w téj chwili mówił proboszcz owe piękne słowa, że lud miłością trzeba do siebie podnosić, trzeba go ukochać, jako brata, bo serce jego jest szlachetne, tylko mu brak oświaty. Wdowa postanowiła właśnie ze sprzedaży pustek ofiaro-

wać sto dukatów na szkółkę dla ludu, aby ten młodszy, zaniedbany brat nie był ciemny. Jadwiga i Władysław wezbraném sercem dzielali teraz zamysły wdowy i marzyli o własném przyszłym szczęściu wśród szczęśliwego ludu!... A nawet pułkownik przestał już biegać, a chociaż z wnioskiem wdowy nie mógł się jeszcze zupełnie zgodzić, miał już jednak ochotę wejść w targ o punkta kapitulacyi, bo w obec argumentów proboszcza, trudno było staremu żołnierzowi trzymać się w ostrzeliwanój ciągle reducie!...

I to wszystko działo się téj samej godziny, gdy Jarema z wyciągniętą do okna pięścią stał oparty o płot. O nie, to nie był ów Jarema, któremu przed laty dwudziestu wcisnęła do ręki ta sama kobieta, co tam siedzi przy stole w stroju wdowim, talara z Matką Bożką, gdy za dworu wychodził... To był wcale inny, inny człowiek!... To był już wychowaniec innéj szkoły, inni nauczyciele opatrzyli go w dzisiejszą jego naukę, a nauka ta, niestety, przyjęła się — bo grunt pod lepszą siejbę był zaniedbany!...

W téj chwili spostrzeżono z wewnątrz pokoju Jareme. Wszyscy zwrócili się do okna, a Jarema odszedł.

Na skrócie drogi stała figura, wyobrażającą św. Floryana, opiekuna od pożarów. Wzniosła ją tutaj pobożna ręka dawnego dziedzica Nowójwsi, a wieść głosiła, że od tego czasu nie było ani we dworze, ani we wsi żadnego pożaru. Jarema znał doskonale tę figurę, bo będąc pastuchem, wił wianki z bławatków dla świętego i zawieszał je na szerokiej konwi, którą święty patron gasił pożar u stóp swoich.

Przechodząc koło figury, mimowolnie zdjął czap-

kę. W téj chwili stanęły mu przed oczyma wspomnienia młodości i ozwało się w nim piękne, proste uczucie wiary w świętych opiekunów, które w ciągu tych dwudziestu lat mocno nadwerzęły bezbożne z kamratami pogadanki.

Jarema wyjął rękę z kieszeni i przeżegnał się przed św. Floryanem...

Uszedł kawał drogi wśród deszczu i burzy. Figura oddalała się od niego coraz więcej, a w jego głowie budziły się znowu nieprzyjemne wspomnienia. I myślał sobie:

— Jam tu obcy, ja tutaj nie mam ani piędzi ziemi! Mysz ma dziurę, ptak gałązkę drzewa, a mnie wypchnięto ze wsi rodzinnej, oddano w rekruty, wzięto dziadowiznę!

I zawrócił znowu do dworu, ale figurę ominął i inną poszedł drogą.

Zbliżył się do ganka i cały przemokły, rzucił się na ławkę. I rzekł do siebie:

— Tu będę mokł i gnił, póki mi krzywdy mojej nie wróca.

Wyszła z sieni babulka i przestraszyła się. Usłyszawszy krzyk staruszki, wyszli goście i domowi z pokoju.

— Kto tu?—zawołał pułkownik.

— Jarema—ponuro odpowiedział przybysz.

— Co za Jarema?—zapytało kilka głosów.

— Jarema, co to przed laty dwudziestu służył we dworze—odpowiedział przybysz,—co to oddano go w rekruty.

— A! Jarema!—zawołała wdowa ze współczuciem właściwém naszym kobietom, gdy po długim cza-

sie dawnego sługę spotykają—Jarema! O! to bardzo dawno już... Jaremo! a czemuż na Boga tak ludzi przestraszacie? Ledwo nie pomdleliśmy z przestraszchu!... Czemuż nie poszłście wprzód do piekarni?... Idźcie, osuszcie się; tam jest Jacenty i Mateusz i Nastka.

Jarema zdjął czapkę i z dawną pokorą pokłonił się wdowie. Ktoby jednak widzał w téj chwili wyraz jego twarzy, nie wierzyłby téj pokorze, która była tylko dawnym nałogiem.

— Jasna pani — przerwał wdowie—ja nie chcę ani Mateusza, ani Jacentego, tylko do saméj jasnej pani mam interes.

— Do kroć tysięcy katów!—krzyknął pułkownik, którego taka niesubordynacya już nudzić zaczęła—do milion beczek!... któż o dziesiątej godzinie przychodzi do dworu z interesem?

— Bo mi pilno, jasny panie!—odparł z pokornym ukłonem Jarema.

— A cóż cię tam pali?—ofuknął się pułkownik.

— Mnie nie nie pali, jasny panie—odrzekł zimno Jarema — wódki nie piłem. Mnie owszem zimno bo do nitki przemokłem.

Proboszcz spostrzegł, że tutaj ma się z jakimś awanturnikiem do czynienia, z którym najłatwiejsza będzie sprawa, gdy się najgrzeczniej z nim obejdą. Postąpił więc naprzód i słodkim zapytał głosem:

— Przyjacielu, powiedz wyraźnie, czego żądasz, czy ciepłego kąta, czy stawy? Tego nie odmówi ci gospodyni.

— Ja nie chcę żadnego kąta, ani cudzej stawy, ja chcę swojej własnej—odparł Jarema.



Trudno było wyrozumić z téj odpowiedzi, czego właściwie przybysz żądał. Niewtajemniczonym w jego położenie wydawał się, jako prosty awanturник.

Tak téż myśleli sobie wszyscy, co go słuchali. Interweniujący proboszcz ozwał się jeszcze:

— Mój przyjacielu, zakrawasz coś na napastnika, ale napaść nikomu tu płazem nie ujdzie. Więc radzę ci spokojnie się zachować, iść do piekarni i wyśpać się do woli.

Jarema włożył czapkę na głowę i rzekł łamanym językiem z butą, zapomniawszy unikać słów żołnierskich:

— Ja tu sem nie przyszedł po kawałek chleba. Ja chleb mam i pieniądze mam. Ja tu przyszedł po to, co mi się należy. A jeśli mi tego nie oddadzą, to ja wiem, co zrobię, gdybym nawet miał powędrować do Wien! Ja był w Wenedyku, Kremonie, Majlandzie; ja stał na warcie przy papieżu. Oho, ho! ja wiem, co to jest!

Pułkownik miał wielką ochotę machnąć ręką po téj na bakier przewieszonéj czapeczce, ale humorystycznie zaaplikowana chwalba Jaremy rozśmieszyła i udobruchała wszystkich.

— Moi wy kochani — ozwała się wdowa, — już przecież nie zechcecie mi w nocy robić awantury, a gdy jutro rano przyjdziecie, to pogadamy sobie o Wenedyku i Majlandzie, a nawet i o papieżu, jeżeli ksiądz proboszcz na to pozwoli.

— Satis — zawołał proboszcz, popychając grzecznie wszystkich do pokoju, — dosyć téj rozmowy, jeśli państwo nie chcecie wywołać jakiej awantury. Wiadac, że ten człowiek szuka zaczepki — dodał po cichu.

Rzekłszy to, zamknął drzwi do sieni i rygłem zasunął.

Jarema widział drzwi zamykające się przed nim i słyszał rygiel. Krew w nim zawrzała, ścisnął pięść i krzyknął wśród burzy:

— Poczekaj! Oddasz mi dziadowiznę! Oho, ho! Stefanówka musi być moja! Wara od pustki!

W téj chwili duży, kudłaty pies rzucił się na niego. Jarema obrócił się do niego, a widząc błyszczące jego ślipy i paszczę rozwartą, zawołał:

— Héj mój mocny Boże! i pies dworski tutaj szczeka na mnie, jakbym był dziadem, lub zawłoką. Ja, w gromadzie Nowowiejskiej dziadem, zawłoką...

Zgrzytnął zębami, a zwróciwszy się do napastnika, zacisnął obie pięście. Jasna błyskawica oświeciła teraz twarz jego.

Straszną musiała być ta twarz, bo pies kudłaty stanął nagle, jak wryty i patrzył się w niego. Potém zaskomlał, spuścił ogon i odszedł.

Jarema rozśmiał się szatańskim śmiechem, i wolnym krokiem udał się ku piekarni.

---

W piekarni jeszcze było światło. Stanął przed oknem i spojrzał w głąb.

Tam go coś ciągnęło. Widział dwóch zgrzybiących starców i młodą jeszcze kobietę. Kobieta była do niego tylko półtwarzą obrócona. Nie mógł jęj poznać. Na kominie palił się ogień. Ciepło i przyjemnie musiało być w téj izbie. Przypominał sobie, że tam za piecem miał kiedyś swoje łożo; on tam śnił

o różnych rzeczach, śnił o kawałku gruntu i o Nastece!... A tam niedaleko było łóżko Szymka... tego Szymka, który go szczęścia pozbawił!... O! gdyby on miał grunt i chałupę, wszystko poszłoby inaczej!... A jego ztąd wypędzono, oddano w rekruty, on cierpiał za całą gromadę! I któż temu wszystkiemu był winien?

W téj chwili krzyknęła kobieta w piekarni i zakryła sobie twarz. I obaj starcy krzyknęli z przestachu.

Zdawało się Jaremie, że jakiś znajomy był ten głos kobiety. Ale w téj chwili opanowało go inne, nader cierpkie uczucie. Usunął się z pod okna i pomyślał sobie:

— Ja tutaj wszystkich tylko przestraszam. Jak dziad jaki lub włóczęga wałęsam się po dworze. Oho, ho! inaczej to być musi!... O Hospody!—rzekł zeicha potem—jakby to inaczej ze mną było, gdybym był we wsi pozostał na swoim gruncie i w swojej chałupie... i gdyby nie ten przeklęty Szymek!

Domawiając tych słów, ujrzał odchyłone drzwi stajni, z których jakieś dziwne wymykało się światło. Włożył głowę i zajrzał w głąb.

Czy to było złudzenie, czy zły duch majaczył mu przed oczyma? tego nie mógł Jarema odgadnąć. Na słomie leżało dwóch młodych parobczaków. Jeden z nich był kubek w kubek do Szymka podobny!...

Jarema odchylił więc drzwi i stanął, jak wryty. Szymek a Szymek!...

Powoli podniósł rękę do czoła i potarł nią, aby się przekonać, czy to we śnie widzi, czy na jawie!...

Ale parobczak był młody... bardzo młody... a Szymek miałby już teraz najmnij lat czterdzieści...

Oko jego potoczyło się zwolna po stajni, i uśmiech piekielny zaigrał koło jego ust wykrzywionych.

W latarni, przywiązanej do słupa, dopalała się świeczka i już zaczynało tleć drewniane dno latarni. A pod słupem były pęki słomy...

Coś szatańskiego błysło w oczach Jaremy. Przywarł szybko drzwi i śpiesznie oddalił się od stajni.

W duszy swojej usłyszał jakieś dziwne głosy. Jedne i drugie mówiły naraz; ale Jarema nie mógł ich zrazu zrozumieć. Jedne popychały go naprzód, aby czémprędzej ze dworu wychodził, inne ciągnęły go do stajni, do latarni przy słupie.

Wreszcie wyrozumował sobie, że to kara boża na dwór za wszystkie krzywdy jego, że to ręka sprawiedliwości bożej, której on nie powinien powstrzymywać... A ten parobczak tak do Szymka podobny!...

Tak myślał sobie Jarema, i coraz więcej oddalał się od zagrożonej stajni, spokojnym będąc w sumieniu. Nie przyszło mu nawet do głowy, że w razie ognia całe podejrzenie spadnie na niego...

Powoli zoliżył się znowu do okna piekarni. Spojrzał i musiało go tam coś mocno uderzyć, bo ku ścianie się potoczył i oparł rękę o wystające węgły.

W piekarni, koło małego obrazka przylepionego na ścianie, klęczała kobieta. Mogła liczyć trziedzieści sześć lat. Twarz jej była blada, włosy miała jasne i bujne. Białe ręce złożyła i oparła o stół, a duże oczy, z których łzy płynęły, wzniosła do góry i modliła się.

Jarema poznał ją—była to Nastka.

Stał chwilę przed oknem i osłupiałym patrzył w głąb wzrokiem. I jakoś gorąco zaczęło mu się robić koło serca; zdawało mu się, że to serce coraz więcej rozszerza mu się w piersi... że rośnie... i jakoś tak błogo, tak słodko, choć smutno było mu w duszy. Potém załaskotało go coś w gardle, oczy zaświerzbiał... a za chwilę poczuł, że mu po twarzy coś płynie...

Ale nagle zerwał się, jakby ukąszony, i co tchu pobiegł do stajni. I przyszedł jeszcze w sam czas, bo właśnie ono latarni zaczęło się już palić małym płomykiem.

Zcicha przesunął się pomiędzy śpiącymi i zagasił ogień... I tak jakoś lekkim powracał ze stajni, jakby mu nagle wyrosły dwa skrzydła, które widywał u aniołów...

I z lekkim sercem otworzył drzwi od piekarni.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł miękkiem głosem.

— O Jarema! — zawołała kobieta, ocierając szybko oczy — przecież się nie omyliłam! Moje serce od kilku dni...

I nie dokończyła, bo Jarema wziął ją za rękę i utopił w niej duże, przenikliwe oczy.

— Czy wy za mężem? — zapytał po chwili, patrząc na czepiec na jej głowie.

— Nie — wyszepnęła z cicha kobieta, a głos jej drżał czegoś — jestem wdową!

— Po... zaczął Jarema, ale imienia Szymka nie mógł w téj chwili wymówić.

— Po Walentym — dokończyła prędko kobieta. Jarema odetchnął pełną piersią.

— A cóż to za parobczaki śpią tam w stajni? zapytał po chwili Jarema.

— To Szymek i Walek — moi synowie — odparła kobieta, a głos jój drżał jeszcze więcej.

— Z pierwszego małżeństwa? — podjął szybko Jarema.

— Ja tylko raz ślub brałam — wyszepnęła kobieta i przyłożyła szybko fartuszek do oczu, bo potok łez cisnął się do nich.

Jarema stał chwilę przed nią i wpatrywał się w nią, jak w tęczę. Potém odstąpił kilka kroków, wyjął z zanadru węzełek z cwancygierami i dukatami i rzekł do kobiety:

— Słuchajcie Nastko! Tu są pieniądze. Weźcie je i schowajcie mi do swojej skrzynki. Ja mam tutaj różne sprawy, gotowem zgubić. Dobranoc wam, pójdę spać do karczmy.

I wyszedł szybko z piekarni,—a gdy spojrzał do góry, ujrzał jasne, wypogodzone niebo, z którego mrugały do niego małe, błyszczące gwiazdeczki... było mu jakoś tak słodko, tak błogo!.. I jakoś niemiło mu było, gdy przed karczmą spotkał suchego mecenasa i dawnego przyjaciela o troistym nosie. I nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego uczucia nawet wtedy, gdy już wszyscy razem do karczmy wrócili, a rudy Icek flaszkę wódki przed nim postawił.

---



## X.

### Różne nadzieje.

**T**akim był pierwszy dzień Jaremy, gdy po dwudziestu latach wrócił napowrót do wioski rodzinnej. Do wyobrażeń, jakie był z sobą przyniósł, przybyło jeszcze coś na miejscu, co go nietylko w tych wyobrazeniach utwierdziło, ale nawet rozwinęło je w daleko szersze rozmiary. Był już wprawdzie z góry uprzedzony i napojony żółcią przeciw dworowi, a to, o czém się w karczmie dowiedział. i przyjęcie, jakiego we dworze doznał, spotęgowało tylko w nim antagonizm i popchnęło do tém raźniejszych kroków.

Mały jednak epizodzik, który zaszedł w piekarni, a którego wcale niespodziewał się Jarema, zagroził nagle wszelkim jego planom. I kto wie, co by się było stało, gdyby fatalna ręka mniemanych jego przyjaciół nie była prędko zatarła wrażenia, jakie w téj chwili rozszerzyło mu serce, żalem do dworu dotąd ściśnięte. Kto wie, czy wspomnienie chwil młodych i widok kobiety, której obraz zasklepił się, jak perła w muszli, w duszy jego, nie byłyby zneutralizowały żółci, którą go tak długo pojono!... Nastka mogłaby

choć pod wieczór życia zostać jego żoną, dziedziczka mogłaby bez procesów dać pustkę po Stefanie i jeszcze czémś zapomódz, a Jarema byłby szczęśliwy i w szczęściu swoim inaczéj zapatrywałby się na mniemane krzywdy, jakich gromada od dworu doznawała!..

Ale Jarema za wiele cierpiał i doświadczył, za wiele nasłuchiwał się w ciągu tych lat dwudziestu, aby mógł zastanowić się nad chwilową zmianą, jaka w nim zaszła od zagaszenia latarki w stajni, aż do wydania Nastee węzełka z cwancygierami. Wprawdzie było mu w tych kilku chwilach tak błogo koło serca, kroki jego były tak lekkie, jakby u ramion miał skrzydła, które człowieka w anioła zamieniają!... Ale w ciągu lat dwudziestu nabyte wyobrażenia przemo-gły nad budzącém się uczuciem, które, jak meteor błysnęło po ciemni jego serca, dowodząc, że tam był grunt piękny i szlachetny i że tylko zamuliły go fatalne okoliczności, pod jakimi wzrósł ten człowiek.

I gdyby nawet światło tego meteora dłużej świecić chciało, towarzystwo mniemanych Jaremy przyjaciół i spora flaszką wódki, przy której toczyła się narada, zagasiłyby wszystko do szczętu.

Suchy mecenas zapewnił go, że pustki po Stefanie żadną inną drogą od dworu nie odbierze, tylko drogą procesu, i napominał go, aby się strzegł wszelkich układów. Huber znów coś mu wiele mówił o starości, który bardzo mu sprzyja i w ogóle wszystkich chłopów bardzo lubił...

Jarema przyjmował te rady z uśmiechem. Przy-padały one wprawdzie do jego gustu, ale w obec planów Jaremy były zbyt drobne i karłowate. On prze-

szedł Austryą od krańca do krańca, a cały ten ogrom obszaru, ludzi i wypadków wpakował mu się do mózgu i rozpierał mu nieustannie głowę, która tego wszystkiego należycie pomieścić nie mogła. Dla tego miał o sobie daleko większe wyobrażenie, niż jego przyjaciele sądzić mogli; a gdy mu ci o starości i o procesie mówili, on myślał o Wiedniu i o ministrze, o którym mniemał, że z dużą, w srebro okutą laską stoi przed pałacem monarchy.

Mimo to podziękował radzącym przyjaciółom i przyrzekł im, że w danym razie z oświadczeń ich korzystać będzie.

A kiedy już sporo po północy kładł się na ławkę, aby się trochę przespać, przed jego oczyma biegały różne rzeczy; ale żadna z nich nie napoiła jego serca tak błogiém uczuciem, jakiego był doznał po zgaszeniu latarki w stajni...

Lecz, gdyby nawet i wspomnienie tego szczęścia było go trochę niepokoiło, jutrzejszy dzień byłby wszystko do reszty zatarł.

---

We dworze dla jego sprawy nienajlepsze było usposobienie. Zaraz przy śniadaniu zaczęto mówić o téj sprawie. Zgromadzenie było to samo, co i wczoraj; burza bowiem nie dała gościom wczoraj odjechać, a pani Nowowiejska ściśle przestrzegala gościnnych domu swego tradycyji, i gości w domu swoim na czas dłuższy zatrzymać musiała.

Toż, kiedy przy rannéj kawie wszyscy się zeszli, (przyczém nadmienić musimy, że Jadwiga w negliży-

ku prześlicznie wyglądała), nie mówiono o niczém inném, tylko o wczorajszej awanturze, jaką był wyprawił Jarema. I wszystkim wydała się dziwną, bo właśnie téj saméj godziny, kiedy pustki miały przejść na innego właściciela, zjawił się w oknie dworu niewiadomy dotąd pretendent i założył protest!...

Wdowa posmutniała, gdy sobie całą tę przypomniała scenę. Była to w jéj oczach jakaś niedobra wróżba dla Jadwigi, która coraz widoczniej okazywała Władysławowi przychylność. Chcąc więc przeczuwane jakieś nieszczęście jak najtaniéj okupić, a wreszcie i słusznym może żądaniom Jaremy zadość uczynić, postanowiła oddać mu pustkę po Stefanie bez wszelkich procesów, do których miała wstręt bardzo słuszny.

Sprzeciwili się jednak takiemu doraźnemu załatwieniu sprawy pułkownik i proboszcz, a każdy z innego stanowiska.

Pułkownikowi psuła ta sprawa wszystkie jego mozolnie skombinowane plany. Los biednej wdowy oddawna leżał mu na sercu. Również myślał i o Jadwidze, której był chrzestnym ojcem. Trafiła mu się po temu sposobność. Jego kuzynek, pan Władysław, odziedziczył po rodzicach dwa tysiące czerwonych złotych. Włożywszy ten kapitałik w zaniedbaną nieco kobiecém gospodarstwem Nowawieś, możnaby ją było podnieść do ładnej fortunki. Ale on wiedział doskonale, ile na niewyjaśnionych wzajemnie stosunkach cierpią zwykle uczucia najszlachetniejsze. Zresztą nie chciał, aby Władysław przyszedł do tak zwanéj fartuszkowéj fortuny. Niemniej wiedział téż doskonale o stanie finansowym wdowy i przewidywał, że

oświadczenie się pana Władysława nabawiłoby ją w téj chwili niesłychanego kłopotu.

Skombinował więc plany swoje w ten sposób: Naprzód miał pan Władysław wystąpić, jako kupujący tak zwane pustki. Tym sposobem przyszedłby już de facto do części Nowójwsi, co w oczach świata, bodaj dla formy, już coś znaczy. Powtóre, tym sposobem zbliżyłby pana Władysława do Jadwigi, i zostawiłby im wolne pole do przekonania się wzajem o swoich sympatyach i charakterach. Małżeństwu bowiem zawieranym prędko, pod pierwszém wrażeniem wzburzonych nerwów, niewiele ufał doświadczony pułkownik, który niegdyś miał czarne wąsy i czarną czuprynę, w ogrodzie Saskim uchodził za najprzystojniejszego oficera polskiego.

Prócz tego miał jeszcze i to na uwadze pułkownik, że młody człowiek powinien wprzód złożyć egzamen z pracy swojej, a że te pustki znaczny kawał gruntu stanowiły, więc uprawa ich podniosłaby potem wartość całego wspólnego majątku.

Wchodziło i to w jego plany, aby biedna wdowa, dla ratowania się, dostała do rąk jakąś sumkę.

Tak to wszystko mądrze i porządnie ułożył sobie w głowie stary pułkownik, a że był z natury impetyk i najbardziej gniewał się o to, gdy mu kto w planach jego przeszkadzał, więc sprawa Jaremy o pustkę po Stefanie nienajlepszego miała w nim obrońcę. Zaraz z góry zaperzył się, i cały akt Jaremy nazwał rozoojem, zamachem na własność dominalną, prostą, nocną awanturą. Był zdania, że Jaremy nie należy wcale do dworu przypuszczać, a nawet go psami wyszczuć, gdyby z ganku ustąpić nie

chciał. O prawniczéj stronie téj sprawy nie miał pułkownik żadnego wyobrażenia. Nie znał praw i nigdy nie chciał się z niemi zapoznawać. Wprost więc oświadczył się przeciw uroszczeniom Jaremy, a kładąc na stół cenę kupna, chciał wszelkie do tych pustek możliwe pretensye wziąć na siebie.

Inaczéj o téj sprawie sądził ksiądz proboszcz. Zażywszy tabaczki, rzekł do pułkownika wadzącego się z wdową:

— Wadzicie się państwo między sobą, ale widzę, że nie zapatrujecie się na tę sprawę z wyższego nieco stanowiska. U nas nadewszystko powinno górować stanowisko obywatelskie, a nie prywatne. Jaremie więc zaprzeczać nie należy pretensyi do pustki, i to mu się w oczy powie, ale dla formalności potrzeba, aby pretensye jego były urzędownie sprawdzone. I tak, nie wie pani dobrodziejka, czy ta pustka r. 1820 była zapisana, jako grunt dominialny i czy nie podano jéj do indemnizacyi, jako grunt rustykalny. Do tego potrzeba prawnika, a tak w jednéj chwili nie można téj sprawy rozstrzygnąć. Jaremie wypadłoby dać tymczasem jaki zarobek przy dworze, jeśli nie ma żyć z czego.

Zdanie to księdza proboszcza przyjęto po niejakiéj dyskusyi, chociaż wdowa mocno obstawała przy doraźném załatwieniu sprawy, zwłaszcza, że grunt téj pustki należał do najlichszéj gleby w całej Nowéjwsi, i dla tego nigdy obsadzonym być nie mógł. Nie opierając się jednak wyrokowi proboszcza, z wyższego stanowiska oblatowanemu, zgodziła się na odwłokę do urzędowego rozsądzenia.



Jarema spodziewał się takiej uchwały, tylko o jej motywach nie miał pojęcia. On wiedział z góry, że dwór krzywdzi gromadę i dobrowolnie nie odda, lecz to go wcale nie niepokoiło.

Ale Jarema i ci, co go tego wyuczyli, widzieli tylko dwa kroki naprzód, a o dalszą przyszłość nie dbali. Więc ucieszyło Jaremę, że gromada, która, mówiąc nawiasem, powzięła o przyniesionych przez niego skarbach zbyt wygórowane wyobrażenie, przyklasnęła jego żądaniom i wszystkimi siłami w tém go popierała.

Jarema ubrał się w nowy kaputrok i w nową żołnierską czapeczkę. Na lewym boku zawiesił medal, który otrzymał za okazane we Włoszech męstwo. Wszyscy chłopci (prócz wójta) patrzyli z uwielbieniem na szerokie jego barki, na zdrowy wyraz twarzy i na tę pewność, jaką okazywał we wszystkich swoich ruchach i słowach. Cieszyliby się jeszcze więcej, gdyby Jarema był takim chłopem, jak oni, gdyby ten kaputrok zmienił na siermięgę, a czapeczkę na kapelusz słomiany.

Ale Jarema miał inne plany. Zaraz po mszy świętej wyruszył w podróż do starosty.

Starosta cieszył się widokiem Jaremy, gdy go poznał. Położył mu rękę na ramieniu, oglądał srebrny medal, i długo bardzo łaskawie z nim rozmawiał. Sprawy jego o pustkę wysłuchał łaskawie i przyrzekł, że ją natychmiast odda w ręce właściwe. A gdy go serdecznie za rękę ścisnął i drzwi za nim zamknął, — rzekł do komisarza:

— Ten Jarema, to jedno z potrzebnych nam indywiduów. Taki człowiek w gromadzie wiele przy-

czynia się do rozszerzania wyobrażeń porządku. Był w wojsku i nauczył się, że wszystkie członki w jednym organizmie, muszą jednej wspólnej słuchać woli. A tego potrzeba tutejszym gromadom. U nich najdziwniejsze pojawiają się wyobrażenia. Cóż, kiedy nie ma ludzi z iaką taką oświatą w gromadzie! Pamiętaj pan, jeśli będziesz w Nowójwsi, nie zapomnieć o tym Jaremie. Trzeba go wyforować na wójta. Umie czytać i pisać, a będziemy w nim mieli wiernego wykonawcę ustaw krajowych.

Tak mówił starosta, a komisarz potakiwał głową, że się we wszystkiém zgadza z pryncypałem.

Jarema lekkim krokiem dążył do wioski rodzinnej, przeczuwając, że go tam oczekuje szczęście i zaszczyty.

---

## XI.

### Lasy i pastwiska.

**O**d owego czasu minął rok cały. Wiele rzeczy stało się w tym roku, a wszystkie wypadły na korzyść naszego szczęśliwego bohatera.

Naprzód w przeciągu kilku tygodni przyznano mu urzędownie prawo do pustki i wprowadzono go, z wielkim tryumfem gromady, w jój posiadanie, ku wielkiemu zmartwieniu ekonoma i pułkownika. Zdanie więc księdza proboszcza, aby iść drogą prawa i zbytnią uległością nie dawać otuchy uroszczeniom gromady, w części tylko zamierzony odniosło skutek. A że Jarema udało się dziadowiznę swoją, jak mówiono, z pazurów cudzych wydrzeć, więc rósł w oczach całej gromady na wielkiego człowieka i wielu oczy zwróciły się już ku niemu, jako ku przyszłemu obrońcy gromady.

Jarema wiedział o tém, co się w gromadzie święci, i szedł dalej wytkniętą drogą. Naprzód wybudował nową chałupę, postawił stajnię i stodołę. Przeczując instynktem, że gromada nie lubi żadnych wyróżnień i że w najwyższym stopniu jest zachowaw-

czą, wystawił wszystkie te budynki w taki sposób, jak był odwieczną gromady nowowiejskiej tradycją, nie dodawszy do nich nic z tego, co widział za granicą. Gromadzie to się bardzo podobało.

Idąc dalej w tym kierunku, złożył do skrzynki cały swój ubiór wojskowy, a czapeczkę powiesił na kołku, aby ją miał pod ręką, gdy pora się wydarzy. Według jego bowiem wyobrażenia, była ona talizmanem nietykalności. Na teraz wciągnął na siebie siermięgę takiego samego kroju, jaki przyjęty był w gromadzie, a na kędzierzawe włosy włożył kapelusz słomiany. Tak zwany „lajbik,“ zdjął także, i wszędzie podpruwał nawet guziki cynowe, które świadczyły o jego stanie żołnierskim.

Zrównawszy się tym sposobem z gromadą i przyjąwszy napowrót czysty jej język, bez wszelkich cudzoziemskich dodatków, przyszedł w gromadzie do wielkiej konsyderacyi, i widać było już na schadzках w karczmie, że w koło niego zaczęto się grupować. A gdy do tego jeszcze koło pustych gruntów swoich dobrze się zawinął, a wykupiwszy nawóz po wszystkich karczmach sąsiedzkich, doskonale je sprawił i ozimną obsiał, nazywano go już prawie jednogłośnie najlepszym gospodarzem, do czego przyłączała się także wieść tajemna, że na wojnie ogromne zebrał pieniądze, a w mieście obwodowem razem z panem komisarzem pali cygaro.

Prócz tych dodatnich, gromadzkich przymiotów, i w towarzyskiem pożyciu rozwinał powoli przewagę nad innymi, która wkrótce wysunęła go na najwyższy szczebel w gromadzie. Gdy bowiem gromada pila, on pił za dziesięciu, gdy się gromada biała, on najwię-

cój nosów porozbijał; a gdy w gromadzie było wesele, on przewodził tańcom i śpiewał skrzypkowi pod nótę. Wprawdzie miał do waleczenia z niebezpiecznym rywalem Hrehorym, wójtem gromady; ale, gdy raz wyzwiał go w obliczu gromady do bójki i pod stół wepchnął go, wybiwszy mu wprzód dwa zęby, Hrehory podał mu na drugi dzień rękę do wieczystego przy mierza, a gromada jednogłośnie obrała go już w duchu za przywódcę i obrońcę praw gromadzkich.

Tym sposobem w bardzo krótkim czasie wyrósł Jarema na pierwszego gospodarza w gromadzie, a że miał u starosty dobre zachowanie, a więcéj jeszcze sam o tém mówił, nachylały się powoli wszystkie nadzieje ku niemu; widziano w nim bowiem jedynego człowieka, jakiego właśnie potrzebowała gromada, o czém często prawili inni suchy mecenas i przyjaciel jego były amasdiner.

Niewiele miał pan komisarz obwodowy zacnodu, gdy do Nowejwsi przyjechał i Jaremę na wójta zalecił. Gdy przyszedł czas po temu, jednogłośnie obrano go wójtem.

I tak wszyscy byli zadowoleni. Starosta pochwalał gromadę, że takiego człowieka wybrała i spokojnie położył się do łózka, w tém przekonaniu, że w najlepsze ręce złożył interesa publiczne. Komisarz był także kontent z siebie, że życzeniom starosty za dość uczynił. I gromada, i Jarema byli kontenci z siebie, bo gromada wierzyła, że Jarema wszystko dla niej wyprocesuje, a Jarema takie samo o sobie miał wyobrażenie, bo prawem było u niego tylko to, co stanowiło korzyść gromady.

Stanąwszy na najwyzszym szczepie godności

w gromadzie, uczynił zadość dawnym marzeniom swoim i Nastkę jasnowłosą do ołtarza poprowadził.

Aby jednak w tym zenicie szczęścia nie mu słodkich dni nie zatruwało, postanowił jeszcze czegoś dokonać..

Dwaj synowie Nastki, a mianowicie Szymek, który twarzą przypominał mu najgłówniejszego wroga, przeszkadzali jakoś jego szczęściu. Miał do nich wstąpić, którego sobie nie mógł wytłumaczyć. Chcąc przeto z oczu ich usunąć, pomyślał, że najlepiej dla nich zrobi, gdy ich do wojska odda, gdzieby tę samą, co i on, przeszli szkołę. Aby to jednak z jego strony nie wyglądało na nieludzkie pozbycie się pasierbów z domu, wyliczył im w „werbbecyrku“ po sto reńskich monetą konwencyjną, własną ręką pod miarę postawił i ostrzyżonych do kazarni odprowadził, gdzie ich opiece znajomego feldfebla polecił.

Tak uporządkowawszy swe interesa, dał na mszę świętą i gorącą modlitwą podziękował Panu Bogu, który różnemi drogami zaprowadził go do łaski wójtowskiej i Nastki jasnowłosój.

---

We dworze w tym roku także wiele zmieniło się rzeczy. Wdowa postarzała się w kłopotliwém swoim położeniu. Urodzaje chybiły, wydatki pomnożyły się, bo Jadwiga była już panną na wydaniu. Pan Władysław osiadł wprawdzie na pustkach i szczerze wziął się do roboty, ale ziemia niemal przez pół wieku zapuszczona, okazała się bardzo niewdzięczną, czyli raczej mściwą za złe z nią wychodzenie. Pochłaniała



znaczne wkłady, a nie wracać nie chciała. Pułkownik radził, jak mógł, lecz wszystko chybiało jakoś celu i nowo-utworzony folwarczek wcale się nie udawał. Zwał on to wprawdzie na niecierpliwość pana Władysława, który więcej myślał o Jadwidze, niż o gruntach, ale w końcu przekonał się, że długo na tej pustej ziemi popasać nie można i czémprędzej trzeba do panienki generalny szturm przypuścić. I Jadwiga zdawała się wyczekiwać tego szturm, bo już cały zapas ksiązek pana Władysława przeczytała, i z każdym dniem coraz więcej mówiła o klasztorze, co według przekonania pułkownika najlepszą jest porą do ataku i zwycięstwa. A gospodarza koniecznie potrzebowała wioska, bo gromada do gruntów i lasów dominialnych coraz większe rościła pretensye.

Wdowa z własnego popędu darowała gromadzie część pastwiska i kilkadziesiąt morgów lasu; ale gromada podzieliła się pastwiskiem i zorała je pod siejbę, las wycięła, wykarczowała i także podzieliła między siebie, a do lasów i pastwiska dominialnego rościła znowu pretensye.

Powiedzieliśmy już wyżej, że z pańszczyzną odpadły gromadzie różne korzyści, które miała z pastwisk i lasów dominialnych. Strata tych korzyści była dla gromad bardzo dotkliwą, a dla niektórych osad nawet wielkiem nieszczęściem. Chudoba gromadzka, owo jedyne bogactwo chłop, została zagrożona śmiercią głodową. Ztąd powstały liczne procesy, a wyznaczone ku temu komisye zbyt powoli postępowały. W Nowejwsi jednak komisya serwitutowa wydała już wyrok w spornej między dworem a gromadą kwestyi, i pola używane dotąd na pastwiska,

przyznała dworowi. Gromada widziała we wszystkim tém niesprawiedliwość sobie wyrządzaną.

Otóż to dawne pastwisko poradził wdowie pułkownik zaorać i zbożem obsiać. Sądził on, że na nowinie obfity zbiór będzie, a powtórę chciał tym sposobem odebrać gromadzie wszelką pokusę do wyganiań bydła na te pola, jak to było zwyczajem za czasów pańszczyźnianych.

Gromada z załamanemi rękoma patrzyła na pługi, które te pola orały, i przysięgała w duchu zemstę, gdy czas będzie po temu. O prawie własności dworu do tego gruntu, nikt jój nie przekonał, a ludzie, których się radziła, odpowiadali jój półgębkiem, ruszając ramionami, co gromada po swojemu sobie tłumaczyła.

Pomimo jednak téj wzrastającej coraz więcej niechęci gromady, wytrwała wdowa w powziętym raz zamysle i ze szczupłych funduszków założyła szkołkę dla dzieci wiejskich. Gromada jednak nie widziała w téj fundacyi żadnego dobrodziejstwa, bo jój ktoś powiedział, że to jest obowiązkiem każdego dworu. Zresztą nie widzieli oni w téj instytucji żadnych korzyści, przeciwnie pozbawiała ich ona usługi dzieci, które ten czas w szkole przesadywać musiały.

Jarema był niezmordowanym w sprawie gromady. Wiele rzeczy udało mu się przeprzeć u starosty, naczelnika powiatowego, a nawet i we Lwowie. A po każdej wygranej sprawie rosła sława Jaremy, i on sam rósł w oczach swoich, i zdawało mu się, że w danym razie mógłby daleko więcej dokazać.

W takiem to położeniu zaskoczyło nagle dwór i gromadę nadzwyczajne zdarzenie.

Ogłoszono, że sejm konstytucyjny ma się zebrać we Lwowie i radzić o dobro kraju. Wieść ta wszystkich napełniła radością.

Wyznaczono czas wyborów na posłów do tego sejmku, i prace przygotowawcze natychmiast przedsięwzięto.

Zaczęły się agitacye, poza wiązywały komitety, przedstawiono kandydatów, i zaczęto w ich imieniu agitować. Po miastach zbierały się sekcyje, na prowincyi delegaci gromad i miasteczek.

Gromada nowowiejska przyjęła wiadomość o sejmie zrazu z bojaźnią; powoli jednak uspokojono się, a gdy Huber i mecenas powiedzieli im, że mogą wybrać do sejmku, kogo chcą i w kim największe zaufanie pokładają, byli nawet kontenci z tego, że będą mieli sposobność upomnieć się publicznie o swoje krzywdy prywatne. Wyższego wyobrażenia o sejmie i interesach krajowych nie miała gromada Nowójwsi, która w tym względzie podobną była do każdej inniej galicyjskiej gromady.

Wreszcie i dla gromady Nowójwsi nadszedł czas wyborów.

W tym celu mieli się zejść wyborcy w najbliższym miasteczku, które także, razem z kilku gminami, jednego posła obrać miało.

Prosty rozum chłopów dyktował im, aby chłopą wybrać. Mieli oni do swego największe zaufanie, a w razie zawodu, mieli także i pewne prawo regresu, czy raczej sposobność do regresu.

Wszystkie więc gromady miały gotowych już kandydatów. A kandydatem takim zazwyczaj był chłop, używający w gromadzie największego poważania.

nia. Musiał to być dobry gospodarz, silny w pięści i odważny, i musiał dać dowody, że dobro gromady nadewszystko ceni. Musiał jęj wygrać jakiś procesik, a przynajmniej mieć sławę człowieka, który gdy tego potrzeba, wszystkiego dokazać może. Przymiotów zaś tych nabywał on w gromadzie różnym sposobem. Jeśli udało mu się w krótkim czasie przysporzyć majątku, jeśli zręcznym sposobem kogo wydziedziczył, a do tego jeszcze był w wojsku i nie przyszedł do wsi „szubpasem“, to już mógł liczyć na całą gromadę. Mały epizodzik życia, który przepędził w areszcie lub czasem w kryminale, nie wchodził w rachubę gromady, bo gromada jest tego przekonania, że nieszczęście nie chodzi po lasach, tylko po ludziach.

Ale nie każda gromada ma takiego męża zaufania.

Często kilka gromad składa się na takiego człowieka, a wtedy jest on u nich prawdziwym królem. A człowiek taki zawsze udaje, że nie stoi sam jeden; mówi zawsze do nich, że ktoś jest za nim, którego on wolę pełni; a mówi to w sposób tak tajemniczy, że gromady tylko instynktem znaczenie tych słów odgadnąć muszą.

Miedzy gromadami, które z Nowąwsią głosowały, było kilku takich mężów zaufania; ale nad wszystkich wznosił się Jarema rozgłosną sławą. Skupili się więc wszyscy koło niego, jak kurczęta koło kwok, gdy się obawiają jastrzębia.

A jastrzębiem tym był w téj chwili w ich oczach kochany nasz pułkownik. Na długich nogach, z wysokim halsztukiem, wszedł między nich i poleciał się im na kandydata. Już sama postać pułkownika i jego bekiesza z ogromnemi guzami, nie podobala się gro-

madom, a gdy jeszcze zaczął mówić o swoim wojskowym zawodzie, o bitwach, w których walczył, o Napoleonie i Samosierze, dodawszy do tego niektóre aforyzmy o przemyśle i naukach, gromady nie dały mu dokończyć, wołając, że takiego posła nie potrzebują.

Po nim wystąpił dziedzic z Zamszyna, człowiek bogaty i prawych zasad obywatelskich. Mówił wiele o różnych sprawach; ale także jakoś w myśl gromady trafić nie umiał.

Delegaci gromad naradzili się między sobą i zgodzili się w tém, że nie mogą obierać dziedzica, ani żadnego pana, bo pan nie będzie nigdy bronił interesów gromady.

Przed wyborców wystąpił z kolei proboszcz obrządku łacińskiego z Zagrody, którego znamy z dworu nowowiejskiego. Mówił bardzo pięknie i cytował prześliczne urywki z Pisma Świętego, zachęcające do zgody i wzajemnej miłości.

Ale wyborcy pokiwali głowami i rzekli, że w tém wszystkiém nie widzą interesu gromad. Naradziwszy się więc między sobą, powiedzieli, że muszą wybrać włościanina na posła, a tym ma być Jarema, który zna drogę do Lwowa i do Wiednia, a u pana starosty w wielkiém jest zachowaniu.

Lecz kiedy tak mówiono, zjawił się na arenie nowy zapaśnik. Kandydatowi temu przygotowano już nieco drogę.

Był to wikary z sąsiedniej wioski. Występował on jako kandydat stronnictwa ludowego, i miał téż największe widoki powodzenia.

Nowy ten kandydat był słusznego wzrostu, chudy, z wystającemi na twarzy kośćcami. Włosy czar-

ne, kędzierzawe i oczy szybko biegające, oznaczały gorący temperament.

Mówił długo o rzeczach dawnych i nowych; ale gromady nie słuchały ani dat historycznych, ani aforyzmów, i powtórzyły tylko chórem, co im mówca powiedział:

— „Lasy i pastwiska!“...

Wtedy Jarema wystąpił z tłumu i blady z rozrzewnienia ozwał się:

— Hromady! ten człowiek dobrze mówi. Niech idzie do Lwowa. Umie czytać i pisać...

Tak piękna rezygnacya, świadcząca o dobrym gruncie ludu naszego, zaimponowała gromadom. Mowa wikarego podbiła ich serca, ale Jaremie przyobiecały dać głosy. Dobrowolne jego ustępstwo zjednało mu sławę.

Radzili między sobą wyborcy czas niejaki, a że u włościan naszych nad wszystko inne przeważa nieufność, więc zgodzili się na to, aby wikaremu dać głosy na posła, a Jaremę, jako kontrolera i odpowiedzialnego gromadom za to, co się we Lwowie stanie, wspólnym kosztem wysłać do Lwowa.

A kiedy w kilka godzin potem z urny wypadł rezultat i wikary, jako poseł ogłoszony został, zabrzmiały pod niebo okrzyki włościan i w całym kraju ozwało się echem:

— „Lasy i pastwiska!“

---



## XII.

### Rozczarowania.

**Z**a kilka dni wyjechał wikary do Lwowa, a wszystkie okoliczne gromady odprowadzały go aż po kopce ostatniej wioski, której był pośłem. Obok wikarego jechał Jarema, w nowój sukmanie i w dużych, pod kolana sięgających butach. Z całego zachowania się gromad widać było, że on właściwie był bohaterem tych wszelkich owacyj, milczącym Mojżeszem, gdy wikary był tylko wymownym Aarouem.

Od kupców wsi ostatniej wróciły gromady i rozeszły się do sadyb swoich w przekonaniu, że otworzy im się wstęp do lasów i pastwisk dominialnych.

Tak lud galicyjski pojął ów zwrot w dziejach Austrii, ów październikowy patent cesarza. Nie było nikogo, coby mu ową wielką reformę wytłumaczył, a tym, którzy mu ją tłumaczyć chcieli, nie wierzył. Przeciwnie, zjawili się fałszywi apostołowie, którzy cały ten zwrot w państwie starali się ludowi na niekorzyść jego wytłumaczyć, a kilka wyroków sądu i okólniki najwyższej w kraju władzy, tak świeckiej,

jak i duchownej, dowiodły, że to nie były tylko czcze obawy i płonne mary.

W gromadzie nowowiejskiej powstała także trwoga z powodu podobnych wieści. Ale Jarema napisał ze Lwowa list własnoręczny, w którym uspokoił gromadę o tyle, że póki on we Lwowie, póty gromadzie ani włos z głowy nie spadnie.

Uspokoila się gromada, a że właśnie wiosna się rozpoczynała, spokojnie więc wzięto się do pracy około pola.

W nadziei, że lada dzień przysze im Jarema ze Lwowa rozkaz cesarski, że mogą z lasów dominialnych brać sobie drzewa ile potrzeba, a na pola dworskie wypędzać własne bydło, zniesiono system uprawy roli, i zorano pod siejbę wszystko, co tylko pługiem dosięgnąć było można. Na paszę, na pastwiska dla bydła gromadzkiego nie zostawiono ani piędzi ziemi. Tymczasem wypasano rowy i szerokie miedze, i powrotu lub pisma Jaremy z największym czekano spokojem.

Prosty rozum ludu wytłumaczył sobie całą sprawę w ten sposób, że im należą się pola i lasy dworskie i że na ten raz nic sprawiedliwszego niema nad ich skromne żądanie, aby im otworzono do użytku owe lasy i pastwiska.

W takiój to żyjąc nadziei, poorala gromada nowowiejska wszystkie pola pod siejbę i spokojnie oczekiwała wyroku ze Lwowa, któryby ich prawa niezbite do pastwisk i lasów dominialnych zatwierdził.

Takiego jednak wyroku jakoś nie było widać. Gromadzie dawał się już czuć brak paszy. Wysłano dwóch gospodarzy do Lwowa, aby się z Jaremą w tym

względnie naradzili. Gospodarze wrócili, i pełni zachwycenia opowiadali gromadzie, jak widzieli Jarekę w sali sejmowej siedzącego w łoży, czerwoną wybitą materyą, obok jakiegoś pani hrabiny. Opowiadali dalej, że słyszeli, jak poseł z innej gromady, chłop Zahorjko, powstał i o „lisy i pasowyska“ do panów przemawiał, ale panowie zakrzyczeli go, jak to im wytłumaczono. Widzieli także i Kowbasiuka, i niejakiego Siwca, który także jest chłopem, choć we fraku chodzi i w kancelarji urzędowej pisze, a o którym sam pan komisarz pisał, aby wybór jego na posła forytować.

W sprawie zaś lasów i pastwisk uspokoił ich Jarema, aby jeszcze czas niejaki poczekali, że w końcu on to wszystko wyjedna, jeżeli nie we Lwowie, to w Wiedniu. Powiedział im także, iż wikary tak samo mówi na sejmie, jak mówił przed nimi, i że dla tego kontent jest z niego.

Gromada wysłuchiwała w milczeniu wysłanników, i cieszyła się, że Jarema siedzi w łoży karmazynem obitej, że wikary tak samo mówi w sejmie, jak przed nimi, i że Zahorjko, Kowbasiuk i Siwiec, chłop we fraku, tak dobrze sprawy gromadzkiej bronią. Ale radość ta nie długo trwała. Do karczmy zaleciał z wiatrem ryk głodnej chudoby; wszyscy spojrzeli po sobie i posmutnieli.

Kilka tygodni czekano w milczeniu, a od Jaremy jak niema tak niema żadnych wieści. Chudoba zeschnęła, boki pozapadały się krowom, koniom, wołom, a tu znikąd żadnej rady.

Wreszcie pewnego wieczora radosna wieść obiegła chaty wieśniaków: Jarema wrócił!

Czémże on był dzisiaj w ich oczach? Jakie nowiny przywiózł z sobą?

Co tylko żyło, obstąpiło go dokoła. Młodzi i starzy, kobiety i dzieci stanęli w koło niego, ile ich tylko karczma pomieścić mogła, a reszta przez drzwi i okna poglądała na wielkiego człowieka, który siedział w łoży karmazynowej, a teraz ostateczny dla gromady przywozi wyrok!... Wszyscy milczeli, nikt ani słówka nie rzucił, czekali tylko, patrząc z konwulsyjnym wyrazem na jego usta, kiedy je otworzy i mówić zacznie.

Ale Jarema nic nie mówił. Stał zachmurzony, jakby coś strasznego w głowie ważył. Usta jego były blade i zaciśnięte. Z pod włosów kędzierzawych ciekł mu pot po skroniach, jakby od jakiejś ciężkiej wstał roboty.

Wyczekawszy tak czas niejaki, ozwał się głosem przytłumionym:

— Hromada!... Wieczorem przyszedłem do wsi naszej i zdaleka słyszałem, jak biedna chudoba nasza w stajniach ryczy o garść trawy... Serce moje ścisnęło się, że tyle krzywd cierpieć musi gromada!.. W żadnej chałupie nie widziałem ognia, przy którymby kobieta mogła strawę uwarzyć wracającemu od pług gospodarzowi... A cóż dopiero będzie, gdy zima przyjdzie, a obejścia nasze śniegi zawieją?... Wszystko to widziałem i słyszałem; ale cóż wam powiem na pociechę?... Oto na sejmie nic dla was nie zrobiono, o lasach i pastwiskach nie dali nawet radzić. Kilku pojechało do Wiednia, aby tam jeszcze radzić, ale mnie mówiono, że i z tego nic nie będzie ..

Zatrzymał się chwilę, głębokie milczenie panowało w okóło. Była to chwila wzrastającej rozpacz, która zwolna coraz bardziej ścisnęła serce, napojone fałszywą nadzieją i tak długo złowrogimi podszeptami rozdrażnione. Wszyscy uczyli razem, jak im w piersiach ból wzrasta, jak się szerzy i za serce chwyta...

Pierwsze kobiety przerwały milczenie. Wybuchły płaczem i narzekaniem, i zawodziły boleśnie nad chudobą swoją, która teraz marnie zginie, nad piękną kosonogą krasuchą, która niegdyś tyle mleka dawała, nad wesołą biłunią, która zawsze szła na czele bydła, nad jednorogą czarnochą, która z dziećmi lubiła się bawić. A biedne owczęta, kozy i konie, z czegoż to wszystko wyżywić i co się z tego wszystkiego stanie, gdy przyjdzie ciężka w polu robota?...

Tak narzekały kobiety, płacząc i zawodząc, a gospodarze stali w milczeniu ponurém, z zaciśniętymi pięściami.

A Jarema mówił dalej, co widział, gdy wieczorem zbliżał się do wsi. Widział, jak na tych polach, na których niegdyś bydełko gromadzkie tak wesoło się pasło, bujna, zielona zeszła pszenica, że i cieleby się w niej już schowało,—pszenica pańska, z której we dworze będą jedli kołacze... Mówił dalej, jak widok téj pszenicy i dawne wspomnienia mocno go zabolowały, że taka niesprawiedliwość może tak długo przyniatać biedną gromadę.

A kiedy spostrzegł, że między gospodarzami wszczął się już szmer, że pięście zaciskają się i wznoszą do góry, rzekł do nich:

— Zaczekajcie hromada! Cierpieliśmy długo, za-

czekajmy jeszcze trochę. Pójdę od was w świat, a kiedy wrócę, będziemy wiedzieli, co robić.

Wziął kapelusz i zwrócił się ku drzwiom. Cała gromada w milczeniu wyszła za nim. Nikt go o dalsze plany nie pytał, bo wszyscy byli przekonani, że Jarema działa za wyższą jakąś radą, która tylko dobro gromady może mieć na celu. Ślepo więc uwierzyli słowom jego, że skoro wróci, będzie inaczej.

I jeszcze téj saméj nocy zniknął gdzieś ze wsi Jarema.

I nie było go dwa tygodnie.

---

Był to dzień piękny, gorący. Śpiew skowronka wznosił się ku niebu, które było czyste i jasne, jak oblicze Stwórcy. Lekki wietrzyk przesuwiał się wśród gałęzi lip i topoli, a w powietrzu unosiła się woń kwiatów, która kołysała duszę do słodkich marzeń.

We dworze nowowiejskim był to dzień urczysty: obchodzono urodziny wdowy. W tym dniu miały się także odbyć zaręczyny Jadwigi z panem Władysławem.

Już z rana zawitali najbliżsi sąsiedzi i przyjaciele: pułkownik i proboszcz. Wdowa wyszła naprzeciw nim w stroju żałobnym i rzekła:

— Dzień dzisiejszy jest rozkoszą dla serca matki, ale rozkosz tę muszę czémś okupić.

— Dla Boga!—zawołał pułkownik—może znowu co dla chłopów, dla tych ludzi niewdzięcznych!...

Ale spojrzawszy na proboszcza, zamilkł nagle,



proboszcz już gotował się do repliki, w czém zawsze przegrywał pułkownik. Tym razem jednak pobił proboszcz nieprzyjaciela własną bronią jego:

— Jak to, kochany sąsiedzie? — ozwał się z uśmiechem: — toż pragniesz sam tylko ludowi świadczyć dobrodziejstwa, a nie chcesz na to wdowie zezwolić? Któż przy komisyi serwitutowej tak szlachetnie obszedł się z gromadą, jak ty mości pułkowniku? Dałeś jój sto morgów lasu i pięćdziesiąt pastwiska!

— A wiesz jegomość, jaką wdzięczność mam za to od gromady? — krzyknął pułkownik i twarz jego nabiegła krwią aż po brzeg halsztuka. — Procesują mnie teraz.... mówią, że im się więcej należy. Do kroć tysięcy beczek!

Proboszcz zażył prędko tabaczki, bo poczuł łzę pod powieką, i rzekł po chwili do wdowy:

— Cóż pani dobrodziejka na to?

Wdowa westchnęła, cień smutku przebiegł po jój bladej twarzy. Po chwili jednak wypogodziła czoło i rzekła z anielskim uśmiechem:

— Ja wytrwam przy swojém przedsięwzięciu. Lud, dla którego chciałabym wiele, bardzo wiele poświęcić, wziął się na męża mego i do dziś dnia ciągle mi dokucza. Dałam im kawałek lasu, a gromada ten las w jednym miesiącu wyrąbała, drzewo sprzedała, i grunt rozdzieliła po kawałku między siebie. Dziś znowu odgrają się ciągle na moje lasy... Pan Władysław dał im grunt z dwóch pustek na pastwiska. Oni znowu podzielili grunt darowany między siebie, a o pastwiska wołają w niebogłosy... Wszystko to jednak nie zmieni mego przedsięwzięcia.

Proboszcz ujął wdowę za rękę, a na pułkownika spojrzał tryumfująco. Po chwili rzekł:

— Stokrotne dzięki pani za słowa pociechy dla skolatanego serca mego.

Tymczasem weszli do pokoju Jadwiga i Władysław. Słyszeli rozmowę w przybocznym pokoiku.

— A my—ozwali się naraz—zgadzamy się z mameczką i księdzem dobrodziejem.

— A ja dołączam jeszcze do tego i zdanie pułkownika, — dodał pan Władysław, całując w rękę wdowę.

Pułkownik tryumfująco spojrzał na proboszcza. Był kontent, że przecież nie przegrał z kretesem. Tymczasem ozwała się wdowa:

— Dziś, w dniu moich urodzin, pragnę dobrym uczynkiem podziękować Bogu za tę radość, którą mię udarował. Widziałam wczoraj, że pszenica na dawném pastwisku ślicznie się udała. Przeznaczam więc trzecią część plonu z tego zbioru na moję szkółkę dla dzieci wiejskich; i tak potrzeba różnych książek i zachęty dla nich do nauki.

— A ja — ozwała się śliczna Jadwiga—chcę dzień dzisiejszy mameczce umilić, zmówiłam się z naszym profesorem i z księdzem proboszczem, którzy wyprawiali w szkółce egzamen z dziećmi, aby się popisać z tem, czego się dotąd już nauczyli. Sądję, że większej radości nie mogą mameczce sprawić.

Wdowa poczuła łzy w oczach, a pochyliwszy głowę ku Jadwisi, rzekła, całując ją:

— Złote dziecię moje! Niech ci Bóg zachowa to piękne serce na pociechę, gdy przyjdą dni smutku i żałoby...

Nie mogła dłużej powstrzymać się i tylko gestem poznać dała, że jest gotowa iść do szkółki, w której na gości czekał już z dziećmi nauczyciel wiejski.

Dzieci przyjęły gości ułożonym na ten cel przez nauczyciela śpiewem, a egzamen rozpoczął się według napisanego na tablicy programu.

Biedna wdowa zalewała się łzami, widząc postępy nauki, a pułkownik siedział na pozór zimny i znużony tą całą robotą; ale jakoś z coraz większą uwagą przysłuchiwał się uczonéj gadaninie, myśląc sobie w duchu:

— Proboszcz człowiek uczony, on więcéj wie odemnie. Może ja tego nie rozumiem.

I z wesołą twarzą słuchał już daléj sztuki czytania i rachowania, a gdy mu Jadwiga wetknęła do ręki różne dla malców podarki, pocziwy pułkownik omal nie rozplakał się z radości, gdy go dzieci w rękę całowały, za co wywdzięczając się cmoktał na głos rozczochrane czupryny chłopców, aplikując im różne swoje aforyzmy o Napoleonie i Somosierze.

Wesoło wrócili wszyscy do dworu razem z nauczycielem, którego na obiad zaproszono.

We dworze zastali kilku gości z sąsiedztwa, którzy wdowie dnia urodzin i zaręczyn córki życzyć przyjechali.

Serdecznie, ze szczeropolską prostotą i gościnnością, bawiono się aż do wieczora.

---

Wieczór był cichy, prześliczny. Księżyc świecił na niebie, miryady gwiazdek mrugały z błękitnego sklepienia.

Woń kwiatów i roślin nappełniała powietrze. Wdowa zaproponowała gościom przechadzkę na wzgórze, gdzie stał krzyż kamienny.

Wszyscy wybrali się ze dworu; i długą aleą lipową dążyli do tego samego wzgórza, na którym przed laty dwudziestu widzieliśmy Jaremę pośród pastuchów i komisarza z towarzyszem.

Wesoło postępowała drużyna; z każdego niemal krzaka odzywał się słowik. Jakoś pogodnie było w sercach.

Wreszcie zdążyli wszyscy do drogi na wzgórzu.

Na drodze pod lipą zabłysło coś nagle. Pułkownik z Władysławem zbliżyli się do lipy — byli to uzbrojeni żandarmi.

Wszyscy się zdziwili, widząc ten posterunek. A w téj chwili zbliżył się z drugiej strony jakiś jegomość w czapeczce urzędowej i rzekł do nich zcicha, aby czémprędzej do dworu wracali, albowiem przyszła wiadomość do urzędu, że gromada nowowiejska chce przemocą lasy i pastwiska dworskie odebrać.

Proboszcz i pułkownik wzięli natychmiast kobiety pod ręce i zawrócili do dworu.

Nim jednak urzędnik skończył mówić, już zaleciał od strony wsi jakiś głuchy szum do uszu stojących na wzgórzu. Było w tym szumie coś strasznego, coś okropnego. Wszyscy struchleli i stanęli, jak wryci z przerażenia. A szum rósł coraz więcej, rósł z jakąś dziwną, nieodgadnioną wrzawą...

Kiedy niekiedy tylko dwa zrozumiałe słowa odrywały się od téj wrzawy:

— „Lisy i pasowyska!...”

I zbliżył się cały pochód do wzgórza, zbliżyły się szeregi bydła i wszystko, co tylko żyło w gromadzie do pola z dworską pszenicą, na którém niegdyś było wspólne pastwisko.

Urzędnik i żandarmi wybiegli na drogę i stanęli przed pochodem. — „Naprzód!“ — wołały tysiące głosów.

Żandarmi zniżyli broń i naciągnęli kurki.

Urzędnik wystąpił z szeregu i rzekł do gromady, że przychodzi tutaj w imieniu rządu, aby gwałtów żadnych nie dopuścić.

Widok urzędnika zrobił na gromadzie pewne wrażenie. Milczenie Jaremy, jego mistyczne, niewyraźne słowa, jakie nieraz w karczmie od niego słysze-  
li, kazały im się domyślać, że za nim stoi ktoś inny, który ich ma w bezpośredniej opiece.

Toż niemałe było rozczarowanie, gdy urzędnika i żandarmów ujrzeli przeciw sobie.

Ale to trwało tylko chwilę.

— Gdzie wójt? — zawołał urzędnik, korzystając z chwilowego wrażenia.

— Tu jest! — zawołał groźnie Jarema. — Albo co?

— Imieniem rządu, imieniem starosty nakazuję ci Jarema — zawołał urzędnik — abyś natychmiast gromadę do wsi zawrócił!

— Oho, ho! — krzyknął Jarema, machając drągiem — od tego nie odstępimy panie komisarzu!

— A tak! tak! tak! — ozwało się tysiąc gardzieli mężczyzn, kobiet i dzieci. — Naprzód Jarema, naprzód! Nasze „lisy i pasowyska!“

Urzędnik usunął się aż do bagnetów żandarmów i rzekł do Jaremy:

— Wszak dziedziczka dała wam część pastwisk dworskich i te macie.

— Nam się całe pastwisko należy i lasy nam się należały!—zawołał Jarema.

— Oho, ho!—wrzasnęły tłumy—nasze „lisy i pasowyska!“ Naprzód Jarema!

Urzędnik chciał jeszcze coś tłumaczyć gromadzie, ale krzyk i wrzawa zagłuszyły go. Tłumy zaczęły się ruszać i przecz naprzód.

Krzyk i wrzawa zagłuszyły wszystko; cała masa ruszyła w pochód; skrzydła rozszerzały się coraz więcej.

Urzędnik uznał dalszą obronę mienia dworskiego za bezskuteczną i cofnął się pod lipy z żandarmami. A tymczasem cała, tłuszcza z tysiącem sztuk bydła rozlaża się po łąkach pańskich, jak rzeka nagle wezbrana.

Zgłodniałe bydło rzuciło się na młode zboże, a piękne, bujne obszary zielonej pszenicy, zamieniły się w oka mgnieniu w jakieś dziwne, okropne pobojo-wisko.

Z tysiąca gardzieli wydobywał się straszny krzyk wśród nocy:

— „Lisy i pasowyska!“

A wśród tego okropnego krzyku zabłysnęła jeszcze łuna na nocnym niebie. Sterty siana i budynki gospodarskie dworu stały w płomieniach...

Urzędnik i żandarmi rozbiegli się, aby najbliższym urządowi dać wiadomość i wezwać ich pomocy. Telegraf zawiadomił o wypadku najwyższą władzę w kraju. Nakazano przedsięwziąć środki najsurowsze.

Nad ranem przybyła na miejsce gwałtów znaczna



siła zbrojna, batalion piechoty i szwadron huzarów, a w godzinę za nią przybył sam starosta.

Był to piękny, pogodny ranek. Powóz starosty stanął na tém samem miejscu, na którém przed dwudziestu laty stał jego wóz forszpanowy, kiedy małym będąc urzędnikiem, stał się świadkiem niewinnej kradzieży Jaremy...

Ale dzisiaj nie była pora po temu, aby sobie przypominać, co się przed laty dwudziestu działo. Zagrozało wielkie niebezpieczeństwo, bo z okolicy przychodziły wieści zatrważające.

Batalion więc wyszykował się czémprędzej z jednej strony, a z drugiej stanęły gotowe do szarży huzary.

Urzędnik wezwał gromadę do posłuszeństwa.

Krzyk okropny i wrzawa piekielna grózb i obelg, były odpowiedzią.

Wojsko zniżyło broń i zaczęło posuwać się naprzód.

— Wójt! wójt! gdzie jest wójt?—zawołał starosta.

Jarema wysunął się z tłumu.

— To ty, Jarema, na którego ja tak liczyłem!—zawołał starosta — ty, któryś tak nam był przychylnym, ty teraz buntownikiem?

— Ja nie buntownik, panie starosto—odparł Jarema—ale ja wójt i plenipotent gromady.

— Patrzcie na mnie!—zawołał starosta, wskazując na swój mundur—to tak, jakby sam cesarz stał przed wami!

Hrehory, stojący zaraz koło Jaremy odpowiedział:

Darujcie panie, nam zawdy komisarze mówili, że cesarz chce nam dać lasy i pastwiska. Wy trzymacie z dworem... przekupiono was!

Starosta zapomniał w téj chwili o swoich dawnych pogadankach z chłopami, kiedy był komisarzem...

Dano wojsku rozkaz do ataku.

— Uciekaj!—krzyknął do Jaremy komendant—bo każe strzelać!

Jarema rozdarł koszulę i obnażył czarne, opalone piersi swoje.

— Strzelaj tu, strzelaj! — krzyknął okropnym głosem.

Dwóch żołnierzy wymierzyło bagnety do Jaremy. Jarema przetarł oczy i krzyknął:

— Szymku i Walku! Cóż to! chcecie strzelać do ojca?

— My sem cisarskie żowmiry, my sem nie znam was—odpowiedzieli.

W téj chwili tętent koni rozległ się od alei lipowój.

Huzary z szablą w ręku uderzyły na gromadę.

Powstał okropny krzyk i wrzawa. Jedni wrzeszczeli i odgrażali się, inni uciekali i drugich porywali z sobą. Konie, woły, krowy i owce tłoczyły się wśród okropnego ryku i powiększały zamieszanie.

Prąd uciekających porwał z sobą Jaremę i wyrzucił go na drogę.

Jarema otarł pot z czoła, wzniósł w górę pięść zaciśniętą i rzekł do Hrehorego:

— Idź do gromady, niech nie wracają do siola. Ja

pójdę do cesarza. Czekaście, przyniosę wam pismo cesarskie, że lasy i pastwiska są nasze...

I przeżegnał się trzy razy, i przeżegnał drogę przed sobą. i zniknął w kurzu, który wydobywał się kłębami z pod kopyt zbliżających się właśnie huzarów.

---

## Epilog.

W kilka tygodni po katastrofie, siedział starosta w swojém biurze. Przed nim stał jakiś urzędnik.

— Czy już zupełnie ucichło w Nowójwsi? — pytał starosta — czy pieniądze wyegzekwowano za szkody poczynione na polach i lasach dominialnych?

— Napozór ucichło — odparł urzędnik — ale w gromadzie wre i kipi. Nie mogą pojąć, jak wojsko i starosta mogli przeciw nim wystąpić, i czekają na odpowiedź z Wiednia. Połowa bydła wyzdychała, bo pięć dni nie wracano do wsi, tylko stano na gołej drodze.

Starosta zamyślił się, a potem rzekł:

— Trzeba przeciw tym szerzącym się nieporządkom gromad stosowne poczynić kroki... Takie Jaremy są nam dzisiaj niebezpieczne.

---

W téjże saméj chwili, prawie z przedpokoju cesarskiego, ujęto zbiegłego Jaremę i odprowadzono do więzienia.

Gdy klucznik drzwi od kaźni odmykał, zajrzał mu Jarema w oczy i krzyknął:

— Szymek!...

Szymek spokojnie obrócił kluczem i odparł:

— Tak jest, jestem Szymek, o którym cała gromada myśli, żeś go utopił.

— A to tymczasem tyś chciał mnie utopić!— krzyknął Jarema— a czemuż się nigdy nieukazał się w gromadzie i nie powiedział, że żyjesz?

— Miałem do tego powody, aby mniemano, że utopiony— odparł Szymek i zatrzaskał drzwi za Jaremą.

— Szelma!— pomyślał sobie Jarema — jak każdy zawłoka, co nie należy do gromady.

I leżał na pryczy z najspokojniejszym sumieniem.

Sędzia powiedział mu, że piętnastu jego towarzyszy z Nowójwsi siedzi także w więzieniu i że na kilka lat zakuje ich sąd w kajdany. Ale Jarema z nadzwyczajnym spokojem słuchał tego wszystkiego.

Spokojnie spał, jakby najmniejsza na jego sumieniu nie ciążyła wina.

Był on uczniem szkoły, z której wyszedł Szela i towarzysze... Tylko nieco spóźnił się, przez co nauczycielom swoim narobił trochę kłopotu...

---

We dworze nowowiejskim zgromadziła się w tym dniu znajoma nam drużyna, a gdy z okna ujrano spalone budynki i sterty pomierzwionej pszenicy, wstał pułkownik i rzekł:

— A co? nie mówiłem? Na cóż było jeszcze żonę Jaremy do dworu przyjmować— żonę kryminalisty!!!...

I spojrział z wyrzutem na proboszcza, którego chciał teraz gwałtem pokonać.

Proboszcz zrozumiał to spojrzenie, i smutno popatrzył na wdowę.

Wdowa uśmiechnęła się boleśnie i rzekła:

— Co do mnie, nie odstąpię od moich przedsięwzięć: będę nadal popierała szkółkę, i ile tylko sił mi starczy, będę świadczyła biednemu ludowi...

— Tak, tak! mameczko — zawołali Jadwiga i Władysław, — to będzie także program naszego życia.

Rozjaśniła się twarz proboszcza. Wzniósł ręce do góry i zawołał:

— Dzięki ci Boże, że wzmacniasz serca wiernych Twoich!

A zwróciwszy się do zgromadzonych, mówił dalej:

— Jest to balsamem dla mego serca, co w tej chwili usłyszałem z ust waszych. Nie miejcie za złe biednemu ludowi jego przewinień bezwiednych. Nie przestanę żebrać u was dla niego miłości i światła!

Milczenie głębokie nastało po tych słowach proboszcza, bo wszyscy uculi łzy w oczach. Pułkownik podparł ręką głowę, tak, iż oczu jego nie widziano i głęboko się zamyślił.

---



Dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego.“

---

Jan Zacharyasiewicz,

# ŚLUB MIMO WOLI.

NOVELA.



# ŚLUB MIMO WOLI.

OPOWIADANIE STARO-SZLACHECKIE.

---

Z końcem zeszłego wieku stolica Rzeczypospolitej zaczęła się znacznie wyludniać. Magnaci osobliwie i majątniejsza szlachta, która w stolicy miała własne pałace i domy, opuszczała takowe i przesiadłała się, albo do własnych ziemskich majątków swoich, albo wyjeżdżała za granicę.

Do tych, którzy pod rodzinną strzechę z szerszej publicznej areny życia wrócili, należał sędziwy wojewoda X\*\*\*.

Po burzliwych publicznych przejściach, zapragnął wojewoda spoczynku. Takie samo pragnienie żywiła i stara wojewodzina. Oboje więc staruszkowie powitali z rozrzewnieniem opustoszały dwór w jednym z zacisznych majątków, w którym od lat kilkunastu noga ich nie powstała.

Powoli przyprowadzono dwór do porządku, oczyszczono ogród i wysadzono drogi topolami. Trudno jednak było ludziom nawykłym do gwarne go życia

stolicy zagrzebać się w takiej samotności. Wprawdzie co miesiąc płatny sekretarz wojewody przysyłał długie listy ze stolicy, w których były obszerne relacye o przebiegu rzeczy publicznych, również i z Wiednia miano regularną korespondencyą: mimo to potrzeba było otoczyć się jakimś gwarniejszém życiem, aby w takiej samotności nudów nie uczuć.

Wojewoda znalazł dla siebie bardzo przyjemne i pożyteczne zajęcie. Zajął się gospodarstwem. Poprawiał rolę, zakładał nowe folwarki, budował, sadził drzewa, a przy tém zatrudnieniu schodził mu czas, jako tako i kazał mu zapominać często o ranach, które mu dolegały.

Nie tak łatwo było poradzić sobie starój wojewodzynie. Domowe gospodarstwo nie przypadało jój do smaku, zresztą nie było tego tak wiele. Domowa apteczka była pod zarządem starój Maciejowej, która jój za nic w świecie nikomu odstąpić nie chciała. Nawet wychowanie i przyzwyczajenia wojewodziny stały takiemu zatrudnieniu na przeszkodzie.

Długo myślała wojewodzina nad tém, jakby to sobie poradzić? i wreszcie trafiła na sposób wypełnienia resztek swego żywota.

Wojewodzina nie miała dzieci. Postanowiła więc zająć się cudzemi, jak to jój ks. Tymoteusz, kapelan domowy, poradził.

Podzieliła obowiązki swoje na dwie części. Z dóbr swoich zebrała sieroty i założyła dla nich u siebie szkołkę wzorowych służebnic. Uczono je gotować, pracć, czytać i chwalić Pana Boga.

Do drugiego oddziału należały sieroty szlacheckie. Zajmowała się ich wychowaniem, kazała uczyć

gry na klawikordzie i nauk potrzebnych białogłowie. A jeżeli zdarzył się zacny konkurent, wydawała za męża, dając skromny posag na dorobek.

Z tego powodu rojno było w starym dworze wojewody. Gdy wojewodzina w niedzielę do kościoła parafialnego jechała, otaczał ją cały sztab dziewic rozmaitej urody. Były takie, które miały włosy, jak heban czarne, innym świeciła się głowa, jakby od złota, a niektórych włosy były podobne do kory świeżo z drzewa oddartej. Co do oczu, była jeszcze większa różnorodność. Były szafirowe i czarne, piwne i modre, smutne i wesołe — a były i takie, w których ulokowały jakieś nieczne demony i wszystkich kawalerów z sąsiedztwa mocno trapiły.

Sędziwa wojewodzina nie byłaby założonego celu osiągnęła, gdyby stadko dziewic sierocych było pod klauzurą klasztorną. Postarała się więc o mężkie dla nich towarzystwo.

Już to z dawien dawna był zwyczaj po większych domach polskich, że przyjmowano na światowe wychowanie synów szlacheckich, którzy wtedy tworzyli orszak dworzan.

Otóż taki orszak zebrał wojewoda w domu swoim, a że podówczas było wielu takich, którym strzechy rodzinnej zabrakło, nie dziw tedy, że dwór wojewody roił się wkrótce młodzieżą różnych, a nawet zaможniejszych rodzin i innych emerytów sprawy publicznej.

Kiedy to wszystko w stały porządek już weszło, a wojewodzina zajęta była wydawaniem za męża sierocych dziewic swoich — zjawił się we dworze młody

mężczyzna, prosząc wojewody, aby go umieścił w orszaku dworzan swoich.

Wojewodzie podobał się nowy przybysz. Miał lat dwadzieścia kilka, był słusznego wzrostu, i odznaczał się dumną postawą. Ciemny włos spadał mu na ramiona w krętych kędziorach, a na prawém uchu kipiała biała czapka z brunatnym barankiem. Oczy miał piwne i wąs do góry podkreślony. Ubrany był w ciemno-granatowym kontuszu, z pod którego wyglądał żupan piaskowego koloru.

Gdy około fraucymeru wojewoźliny przechodził, wszystkie dziewice pchały się do okna, aby zobaczyć tak dorodnego młodzieńca. Najpiękniejsza z nich Dorota klasnęła w dłonie, gdy go obaczyła, i rzekła wykręcając się na pięcie, że teraz niezawodnie się zakocha, mimo że trzem już kawalerom dała odkosza.

Wojewoda zapytał przybysza o nazwisko, herb, i kazał mu opowiedzieć historią swego życia.

Nowy dworzanin złożył się pokornie, jak trusia, mówił wiele o nieszczęściach domowych swoich rodziców, o walce z losem, jaką przebywał i nazwał się Krzysztofem Zarembą.

— Czy krewniak generała? — zapytał wojewoda dobrotnie.

— Zapewne — odpowiedział Krzysztof z pokorą — bo wszyscy Zarembowie mają jeden i ten sam herb.

Po skończonej audyencyi, przyjął wojewoda nowego dworzanina i oddał go w opiekę marszałkowi dworu, który mu zaraz regulamin domowy odczytał i na to zgodzić się kazał.

Pan Krzysztof zgodził się na wszystko, ucałował



w pokorze rękę wojewodziny, i zajął skromne mieszkanie w oficynie.

Kilka tygodni przeminęło, a wszyscy we dworze kontenci byli z nowego, potulnego towarzysza. Nawet ks. Tymoteusz winszował wojewodzinie tak spokojnego dworzanina, który i w kościele przykładnie się modli i we dworze wszystkim z uległością usłuży.

Fraucymer różnie o nim mówił. Jednym podobał się statek młodego człowieka—inne zarzucały mu zbytnią nieśmiałość. Nigdy bowiem dotąd nie zbliżył się do żadnej dziewicy, ani nawet oczu z ziemi nie podniósł.

I kiedy tak nowemu dworzaninowi zewsząd słońce się uśmiechało, a wojewodzina już coś sobie w głowie rola, z którą dziewoją go ożenić—nadszedł do wojewody list z ziemi Sanockiej, który przywiózł z sobą handlarz wina.

Wojewoda odczytał list raz i drugi, i mocno nad nim się zamyślił. Potém wstał i z listem udał się na pokoje wojewodziny.

— Czytaj jéjmość—rzekł do wojewodziny — jakiego ptaszka mamy w naszój oborze. Toż to nie ptak, ale wilk żarłoczny!

Wojewodzina wzięła list z rąk męża i zaczęła czytać:

„Jaśnie Oświecony Panie i Dobrodzieju! Doszły mnie słuchy, że wyrodny syn mój znalazł ojcowski przytułek w domu Waszym. Nie byłbym uczciwym człowiekiem, gdybym zamilczał o tém, że z tego powodu może Waszemu zacnemu domowi grozić wielkie niebezpieczeństwo. I zdaje mi się, że to niebezpieczeństwo już się zaczyna, jeżeli Krzysztof wdział na

siebie skórę baranka, czego bez powzięcia pewnych już planów nigdy nie robi. Otóż chciéj wiedziéć, Jaś-nie Oświecony Panie i Dobrodzieju, że syn mój Krzysztof jest warchołem, jakiego drugiego nie znajdziesz w całej ziemi Sanockiej. Nietylko na każdym kroku wszczynają spory i kłótnie — nietylko wzięwszy się raz do korda, nie wybiera gdzie łeb, a gdzie noga — nietylko wpadłszy w złość, nie zna estymy dla starszej, a nawet rodzicielskiej głowy; — ma jeszcze takie ohydne przywary, że po długiej a nader bolesnej konsyderacyi zmuszony byłem wyrzec się go i odsadzić publicznie od mego serca i majątku, jako syna marnotrawnego. Mniejsza o to, że gra namiętnie w kości i karty, że szuka awantur i bałaband z ludźmi najspokojniejszymi — ale *ante omnia* niebezpieczny jest dla kobiet, dla których nie zna ani czei, ani szacunku. Gotów pod tym względem jest do wszelkiej zdrożności i nie zawahałby się nawet przed mordem! Jakoż wielce szanowanemu memu sąsiadowi, JPanu Orszy, człowiekowi już niemłodemu, a mającemu w świecie wielką konsyderacyą, przerabiał na wylot dwa żebra za to, że tenże JP. Orsza w słuszném będąc prawie, odmówił mu widzenia się ze swoją młodą żoną bez żadnych świadków. Również krwawo zakończyła się historia z JPanem Ostoją, któremu Krzysztof porwał z domu nocną porą jedyną córkę — a gdy potém niešťeśliwy ojciec legalnego ślubu od niego żądał, poczem do rozprawy na ostre przyszło, nietylko na starszego człowieka rękę z bronią podniósł, ale nawet spory kawał nosa mu uciąwszy, na całe życie szpetnym go uczynił. Daremnie chciałem tego warchoła ugłaskać, namawiając go do ślubów kościelnych. Nie chce

ani słysząc o tém, a nawet grozi szablą każdemu, kto mu o ślubnym kobiercu wspomina. Jest to istny rozbójnik w swoim rodzaju; dla tego ostrzegam cię Jaśnie Oświecony Panie i Dobroczyńco, abyś domu swojego strzegł przed tym wilkiem, który jak widzę, już godzi na pewną zdobycz, jeżeli pazury swoje tak starannie pochował! Niechaj was Bóg ma w swojej opiece, Jaśnie Oświecony Panie i Dobrodzieju—a jeżeli co złego się stanie, nie miej żalu do nieszczęśliwego rodzica, który wcześniej o tém cię ostrzegał.“

Gdy wojewodzina ten list przeczytała, złożyła z trwogą ręce i zawołała:

— Teraz pojmuje, dlaczego Pan Bóg nas karze! Cały tydzień padał deszcz rześisty, a raz nawet z gradem. Ks. Tymoteusz nakazał modły publiczne i powiada, że jakiś grzech popełniono, za który ta kara następuje. Myślałam z razu, że to się dzieje z przyczyny kucharza Jakóba, o którym mi doniesiono, że z Jagnieszką Sałatką żyje w związkach niepozwolonych. Doprowadziłam do tego, że wzięli z sobą ślub kościelny—a tu tymczasem wsunął się do domu inny grzesznik!...

— Trzeba tę sprawę bliżej zbadać — odpowiedział wojewoda—bo może w tém być jaka intrzyga familijna. Ojciec JPana Krzysztofa, jak to sam mi mówił, ożenił się powtórnie —być więc może, że zawistna macocha kieruje starym!

-- Ja w nim przeczuwam libertyna. Wolterzyści rozchodzą się teraz po kraju ze swego gniazda stołecznego, a czém są oni, to przecież wiesz mości wojewodo! Człowiek—wolterzystą jest zdolny do wszystkiego! Król Fryderyk pisał jedną ręką filozoficzne li-

sty do Woltera, a drugą fałszował monetę Rzeczypospolitej!...

— Ależ o libertynizm nie możesz mościa wojewodzino posadzać JPana Krzysztofa. Kazałem właśnie mieć go na oku pod tym względem, i dowiedziałem się, że jest nabożnym człowiekiem i wypełnia należycie przykazania kościelne. Być więc tylko może, iż krew zbyt gorąca unosi go do burd i awantur. Potrzeba zatem, aby dom nasz ciehy i spokojny był szkołą dla niego, z której może wyjść w świat człowiekiem umoderowanym!

— Oby twoje nadzieje się ziściły, wojewodo!

— Nie przeszkadza to jednak, aby mieć baczne oko na niego. Jeżeli, jak list donosi, rzeczywiście jest dla obory tak niebezpiecznym wilkiem, to już twoja rzecz wojewodzino, strzedz swojej obory! Ja zaś zrobię, co do mnie należy.

---

Po téj poufnéj rozmowie wróciło wszystko we dworze do dawnego porządku. JPan Krzysztof ani domyślał się, co wkoło niego się działo. Zresztą nie potrzebował się teraz niczego obawiać, gdyż nie zrobił jeszcze żadnego kroku, który w oczach wojewody i wojewodziny mógłby uchodzić za karygodny. Nawet ks. Tymoteusz był z niego bardzo zadowolony. Krzysztof bowiem nietylko widocznie był człowiekiem religijnym, i codziennie w kaplicy dworskiej mszy świętej słuchał, ale nawet *proprio motu* często kapłanowi przy ołtarzu usługiwał, a na nieszpórach śpiewał na chórze psalmy z organistą. Z tego powodu trudno

nawet było wierzyć świadectwu ojca, jakoby ten człowiek był tak wielkim grzesznikiem, warchołem, jak go ten w liście swoim przedstawiał. Wprawdzie wiele można położyć na karb dzikich namiętności, gdy takowe nie są moderowane uczuciem religijném, ale gdzie to uczucie w całej pełni było, tam trudno było przypuścić takich grzechów i wykroczeń, o jakie marnotrawnego syna posądzano.

Zdaje się jednak, że mimo to wszystko nie widziano w nowym dworzaninie tak łagodnego baranka, za jakiego z pozoru miełby go można. Nietylko wojewoda, ale nawet i ks. Tymoteusz patrzył na niego z pewną przezornością — nie mówiąc już o samój wojewodzinie, która, jak troskliwa kokosza głosem trwogi ostrzegała swoje pisklęta, gdy jój się zdawało, że jastrząb w obłokach krąży.

Tak stały rzeczy przez czas niejaki, i nikt się nawet nie domyślał, że po za tą pozorną ciszą odbywają się sprawy, które z natury swojej wystrzegają się dnia białego. A sprawy to były dwojakiego rodzaju. Jedne dążyły do złego, a drugie starały się cichaczem temu złemu zapobiedz. Dwór więc wojewody podobny był teraz do wielkiego państwa, w którym żywiły nieczyste pracują nad rozprzężeniem, a dodatnie walczą z pierwszymi cicho i niewidomie.

Za kilka miesięcy wyszło coś na jaw, o czém dawniej nawet nikt nie pomyślał.

Najprzód pewnej ciemnej nocy widział ogrodniczek, jak jeden z dworzan w sadzie, na który wychodziły okna fraucymeru, wdrapał się na wysoką gruszę i tam dosyć długo, pomimo niewygodnej pozycyi, wpatrywał się w jedno okno, które nie było przysłonięte.

Był to Jmpan Krzysztof, a okno należało do Jmépanny Doroty.

Gdy wieść o tém po izbie czeladnej rozchodzić się poczęła, zawołał wojewoda ogrodniczka i wysłuchał go z uwagą.

Za kilka dni tenże sam ogrodniczek, ukryty za krzakiem agrestu, słyszał rozmowę, jaką prowadzili z sobą pan Krzysztof i panna Dorota. Oboje byli w cienistej lipowej alei i co chwila oglądali się wkoło siebie, czy ich kto nie widzi.

Pan Krzysztof trzymał Dorotę za rękę, a ona drugą ręką ocierała fartuszkem łzy z oczu, jakby płakała.

— Bądź litościwa na moje katusze — mówił do niej pan Krzysztof, podkrecając wąsa — wszak widzisz, żem rozgorzał dla ciebie ogniem miłości!

Dorota na to zapłakała i odparła:

— Cóż ztąd, jeżeli chcesz, abym miłość twoję przechowała w tajemnicy przed światem, a nawet, abym ojcu Tymoteuszowi na spowiedzi o tém nie wyznała! Tak przecież poczciwe dziewczęta nie robią — a nawet i zacny kawaler tego od nich nie żąda!... Jeżeli chcesz, abym cię wzajemnie kochała, to pozwól, że o tém powiem naszej matce i dobrodziejce wojewo-dzinie!

— Uchowaj Boże! — zawołał pan Krzysztof — to by nasze szczęście zabiło! Wiesz dobrze, że mam wyrodną macochę, która najlepszego ojca mego tak na swój sposób przerobiła, że wszystkiemi siłami przeszkadza temu, abym się ożenił!

Dorota znowu tutaj zapłakała i odrzekła:



— Przecież, jeżeli Jmpani wojewodzina w to się wda...

— Znam dobrze mego ojca — nie nie pomoże. Przeciwnie, wzmoże to tylko gniew jego!

— Jakaż więc przyszłość naszej miłości?—jęknęła w bólu panna Dorota.

— Najlepij będzie,—odparł pan Krzysztof, jeżeli tę przyszłość samemu Bogu pozostawimy, a tymczasem upojeni szczęściem naszym...

Tu według opowiadania ogrodniczka pan Krzysztof zbliżył się jeszcze bardziej do panny Doroty, jakby jój chciał coś do ucha powiedzieć, ale Dorota nie chciała zapewne tego słuchać, bo jedną ręką odepchnęła go, a drugą przytknęła fartuszek do oczu, jakby płakała.

Gdy wojewoda to wszystko wysłuchał, uśmiechnął się, a zażywwszy ze złotój tabakierki tabaki, poszedł do lipowój alei, i tam z wojewodziną i ks. Tymoteuszem przez dobrą godzinę wesoło się zabawiał.

Jmpanna Dorota była ubogą panienką z dobrego szlacheckiego gniazda. Rodzice jój w czasie rozterek publicznych utracili mienie, a wkrótce potem przenieśli się do wieczności. Pozostała sierota słynęła niezwykłą urodą. Miała duże piwne oczy i tak długie rzęsy, że ich nawet przymknąć nie mogła. Ztąd też pochodziło, że spała z oczyma na pół przymrużonemi, za co ją towarzyszki lunaticzką nazywały.

Panna Dorota z razu gniewała się za to, ale gdy kilka towarzyszek wyraźnie zeznało, że ją widziały w nocy miesięcznej, chodzącą po lipowój alei, zhociaż to był już czas głębokiego spoczynku—biedna sierota

zarumieniała się tylko, i od téj chwili bynajmniej lunatyzmu swego się nie wypierała.

Nietylko we śnie, ale nawet i na jawie były te oczy zawsze na pół przymknięte. Zdaje się, że znowu cała wina ciążyła na tych zbyt długich rzęsach. We śnie nie mogły się one przymknąć szczelnie, a na jawie znowu nie pozwalała ich ciężkość, aby się zupełnie otwierały.

Były to dziwne, czarujące oczy. Kilku dworzan szalało za temi oczyma, nie mówiąc już nie o tych dołkach różowych, które za każdym uśmiechem otwierały się, jak łapki dla nieostrożnych, na téj pięknej i zawsze świeżej twarzy. Nic więc dziwnego, że Janpan Krzysztof powziął affekt do panny, która miała takie oczy i takie dołki zdradliwe na buziaku.

Dotąd wyglądało wszystko na pozór spokojnie, Panna Dorota modliła się przykładnie w kościele rano i w wieczór całowała rękę swojej dobrodziejki, a z towarzyszkami była nawet wesoła. Kto jednak lepiej jej twarzyczkę się przypatrzył, ten widział tam bladeść niezwykłą i dwa nieznaczne fałdki na czole, które są oznaką, że kobieta nie zawsze jest w zgodzie z sobą i światem. Nawet dawna wesołość odstąpiła ją, a pieśni, które przy klawikordzie śpiewała, były smutne i rzewne. Wesołe sąsiadki mówiły między sobą, że lunatyzm panny Doroty wzrasta się coraz więcej, i że nawet wtedy ją niepokoi, gdy siężycza niema na niebie.

Pan Krzysztof sprawował się wzorowo. Rano śpiewał godzinki; na nieszpórach pomagał na chórze organistów. Marszałek dworu zauważył tylko, że przy stole jednym łykiem czasem wypróżni kielich, czego

pierwój zawsze się wystrzegał. I to także uderzyło go, że często gęsto przymilał się starój klucznicy Maciejowej, za co ona tajemniczym sposobem wpuszczała go do apteczki i tam lampką nalewki go częstowała.

Towarzysze pana Krzysztofa także spostrzegli na nim pewną zmianę. Pierwój był rozmoway i wesoły, a teraz chodził po całych godzinach zamyślony, jakby chciał pisać dzieło „O poprawie Rzeczypospolitej,” lub co gorszego jeszcze w głowie swojej rozbieirał. Czasami nawet widzieli, że jakiś dziki ogień strzelał z jego oczu — a jeżeli zaciśniętą ręką włosy potarł, to z tych włosów wylatywały takie same iskry, jak z sierści czarnego kota.

Od niejakiego czasu była nawet trudna z nim rozmowa. Był impetyczny i zapalał się przy każdym zdaniu, z którym się nie zgadzał.

Otoż razu jednego, gdy ks. Tymoteusz na tekst Pisma Św. o wilkach w baranięj skórze przy wieszerzy szeroko się rozwodził i z pewnym naciskiem o takich wilkach mówił, które pod pozorem baranięj łagodności wciskają się do spokojujnej owczarni, aby tam potem nieczne spustoszenia poczynić — wychylił pan Krzysztof jednym haustem spory kielich, a wstawszy od stołu, cichaczem wyniósł się do ogrodu.

W ogrodzie za krzakiem agrestu już czekał na niego sprytny ogrodniczek.

I pan Krzysztof rozpiął żupan i zdjął czapkę. Wiatr chłodny obwiał go do koła. Zdaje mi się, że to mu trochę ulżyło, bo odetchnął całą szeroką piersią swoją, aż dwie wrony z przestrachu z gałęzi upadły.

Niejaki czas chodził po alei, jakby się chciał pozbyć jakiegoś wewnętrzznego ognia, który go palił.

Otworzył nawet żupan na piersiach, z kąd widocznie jakaś gęsta para buchała. Wiatr rozwiewał jego długie włosy, a w dalekiej dziupli drzewa odzywał się złowrogi puszczyk, jakby ludziom chciał co złego zwiastować.

Widać jednak, że Krzysztof nie mógł się ochłodzić, kroki jego były coraz szybsze, coraz bardziej niespokojne. Wreszcie przystąpił do okna panny Doroty.

Dorota właśnie co przeszła do swojej izdebki i świecę zaświeciła.

— Zgaś świecę! rzekł przytłumionym głosem pan Krzysztof.

Dorota zgasila świecę i przystąpiła do okna, jak to zwykła była czynić, gdy Krzysztof chciał z nią rozmawiać.

— Doroto—rzekł ponuro Krzysztof—dłużej tych katuszy nie wytrzymam! Albo muszę mieć twoją wrażliwość, albo... tém oto żelazem przybiję sobie pierś na wylot, aby więcej nie cierpieć!

Dorota zakłama płaczem, bo w téj chwili z fałdów żupana wydobył Krzysztof lśniący pugiinał włoski, który zawsze nosił przy sobie.

— Przebóg! — zawołała, wychylając się przez okno i białą rączką chwytając za żelazo — przebóg, Krzysztofie, nie czyn tego! Zaklinam cię na pięć bolesnych ran Zbawiciela!

Krzysztof z razu drgnął na wspomnienie pięciu ran Zbawiciela, ale widać, że dzika namiętność góre wzięła nad skuteczném ongi lekarstwem. Oczy jego zapłonęły jeszcze większym ogniem. Kurczowo ścisnął rękę Doroty.

— Nie sącz wody do kotła,—zawołał, w którym się, jak czarna smoła pali krew moja! To tylko wzmacnia kipienie i pryskanie!... Wyjdź do mnie z izdebki... przejdziemy się po chłodnej alei! Potrzebuję powietrza, albo burzy!

Dorota cofnęła białą rękę.

— Nie pójdę—rzekła — do chłodnej alei wśród nocy, bo to najprzód rzecz zdrożna, a potem ludzie słuszenie wzięliby mnie na języki.

— Cóż cię głupi ludzie obchodzą?

— Bóg przemawia głosem opinii ludzkiej!

— Śmieję się z tego! Wyjdź do mnie!

— Jak sobie postanowiłam—tak też i wytrwam w postanowieniu!

— Cóżś postanowiła?

— Że z tobą nigdy już sam na sam mówić nie będę, o czém teraz ci powiadam!

— Więc chcesz mojej śmierci?

— Przecież przed śmiercią jest jeszcze inne lekarstwo!

W téj chwili z po za ciemnej chmury wychylił się ciekawy księżyc, i jasnym światłem oblał całe oblicze dziewicy.

Dorota miała teraz twarz tak uroczą,—tyle dołków i dołeczków otworzyło się nagle na tym różowym buziaku przy smutnym uśmiechu, z jakim na kochanka spoglądała... tak dziwny blask miały te cudne, na pół zmrużone oczy, i tak jakoś filuternie patrzyły, że Krzysztof sam nie wiedział, co się w téj chwili z nim działo. Zdawało mu się, że jakaś niezwalczona siła prze go do tych cudnych oczu, do tych ust z koralu, do

tych białych łabędzich ramion. Zdawało mu się, że bez téj kobiety żyć nie może!

— O jakimże lekarstwie mówisz? — zapytał, cały drżąc na ciele.

Dorota rozśmiała się przez łzy, a zdjawszy z palca ślubną obrączkę babuni, mignęła mu nią przed oczy.

Zbladł na widok ślubnej obrączki pan Krzysztof, i o dwa kroki od okna się oddalił. Skrzyżował ręce, i tak przez chwilę w nią się wpatrywał.

Usłużny dla kochanków księżyc był tym razem w przymierzu z dziewczycą. Najlepszym światłem swoim wybielił jej twarz piękną, jakby najdroższym pudrem paryzkim, pod uroczę oczy rzucił cień misterny, jakiego mogła mu pozazdrościć dama w sukni balowej, wybierająca się na bal dla ubogich, koniec ciekawego noska zaokrąglił według wszelkich reguł akademicznych, a na wypukłe usta rzucił czarowny cień smutku, jakby rzewną tęsknotę ku temu wszystkiemu, co mogła przypominać owa słaba obrączka babuni...

Słowem, księżyc-pastelista tak uroczę wymalał dzisiaj twarz Doroty, jakby tego w żaden sposób dokazać nie mogła biegła w tym kunszcie dama salonowa!

Krzysztof wpił się cały wzrokiem w tę twarz, a od czasu do czasu jakieś kurczowe drganie przebiegało po jego na pół otwartych ustach.

Wreszcie skrzywił się jakimś brzydkim uśmiechem, a promień złowrogi strzelił mu z oczu.

— Więc chcesz ślubu? — ozwał się syczącym głosem, jak gadzina; chcesz ślubu, księdza, organisty i ślubnej obrączki?...



Dorota spuściła oczy, ale uśmiech na ustach potwierdzał to, o czém mówił pan Krzysztof.

Jeszcze więcej wykrzywiła się twarz Krzysztofa.

— Ślubu, ślubu chcesz! wołał głosem puszczyka: ha! ha! ha! Więc miłość moja, która mi krew pali, w téj chwili nie wystarcza tobie!.. Ale chcesz ślubu, zimna kobieto! Chcesz księdza w ornacie, organisty i dziada kościelnego! ha! ha! ha!..

Śmiech Krzysztofa był tak okropny, że aż stado wron zerwało się z lipy, aż ukryty za agrestem ogrodniczek poczuł mrowie w całym ciele.

— Czyż żądam od ciebie czegoś niepodobnego? — zapytała z cicha przestraszona dziewczyna; — czyż dwoje kochanków nie łączą się ślubem przed księdzem?

— Tak... tak... ślubem! ha! ha! ha!

— Jeżeli z tego się śmiejesz, to zamknę okno i więcej z tobą mówić nie będę!

I biała dłoń Doroty sięgnęła po rygiel okna.

Zbladły usta Krzysztofa i drgnęły.

— Przebóg! co robisz! — zawołał, wstrzymując okno: — przecież nie każesz mi umierać pod oknem!

— Jeżeliś taki, to umieraj sobie! — spokojnie odpowiedziała Dorota.

Zgrzytnął zębami Krzysztof i potarł kufakiem po czarnej głowie, aż się iskry posypały. Po chwili uspokoił się na pozór i rzekł:

— Bóg mi świadkiem, że niczego tak gorąco nie pragnę, jak ślubu z tobą!.. Wprawdzie chciałem to inaczej urządzić, ale, jeżeli ty tego tak nagle pragniesz... więc dobrze! Weźmiemy ślub!

Księżyc schował się w téj chwili, a biedna Dorota nie widziała twarzy Krzysztofa, po której przem-

knął teraz wyraz jakiś szatański. Nie widziała twarzy, tylko słyszała słowa jego. A słowa te były tak słodkie! tak rozkoszne! Ślub... ślub z ukochanym... ach! ileż to szczęścia! ile rozkoszy!...

Wychyliła się przez okno i podała mu białe czoło do pocałowania.

— Więc zgadzasz się na ślub, mój drogi?—szepnęła głosem omdlewającym... więc będziemy mężem i żoną, jak prawo boże każe?

Krzysztof wycisnął na twarzy dziewczycy gorący pocałunek.

— Będziemy mężem i żoną,— odrzekł,—najdalej za dwa tygodnie! Weźmiemy ślub w kościele, ksiądz zwiąże nam stulą ręce, a organista zahuczy na chórze: „Veni Creator!“... A co? czy nie będzie rozkosz w niebie i na ziemi!

— Prawda... w niebie będą się cieszyli aniołowie, że dwoje ludzi na ziemi są szczęśliwi!...

Nastąpiło milczenie. Księżyc cofnął się, aby szczęścia dwojga ludzi nie spłoszyć. Krzysztof objął rękoma piękną głowę dziewczycy i tulił ją do gorącego łona.

— Już odejść teraz!..—szepnęła po chwili Dorota:—odejść, bo mam jakieś złe przeczucie!

— Przecież trzeba jeszcze o tym ślubie coś powiedzieć.—odparł przytłumionym głosem Krzysztof.

— Będzie czas na to jutro!

— Ślub nasz będzie trochę... niezwykły!

— Jakto niezwykły?

— Bo widzisz... jeżeli tak prędko ślubu pragniesz, to ślub ten... jak na teraz... musi się odbyć bez woli mego ojca!

— Jeżeli ojciec twój jest tak nieubłagany.... przecież jesteś pełnoletni!

— I wojewodzina.... i wszyscy tu we dworze nie mogą nic o tym ślubie wiedzieć!

— Wojewodzina?... Nigdy! Ponieważ ona jest dobrodziejką naszą!

— Intryga mur przebije. Ojciec mój, czy raczej macocha tak tutaj rzeczy nastroiła, że ani wojewodzina, ani wojewoda na ślub nasz nie pozwolą!

— To być nie może! Rzucimy się im do nóg!

— Nic nie pomoże! Już tę rzecz zbadałem! Czeka ją tylko chwili, aby mnie od ciebie na zawsze oderwać!

Dorota załkała płaczem.

— Ja bez ciebie umrę!—zawołała.

— Ja bez ciebie żyć nie mogę!—odparł Krzysztof.

I znowu schował się księżyc za chmurę.

— Jakiż jest na to sposób?—zapytała po chwili, wywijając się z objęć dziewczica.

— Jeden jest tylko sposób!—odparł stanowczo Krzysztof.

— Jaki sposób?

— Weźmiemy ślub—potajemnie!

— Potajemnie!

— Ja cię wykradnę... i zawiozę do kościoła!

— Wykradnę... zawiozę do kościoła...

— Postaram się o księdza i wszystko!

— O księdza i wszystko...

Głuche zapanowało milczenie. Dorota prawie bez myśli powtarzała słowa Krzysztofa.

Po chwili odetchnęła pełną pierśią.

— Nie! Przenigdy!—zawołała, łamiąc białe ręce: —nigdy tego nie zrobię! Cóż wojewoda, cóż wojewodzina moja dobrodziejka!...

— Po ślubie rzucimy się do nóg wojewodziny i wojewody, wojewoda napisze do mego rodzica, trochę będą dasy, a potem zapanuje zaiste zgoda. Takim tylko sposobem przetniemy intrygę macochy; inaczej będziemy rozdzieleni na wieki, a ja umrę marnie lub wstąpię do kapucynów!

W téj chwili pod agrestem coś zatrzeszczało, a spłoszeni kochankowie rozeszli się, odkładając resztę do jurzejszój pogadanki.

---

Nazajutrz cały dzień przeleżała Dorota w łóżku; miała twarz zarumienioną i usta spalone gorączką. Gdy ją wojewodzina odwiedziła, chwyciła ją za ręce i zaczęła je łzami oblewać. Chciała się jój zwierzyć, chciała jój o tém wszystkiém powiedzieć, co wczoraj mówił do niój Krzysztof, ale coś w gardle na poprzek stanęło tak, że słowa wydobyć nie mogła.

Silna gorączka wzmagała się coraz więcej. Gdy oczy przymknęła, zdawało się jój, że śni na jawie. Widziała Krzysztofa przed sobą za oknem, który tak słodkie rzeczy prawił jój do ucha. „Biedny Krzysztofi myślała sobie, ta okrutna macocha tak go przesładuje! Czyż innój drogi niéma, aby dojść do szczęścia? Czyż koniecznie trzeba ztąd uciekać i potajemnie brać ślub z Krzysztofem? Cóż na to ludzie powiedzą?... Czyż się to nie wydarza między ludźmi? Czyż nie opowiadał dopiero przed tygodniem kwestarz

z Narola, że Imépanna starościanka przemyska uciekła z domu rodzicielskiego z Imépanem Wolskim chorążym, a potem za pośrednictwem generała ziem podolskich przyszła zgoda familijna do skutku?... Czyż to tak się nie może stać?... Przypadki przecież nie chodzą po lasach i górach, ale po ludziach! A zresztą czyż można być tak okrutną i Krzysztofa zabijać?... Można przecież potem zadać sobie za to jakąś pokutę!... ofiarować jakie *votum* do Pana Jezusa Milatyńskiego... a jałmużnę rozdać między ubogich!... A jeżeli ludzie odpuszczą, to przecież i Pan Bóg będzie także litościwy i z księgi wiecznej wymaże przewinę, która nikomu nie zrobiła uszczerbku!...

Takie gorączkowe myśli biegały Dorocie po głowie. Płakała biedna gorzko, a za chwilę znowu wznosiła się jej pierś radością, że ukochany Krzysztof będzie jej mężem w obec Boga i ludzi!

Myśl ta rozkoszna zacierała coraz więcej czarne chmury, jakiemi trwożyło się tkliwe sumienie... Krzysztof był z każdym dniem weselszy i z fantazyą podkreślał piękne wąsy.

---

Za kilka dni wybrał się Krzysztof do miasteczka na jarmark, jak o tém mówił marszałkowi dworu, a przez okno szepnął Dorocie, że udaje się do konsystorza, aby indult potrzebny do ślubu wyrobić.

Marszałek dworu nie miał przeciw temu, prosił go tylko, aby dla różnych sprawunków wziął z sobą ogrodniczka.

Zaraz po wyjeździe Krzysztofa zawezwał woje-

woda sekretarza swego do gabinetu, wygotował z nim razem długi list, a zapieczętowawszy go lakową pieczęcią, kazał sekretarzowi z nim natychmiast wyjechać do ziemi Sanockiej,

Tego samego dnia, po krótkiej naradzie z wojewodziną, wyjechał także ks. Tymoteusz do biskupa z doroczną jałmużną dla biednych.

Gdy takie rzeczy we dworze się działy, Krzysztof tymczasem zdążył do miasteczka, gdzie właśnie odbywał się jarmark. Jak zwykle na jarmarku, było dużo Żydów, chłopów i szlachty. Ciżba była i tłum niezmierny. Krzyk, hałas, popychanie zewsząd.

Krzysztof przerznął się przez tłum i wszedł do gospody, przed którą wisiała złota wiecha.

W gospodzie było pełno. Po minach buńczucznych, łbach pokaleczonych poznać można było szlachtę zaściankową. Odbywała się właśnie przy obfitej konsumpcyi miodu i węgrzyna, jakaś kłótnia sąsiedzka. Barczysty szlachcic z przekrojonym nosem, w siwej sukmanie, rysował właśnie palcem na stole plan swojej zagrody, i wzywał sąsiadów, aby wydali wyrok, kto ma słuszość. Nizki, z chytrém wejrzeniem sąsiad jego mazał mu ustawicznie rysunek, a natomiast lepkiem miodem kreślił jakieś zagadkowe figury.

— Panowie bracia!—wołał barczysty:—osądźcie sami, czy ja chcę jego zguby? Sam zaorał mi miedzę...

— Proszę uniżenie,—replikował chytry:—tu była stara miedza jeszcze za króla Sasa...

— Za króla Sasa waść chodziłeś przecie bosol

— *Mater Dei!* Ja... chodziłem boso... ja, familiant królewski!

— Fortunę waszę czapkę nakryj!



— Moja fortuna nie szeroka, ani długa, ale wysoka i głęboka!

I dwie szable skrzyżowały się pod łbami pijących.

W téj chwili przybyła do nich trzecia.

— Toż *pro bono publico* nie było waszych szabl, a tu w gospodzie przy miodku łby sobie krajacie!—zawołał nowo przybyły gość, aż szklanki zabrzęczały.

— Któż waś?—zapytało kilka głosów.

— Zaremba!—odpowiedział Krzysztof,—a wy?

— Ja... Popiel,—rzekł barczysty.

— A ja, Leszczyński,—zawołał chytry.

— Wiwat królewscy familianci!—zawołał Krzysztof.—Héj! miodu!

I kilka szklenic trąciło się na zgodę braterską.

Kiedy już z czupryn dobrze kurzyć się zaczęło, kazał Krzysztof Żydkowi alkierz otworzyć, a wybrawszy pięciu z pomiędzy szlachty, którzy najlepiej mu się podobali, zamknął się z nimi w alkierzu przy pełnych gąsiorach.

— Czy umie który z was śpiewać, jak klecha?—zapytał po piątym gąsioru Krzysztof.

— Mogę całą mszę świętą i nieszpory grać na organach, — odpowiedział długi Sulima.

— A cóż ten tego... tak, jak to ksiądz przy ołtarzu recytuje?

— Odprawię przyzwoicie całe nabożeństwo, a nawet nieboszczyka mogę pochować, — zawołał jeden z potomków królewskich.

— Więc zgoda! Zabawimy się!

— Jakto?

— Dacie mi ślub z pewną dziewoją w pustym kościółku na Wilczejłapie, a ja wam za to sprawię takie wesele, jakie tylko w Kanie galilejskiej być mogło!...

---

Nadeszła niedziela. Dorota wstała blada. Miała oczy czerwone, a usta były spalone gorączką.

W kaplicy dworskiej klęczała całą mszę świętą na posadzce i modliła się gorąco. Obfite łzy płynęły z jęj oczu. Pierś jęj wznosiła się i zapadała jakąś boleścią kurczową.

A gdy wieczorem wszystko się uciszyło, gdy już nawet stróż dworski pod bramą się położył, aby tam słońka bożego w miłych snach wyczekiwać, wymknęły się z domu dwie białe postacie kobiece i ciemną aleją zmierzały do tylnęj furtki.

Za furtką na wózku siedział Krzysztof.

— Po cóż tę starą babę?—ofuknął gniewnie.

— Będzie za świadka!—szepnęła Dorota i zapłoneła, jak alkiermes.

Kobiety siadły na wózek, a Krzysztof zaciął konie.

---

Szlachta zagrodowa wespół z potomkami królewskimi święcie dotrzymała słowa. Zaraz ze zmierzchem stawiała się w pustym domku leśniczówki. Zastawała tam Krzysztofa, który już postarał się o ornat, krzyż, kropidło i stulę. Postarał się przytęm o smaczny napitek, który w kilkunastu gąsiorach stał na sto-

le. Nie zapomniał także o bigosie i kielbasie z kwaśnym sosem.

Za chwilę zajęła się szlachta przekąską, a pan młody pojechał po pannę młodą.

Szczęście chciało, że zaledwie Krzysztof na skrócie drogi zniknął, zaturkotał wózek przed leśniczówką. Szlachta wyjrzała oknem, a do okna śmiała się pocziwa twarz kwestarza.

— Kwestarz! kwestarz! — zawołano chórem. — Wybornie, wziąć mnicha z sobą!

I wszyscy wybiegli przed okno, i ściągnęli z wózka kwestarza, który się wcale nie opierał.

Kwestarz był człowiek wesóły. Zaczął stroić różne żarty, opowiadać dykteryjki. A gdy z jednego i drugiego gąsiorka skosztował, skrzywił się i splunął.

— A cóż to waści nie smakuje węgrzyn?—zapytał potomek królewski.

— Mamci ja coś lepszego!—odparł braciszek, i poszedł do wózka.

Wkrótce wrócił z niewielką flaszyką. Otworzył i nalał kieliszki.

Skosztował potomek królewski: coś dobrego! Skosztował drugi: jeszcze lepszee!... I wkrótce wypróżniła się flaszka.

— Tam do kata! — zawołał jeden,—pana młodego tak długo nie widać!... Coś mi się oczy kleją!

— To prawda, że długo nie wraca!—bełkotał drugi: trochę się zdrzemnął!

— Jak przyjedzie, niech nas kto zbudził!

— Przecież on prosto przyjedzie do kościołka!

— Prawda, prawda, tak powiedział! trzeba się udać do kościołka!

— Ale ręczę wam, że i za trzy godziny jeszcze czas będzie! Możemy się zdrzemnąć trochę!

I gdy jeszcze ten i ów coś bełkotał, zabrał się braciszek po cichu i wyszedł z izby.

W izbie spali wszyscy w najlepszej!

---

Noc była ciemna. Rozdarte chmury przemykały się po niebie, gnane wiatrem zachodnim.

Po zwirowej drodze pędził wózek. Na wózku siedziały dwie kobiece postacie.. Furman w kontuszu zacinał konie, aż pianą pryskały, a kobiety modliły się i żegnały przed każdą figurą, która, jak wiadomo przemykała się koło nich.

Dorota nie widziała w téj chwili twarzy Krzysztofa. Była ona ciemna, jak z bronzu, w oczach palił się ogień złowrogi, a usta wykrzywiły się brzydkim, złośliwym uśmiechem.

Wreszcie zamajaczył w dali pod lasem mały, opustoszały kościółek. W oknach kościołka widać było słabe światelko. Zapewne przyjaciele Krzysztofa byli już na stanowisku.

Rozśmiał się szyderczo Krzysztof, aż się w lesie coś także zaśmiało. Silny wiatr, który dał po gałęziach, nie pczwolił tego śmiechu usłyszeć biednej Dorocie.

Wreszcie zatrzymał się wózek przed starym kościółkiem.

Krzysztof zeskoczył z wózka i wziął Dorotę na rękę. Twarz oblał mu dziki płomień.

— Pójdź gołąbko!—rzekł pieszczotliwie:—czeka na nas ksiądz ze ślubnym pierścionkiem.

Dorota otarła z łez oczy i przytuliła się całą drżącą do ramienia narzeczonego.

Oboje weszli z wolna do kościołka.

W kościółku było cicho. Mała lampka paliła się przed wielkim ołtarzem. Przy ołtarzu ledwo migotały dwie świece. Po kątach i na środku było ciemno, jak w grobie.

— Jak tu ciemno i straszno!—szepnęła Dorota, i przycisnęła się do ramienia narzeczonego.

— Nie lękaj się! — odparł Krzysztof, tłumiąc w sobie jakiś śmiech szatański:—wkrótce rozjaśni się szczęściem naszym całe niebo nad nami!

Jakaś ciemna postać zaruszała się przy ołtarzu. Był to ksiądz w ornacie. Na chórze zatrzeszczały miechy stare. Zapewne potomek królewski w roli organisty. Od zakrystyi zbliżyły się jakieś dwie zakapturzone postacie.

To zapewne świadkowie...

Ksiądz skinął od ołtarza. Państwo młodzi zbliżyli się i ukłękli na stopniach.

— Masz Krzysztofie wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć Dorotę sobie za małżonkę?—zapytał zmienionym głosem kapłan.

— Masz Doroto?...—mówił dalej zwrócony do panny młodój.

Krzysztof i Dorota odpowiedzieli głośno i wyraźnie: Mam!

Zaczęła się ceremonja ślubu...

Dopiero gdy młoda para ostatnie słowa przysięgi wymówiła, gdy kapłan z uroczystością dwa palce do góry podniósł i błogosławieństwem przysięgę nie-

złomną zatwierdził: zajaśniał nagle kościółek, jakby jasny piorun z nieba w sam środek uderzył.

Krzysztof obejrzał się na jedną a Dorota na drugą stronę!

Przebóg! Cóż tam widać!

Oto w kościółku stoi przy zapalonych pocho-  
dnicach uszykowany cały dwór wojewody!...

Sam wojewoda w atłasowym żupanie z wojewo-  
dziną stoi na przedzie!...

Obok nich stoi ojciec Krzysztofa z żoną...

Dalój dworzanie, panny, družbowie, druchny  
a nawet służba dworska!...

— Amen! Amen!—zawołał ks. Tymoteusz gło-  
sem naturalnym.

— Amen!—zawołał ojciec Krzysztofa.

— Amen!—zawołał wojewoda i wojewodzina,  
a za nimi powtórzył cały orszak!...

Krzysztof myślał, że rzeczywiście piorun z ja-  
snego nieba uderzył.

— Jakto?—zawołał, przecierając oczy,—jakto?...  
Byłże to prawdziwy sakrament?

I jak wilk rozżarty zgrzytnął zębami.

— Sakrament jest tylko jeden! — odpowiedział  
z dobrocią ks. Tymoteusz.

— Synu mój, drogi synu!—zawołał ojciec, biorąc  
go w ramiona:—Bogu dziękuje, że cię zawrócił na dro-  
gę prawa bożego!

— Synu mój!—zawołała macocha, i złożyła poca-  
łunek na jego czole.

Krzysztof wyrzucił z piersi tak straszny ryk, aż  
szyby w oknach zabrzęczały....



Był to ostatni ryk złego ducha, który go w téj chwili opuszczał....

Spuścił głowę na piersi, a łzy polały mu się po twarzy.

— Więc to był prawdziwy sakrament! — szepnął z cicha i zaczął płakać, jak dziecko.

— Sakrament, — odparł ks. Tymoteusz, i to ze wszelkimi formalnościami!

— Niech się dzieje wola boża! — rzekł z pokorą, i całą siłą uderzył się w piersi, jak grzesznik pokutujący.

\* \* \*

Powyższą staro-szlachecką historyjkę opowiadał mi po raz setny mój sąsiad, stary gaduła i zapytał:

— Cóż myślisz?

— Że z takim warchołem była nieszczęśliwa!

— Otoż mylisz się. Czytuję ja dzisiaj, że tam gdzieś powstałi nowi mędrcomie, którzy człowiekowi odbierają Boga i robią z niego tylko zwierzę uszlachetnione. Otoż temu zwierzęciu chcą wywalczyć tak zwany „wolny wybór“, jaki się między niższemi zwierzętami praktykuje! a to kosztem praw bożych!... Wierzaj mi, nim ta nowa teorya weszła, już była od wieków praktyka. Praktykowali ją ludzie, depcząc prawa bożkie i schlebając swoim namiętnościom brzydkim. Taki był i Krzysztof. Gdy sobie coś upatrzył, szedł przez miecze, aby tylko celu dopiąć, istny rozbójnik porządku społecznego!

— Takiego człowieka trzeba było w lamusie osadzić lub w domu waryatów zamknąć, ale nie robić ofiary z biednej Doroty...

— Cóż chcesz! Mój ojciec znał go doskonale! Człowiek łagodny, mąż, jak najlepszy, ojciec wzorowy!

— Jakto? Krzysztof?

— Tak jest, Krzysztof! Ale na to wpłynął medykament, o który dzisiaj tak trudno!

— Medykament? Jaki medykament?

— Oto ludzie mieli krew gorącą, mieli błędy, ale mieli wiarę, religią. Wiara zwalczała złe i nieraz dokazywała cudów... Gdy się pan Krzysztof dowiedział, że to nie był żart bezecny, ale prawdziwy sakrament małżeństwa, ukorzył się przed prawem bożem. Wszedł pokornie w obowiązki małżeńskie i stał się tak potulny i łagodny, jak baranek... Wprawdzie wielka zasługa należy się Dorocie, która tego dzikiego człowieka umiała ugłaskać i długie lata na jedwabnym prowadzić pasku!... Mówię ci, że niktby nie uwierzył, że to był ten sam człowiek, który ludziom żebra łamał i nosy obcinał...

— Więc sądzisz, że ten ślub mimowolny...

— Tak jest: prawo boże uszlachetniło porywy krwi gorącej, i stał się ztąd związek miły Bogu, a pożyteczny ludzkości! Wezbranój powodzi dano pewne, prawidłowe koryto! Nad prawem bowiem krwi i namiętności, nad prawem natury górować musi prawo boże, a gdzie tego porządku niéma, tam niéma człowieka, ale jest zwierzę!...

Tu na nieszczęście przerwał zapal mego sąsiada konserwatysty arendarz z próbką pszenicy w garści.

Rozmowa nasza się urwała.

# WIERUTNA BAJKA.

przez

**Jana Zacharyasiewicza.**

---

W pewnym gościnnym dworze, położonym o kilkanaście mil od Warszawy, zgromadziło się na uroczystość domową bardzo liczne towarzystwo.

Dzień był ciepły i pogodny, jeden z tych prawdziwie pięknych dni, jakimi nas tak skąpo obdarza jesień. Niebo było czyste, a powietrze napełnione tą smaczną wonią, jaką wydają dojrzewające jesienne owoce.

Towarzystwo podzieliło się na różne grupy. Jedni przechadzali się po ogrodzie, bawiąc się rozmową, drudzy formowali oddzielny orszak i rozkoszowali w dymie papierosików.

W końcu alei połączyły się dwie grupy i zajęły rozkoszną altanę, ocienioną winogradem. Rozmowa ożywiła się teraz i przeszła wkrótce w formalne rozprawy.

— Nie mogę tego pojąć—ozwała się mała, okrągła, nadzwyczaj ruchliwa szatynka z gorseм mocno

wyciętym,—ani sobie wytłumaczyć nie mogę. jak można smakować w dymie z cygar!

— Nie zadziwia mnie to wcale—odparła Otylia, panna pełnoletnia z papierosikiem w ustach, w błękitnej sukni z białemi koronkami.

— Dla czego to pani nie zadziwia? — podjęła pierwsza.

— Przychodzącym na świat rozdaje Pan Bóg różne gusta—odparła Otylia, puszczając błękitne kółka z różowych usteczek, to też gusta te różnią nas między sobą. Inaczej źleby bardzo było na świecie.

— Gdyby naprzykład mnie i innym podobał się pan Filip!—odcięła szatynka.

Usłyszawszy słowa „pan Filip,“ zarumieniała się Otylia, spuściła oczy i rzekła:

— Mówiłam o gustach bez żadnej przenośni, po prostu o smaku. Pani naprzykład nie lubisz siniego dymku z papierosika, za to lubisz pani namiętnie pieczeń huzarską z cebulą i kotlety baranie z czosnkiem. Ja zaś nie lubię ani czosnku ani cebuli, więc wolno mi za to smakować w dymie z papierosika! Cóż, czy nie słusznie?

Szatynka poczerwieniała, spuściła oczy i odparła:

— Trąci to zawsze emancypacyą!

Rozśmiała się na całe gardło Otylia, i wydmutchnęła całą chmurą siniego dymku.

— Emancypacya, emancypacya! — zawołała po chwili, to słowo jest dzisiaj tak oklepane i sponiewierane, że trudno nawet coś na seryo o niem powiedzieć.

Powstał szmer a towarzystwo w altanie podzieliło się na kilka kółek, które żywo zaczęły się z sobą sprzeczać. Jedni byli za Otylią, inni wzięli w obronę szatynkę.

Na przeciwnym krańcu siedziały poważne kobiety i rozmawiały między sobą półgłosem.

— Czy widziałaś pani, jak Otylia spłonęła, gdy usłyszała imię „Filip“? — ozwała się brunatna parasolka.

— A któż jest ten pan Filip? — zapytała sąsiadka.

— Ten wysoki blondyn o długiej, opalonej twarzy. Jest to chłopiec bogaty, tylko trochę dziki jeszcze. Całą jego zabawą jest koń, chart, strzelba i pistolet!

— Czy o nią konkuruje?

— Tego tak bardzo nie widać; zdaje się, że więcej ona stara się o niego!

Po tych słowach, wypowiedzianych na ubocznej ławeczce słychać było znowu głos Otylii:

— Panie macie wyobrażenia odwieczne. Kobiecie wolno tylko siedzieć, jak ongi, we framudze i praść kądziel. Do niczego nie ma nosa wtrącać i patrzeć tylko, aby mąż miał całą koszulę! — Cóż to, czyż kobieta nie ma serca, krwi i głowy.

— O ma, niezawodnie, — odparł szpakowaty jegomość, — wygadała się z tém dosyć niedyskretnie pani Georges Sand!

— Zdaje mi się, że nie jestem między marudera-mi! — odfuknęła sąsiadowi Otylia.

— W jaki to sposób pani pojmujesz? — zapytał drugi sąsiad o czarniawych włosach.

Otylia rzuciła na jego włosy okiem wyzywającym, wytrzymała go tak chwil kilka pod tym ogniem kartaczowym, a gdy stary kawaler już sinić zaczął, uśmiechnęła się i rzekła:

— Nie jestem wcale między maruderami, i bardzo przepraszam, jeśli kto wziął to do siebie. Wprawdzie, jak twierdzi pan Mateusz, mają tam gdzieś być marudery i maruderki zapatrywania się na świat pani Georges Sand, ale ja należę do pierwszój kolumny, która z Ameryki i Anglii ku nam maszeruje!

— Uchowaj nas Boże od téj czarnej bandy — szepnęła brunatna parasolka do sąsiadki.

— Tak jest,—prawiała dalej Otylia, — pierwsza kolumna jest już między nami,—a nawet pisma, nasze głoszą jój program zbawienny!

— Jakiż to program!

— Rozszerzyć zakres dotąd przyzwolony kobiecie, mierzyć się z mężczyzną na polu wielkiej pracy i nauki, zdobyć sobie równe prawa polityczne i towarzyskie.

— Jakto, i konkurować o męża? — zawołał ze strachem kawaler o czarniawych włosach.

Otylia zatrzymała się chwilę, spojrzała po całym towarzystwie i rzekła:

— Konkurować o męża? Dla czegoż nie? Zkądże to prawo, aby tylko mężczyzna wybierał? Kobieta ma być rzeczą nieruchomą, i czekać aż się ktoś zlituje?...

— Sapristie!—krzyknął stary kawaler, i odsunął się na róg ławki.

Zabrała głos poważna, brunatna parasolka:



— Nie wątpię, że na podobnej reformie obyczajów zyskałaby statystyka małżeństw. Ale czy *kobieta* by na tém zyskała, o tém wątpię. Cały urok kobiety na tém zależy, że jest słabą, wątłą istotą, potrzebującą opieki mężczyzny.

— To zwykły głos każdego konserwatyzmu, tego pierworodnego grzechu zgrzybiałej Europy! — odparła Otylia. — Kobieta w Europie nie chce nic zdobywać, przeciwnie, pragnie gorąco, aby była zdobytą. Ale cóż robić, jeśli z każdym dniem mniej jest zdobywców?

Przyszedł powoli do siebie stary kawaler o czarniawych włosach, przysunął się bliżej na ławce i rzekł:

— Cóż nam z fortec zdobytych, jeśli fortece nie dotrzymują kapitulacyi?

W téj chwili od szarego końca niemych spektatorów dał się słyszeć stuk naciąganego kurka. Wszyscy zwrócili głowy w te strony.

Pan Filip stał pod słupem altany i trzymał w ręku rewolwer. Koło niego było kółko mężczyzn, którzy przed godziną proponowali Filipowi strzelanie do celu. Pan Filip, który jako myśliwy i zawołany amator broni nigdy nie był bez strzelby, pistoletu lub rewolweru, dał naciąganiem kurka hasło przyjaciołom, że już czas strzelać do celu.

Tym sposobem zeszedł się nagle rewolwer ze wspomnioną niedawno fortecą i dał nowy wątek do wyczerpującej się już rozmowy.

— Brawo! — zawołał łysy jegomość, — zaledwie wspomnieliśmy o fortecy, pan Filip zaraz wziął broń do ręki! Niech żyje pan Filip, zdobywca fortec niezdobytych!

— Jeżeli jnż mowa o fortēcach i odwadze, możebyśmy zabawili się w fortecę!—zawołał ktoś z tłumu.

— Brawo! brawo!—zawołali mężczyźni.

— Brawo!—dorzuciła złośliwym głosem szatynka!

— Panna Otylia będzie fortecą, a pan Filip zdobywcą!—zawołał stary kawaler.

— Hej, podajże *asa coeur*? Bolko, ty masz zawsze karty przy sobie!—wołali inni.

— Na co wam *as cour*?—zapytał Bolko, wyjmując z kieszeni żadaną kartę.

— Panna Otylia będzie fortecą. Stanie o dzie sięć kroków i w ręku trzymać będzie *asa coeur*!

— Brawo! brawo! A pan Filip wyszrzeli, *asa*! I zdobędzie fortecę!

I zaczęli wszyscy przyklaskiwać tej myśli genialnej. Jedni czynili to, aby się czémś zabawić, drudzy lekkomyślnie chcieli na seryo takiej owacyi; większa zaś część, a mianowicie kobiety, wzięła to wszystko za żart, który żadnego złego skutku nie odniesie.

Panna Otylia poczerwieniała, zacisnęła usta i długiem spojrzeniem obrzuciła pana Filipa. Potém zbliżyła się do Bolka, wzięła mu z ręki kartę, odmierzyla z zimną krwią dziesięć kroków i stanęła spokojnie pod starą gruszą.

Podnosząc *asa coeur* do góry, rzekła pewnym głosem:

— Panie Filipie! Jestem gotowa!

Pan Filip postąpił kilka kroków ku niej. Naciągając kurek, rzekł półgłosem:

— Więc pani się odważasz?

— Dla pana., czy raczej panu zaufam! A gdyby inaczej zawyrokowały Nieba, to z ręki pańskiej...

— Oblicz się pani ze swoją odwagą i z siłami.

— Zrobiłam dawno rachunek. Pan powinienś był tego się domyslić!—Kurek trzasnął fatalnie na drugi spust.

Wszyscy ciekawi byli na zakończenie dramatu, Ale wszyscy mieli uśmiech na twarzy, bo wszyscy wierzyli, że to był żart tylko.

Tymczasem stała Otylia pod gruszą i wyglądała prześlicznie. Przypominała ową rozculającą scenę z Wilhelma Tella. Tam było jabłko celem strzały, a tu pod pozorem karty chodziło może także o jabłko, ale o jabłko Parysa!

Wreszcie nastąpiła chwila milczenia.

Pan Filip zmierzył... mierzył... mierzył i... strzelił.

Krzyk rozległ się w altanie przeraźliwy—siedm kobiet zemdłało. Zostały tylko dwie więcej przytomne. Jedna była głucha, druga prawie niewidoma.

Siny dym rozszedł się po ogrodzie. Otylia stała! spokojna i ani powieką nie drgnęła! W rękę trzymała kartę z wystrzelonym asem!

Podeszła ku panu Filipowi a podając mu kartę z uśmiechem zapytała:

— Cobyś pan uczynił, gdybym była zemdłała?

— Byłbym ukląkł i oświadczył się o rękę pani!—  
odpowiedział spokojnie pan Filip.

— A teraz, gdym ani okiem drgnęła.

— Zapiszę sobie w pamięci tę chwilę. Gdy będę formował pułk huzarów, to niezawodnie powołam panią na rotmistrza?

Dziwna rzecz! Natura ludzka jest tak zepsuta, że jeden ten dosyć złośliwy koncept pana Filipa wystarczył, aby siedm kobiet przywołać do przytomności i całemu towarzystwu przywrócić weselość spłoszoną wystrzałem.

Tylko panna Otylia była smutna i zamyślona. Oparła się o słup altany i patrzyła przed siebie, jakby nieprzytomna.

Wtém nagle pobladła, krzyknęła i upadła!

— Zemdlala! zemdlala! Wody!—krzyknęli wszyscy.

Pan Filip najpierwszy przyskoczył do niej. Podniósł z ziemi i coś jéj szepnął do ucha.

Otylia otworzyła oczy...

Mówią, że pan Filip oświadczył się. Ale ma to być jeszcze tajemnicą!

---







